RAPORT „DO RZECZY”

Uwięzienie Kamińskiego i Wąsika – zamach na prawo łaski prezydenta

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 3/561 15–21 STYCZNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Krzysztof Masłoń żegna ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego

TOMASZ SAKIEWICZ OSTRO O ATAKU RZĄDU NA MEDIA

Czy za seksaferą Epsteina krył się izraelski wywiad?

Nowi słudzy Ukrainy

Politycy ekipy Tuska wchodzą w buty polityków PiS

OD LEWEJ: PAWEŁ KOWAL, RADOSŁAW SIKORSKI, WŁADYSŁAW TEOFIL BARTOSZEWSKI

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 03 >
Nakład: 51 000 egzemplarzy

epra.pl/e333bdb72c

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

POTĘGA POLSKIEGO RYCERSTWA – ZAWISZA CZARNY I INNI LEGENDARNI RYCERZE

Ostatni sprawiedliwy jesieni średniowiecza – Jacek Komuda o słynnym Sulimczyku z Garbowa

Czaszki w niemieckich magazynach – Na początku XX w., zanim ktokolwiek pomyślał o Hitlerze, Niemcy dokonali w Afryce dwóch ludobójstw i zbudowali tam obozy koncentracyjne

Bezczelny „ateński lew" – Ateński arystokrata Alkibiades zdominował swoją osobowością drugą połowę wojny peloponeskiej

Niemiecki pociąg Lenina – Pomysł Aleksandra Parvusa przekuty został w jedną z najbardziej błyskotliwych i udanych operacji niemieckiego wywiadu

Apokalipsa Jerozolimy – Ostatnia rozpaczliwa walka z Rzymianami miała zadecydować nie tylko o losie miasta i jego mieszkańców, lecz także o przyszłości dwóch religii...

Egzekucja rosyjskiego „Białego Domu" – Zachód poparł wówczas brutalną akcję Jelcyna, co dziś odbija się czkawką całemu NATO

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl e333bdb72c

W RZECZY SAMEJ

Państwo stanu wyjątkowego

PAWEŁ LISICKI

Według byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego zatrzymanie i aresztowanie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika „to posybilizm państwa prawa". Przytaczam tę opinię, bo pokazuje ona, że nawet ci, którzy potrafili wcześniej zachowywać pewien dystans do toczącej się w Polsce wojny i powinni być pierwszymi, którzy szanują urząd głowy państwa, ulegli emocjom, dołączyli do awantury i zakwestionowali znaczenie instytucji prezydenckiej. Nie ma bowiem wątpliwości, że źródłem obecnego konfliktu było podważenie znaczenia prawa łaski, które to prawo, co wynika z konstytucji, przysługuje prezydentowi. Wprawdzie pod wpływem rozwoju sytuacji – zamknięcia obu polityków PiS w więzieniu, ogłoszenia przez nich głodówki, a następnie prośby ich żon – Andrzej Duda zmienił zdanie i postanowił ich ponownie ułaskawić, ale nie zmieniło to istoty sporu.

Argument, że prezydent mógł skorzystać z prawa łaski jedynie w przypadku sprawy zamkniętej, gdy wyrok stał się prawomocny, jest z kilku powodów nie do przyjęcia. Po pierwsze, takie rozumowanie jest sprzeczne z interpretacją podaną kilkukrotnie przez Trybunał Konstytucyjny oraz przez Izbę Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego. Po drugie, taka interpretacja – prezydent, żeby kogoś ułaskawić, musi czekać na ostateczny wyrok sądu odpowiedniej instancji – w praktyce ograniczałaby w ogóle władzę prezydenta w tym zakresie. Urząd prezydenta jest kadencyjny, przebieg i długość procesu sądowego zależą od woli sędziów. Wystarczyłoby zatem, żeby sąd tak długo przeciągał sprawę, aż skończyłaby się kadencja głowy państwa, i wtedy prezydent nie mógłby ze swojego uprawnienia skorzystać. Uzależnienie zastosowania prawa łaski od orzeczenia sądu prowadzi zatem do upolitycznienia sądownictwa. Sędziowie mogliby przeprowadzać przewód sądowy dłużej lub krócej w zależności od tego, jakiej reakcji prezydenta by się spodziewali. Łatwo mogliby „przeczekać" nielubianego przez siebie prezydenta, szczególnie gdy proces dotyczy polityków. Prawo łaski stałoby się czymś iluzorycznym – i tak było dokładnie w przypadków ministrów Kamińskiego i Wąsika. Żeby wyszli na wolność, prezydent musiał ułaskawić ich raz jeszcze, co rzutuje na jego powagę.

Istotą sporu nie jest jednak kwestia prawna, ale co innego: chodzi o założenie przyjęte przez rządzącą obecnie koalicję, zgodnie z którym nie jest ona praktycznie związana ustawami i prawem uchwalonym za rządów PiS. Jest to stanowisko nie tylko absurdalne, lecz także dla interesu państwa szkodliwe. Oznaczałoby to bowiem, że między państwem rządzonym przez PiS a państwem rządzonym przez PO jest większa różnica niż między PRL a III Rzecząpospolitą. Obecnie rządzący zachowują się tak, jakby doszli do władzy nie wskutek normalnych, demokratycznych wyborów, ale wskutek przewrotu i rewolucji. Jakby naprawdę uwierzyli w to, co głosi najbardziej szalona część zwolenników anty-PiS, a mianowicie w zwycięstwo nad reżimem, autorytaryzmem itd., itp. Tak jakby państwo polskie utraciło w okresie rządów PiS ciągłość. Tak jakby go nie było – i to nie było go jeszcze bardziej, niż nie było PRL!

To podejście jest także wewnętrznie sprzeczne. Bo jeśli polskie państwo było „zepsute i skażone" przez sam fakt rządów PiS, to, konsekwentnie, nowy rząd nie powinien się godzić na zaprzysiężenie w Pałacu Prezydenckim. Podobnie nie powinien respektować prawa weta Andrzeja Dudy, tylko przyjmować ustawy wbrew wetu prezydenckiemu, które zostałoby w ten sposób „zawieszone". Podobnie nie powinien brać pod uwagę orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego, który to przecież z samej zasady jest niesłuszny i nielegalny. Jak to pogodzić z faktem, że obecna większość sejmowa powołała legalny rząd w drodze legalnych wyborów? Jak ze stanu nicości prawnej, a więc ze stanu, w którym rządziły reżim i autorytaryzm, wyłonił się obecny, legalny rząd? Zgodnie z logiką to niemożliwe. Jeśli rządy PiS tak bardzo skaziły państwo, że nastąpiło zerwanie ciągłości prawnej, to i obecny rząd jest nielegalny i sprawuje władzę nie wskutek wyborów (te przecież nie mogły być ważne), ale przewrotu.

Tym samym większość sejmowa przekształciłaby się w organ prawdziwie rewolucyjny, który zdobywałby władzę sam z siebie i opierałby się na sile. Wszystko to, co niemożliwe, staje się możliwe, jeśli odwołujemy się nie do prawa, ale do przemocy. Oznacza to w praktyce rządy w warunkach stanu wyjątkowego. Tak, jest to „posybilizm", odwołując się do słów prezydenta Kwaśniewskiego, bo władza przeprowadza swoje decyzje, ale nie ma to nic wspólnego z państwem prawa. Przeciwnie, jest to rządzenie przez chaos i wywołuje z konieczności rosnący opór społeczny. Gwałt musi się liczyć z gwałtem. Żeby państwo używało „posybilizmu" bez prawa, musi stosować coraz więcej siły, bo tak tylko może zapewnić swoim decyzjom posłuszeństwo. Łatwo przewidzieć, do czego to prowadzi. To droga donikąd. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

TEMAT TYGODNIA

16 JAN FIEDORCZUK
NOWI SŁUDZY UKRAINY – EKIPA TUSKA W BUTACH PIS
Rząd wobec wojny

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
TUSKOWSZCZYZNA BEZ RĘKAWICZEK
Platforma pozbawiona hamulców

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRAWNICY BEZPRAWIA

24 ŁUKASZ WARZECHA
NIEZNOŚNA MIĘKKOŚĆ PREZYDENTA

26 BARTOSZ LEWANDOWSKI
O ŁASCE PREZYDENTA, NIEŁASCE RZĄDU I UPADKU KONSTYTUCYJNYM PAŃSTWA

29 ROZMOWA Z TOMASZEM SAKIEWICZEM
ZNOWU CZUJĘ SIĘ NIELEGALNY

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
NIEMOC NA KÓŁKACH

34 ZUZANNA DĄBROWSKA
PRAWDZIWA TWARZ „OBROŃCÓW" KOBIET

KULTURA

36 PIOTR SEMKA
JAK KLAN ROSSETTICH ZACZAROWAŁ ALBION
Niezwykła włoska rodzina

40 PIOTR GOCIEK
LEKCJE PANA JANUSZA

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
OGROMNE WYZWANIA DLA KOŚCIOŁA W POLSCE
Katolicyzm kolejnych dziesięcioleci

51 JERZY KARWELIS
DYSTRYBUCJA AUTORYTETU

54 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
KOLEDZY PANA EPSTEINA

HISTORIA

56 ROZMOWA Z ANDRZEJEM BRZEZIECKIM
UB PRZECIW ARMII CZERWONEJ
Polska zemsta na krasnoarmiejcach

58 LIST OD CZYTELNIKA I ODPOWIEDŹ AUTORA
LEGENDOWANIE WAŁĘSY?

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
„UKRAIŃSKI MOSAD"
Służby specjalne Kijowa

63 OLIVIER BAULT
ARMAGEDON NA GRANICY

66 JAN BOGATKO
NIEMCY, ROSJA DWA BRATANKI

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
CHIŃSKIE BYD WYPRZEDZIŁO TESLĘ
Jak Wang Chuanfu pokonał Elona Muska

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
WYSPA MILIARDERÓW
Zakątek najbogatszych

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ŻEBROWSKI, KOPER (47), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl e333bdb72c

Z ogromnym żalem żegnamy zmarłą 10 stycznia

ŚP.

Barbarę Grzelak

niezastąpioną filantropkę, która od początku nieustannie wspomagała naszą działalność na rzecz potrzebujących. Zawsze będziemy pamiętać o Jej Dobrym Sercu. Łączymy się w bólu z rodziną.

Fundacja Dobroczynności Atlas

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okładka: **Radek Pietruszka/PAP, Albert Zawada/PAP(x2)**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o.
(instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85,
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl,
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 51 000 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl e333bdb72c

Kapłan wierny prawdzie

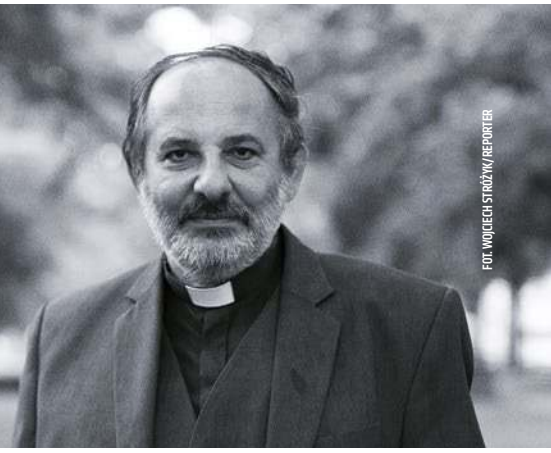

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Krzysztof Masłoń

Po długiej chorobie zmarł ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski – wyjątkowa postać polskiego życia publicznego

Odszedł ktoś absolutnie wyjątkowy. W naszej, coraz bardziej plugawej rzeczywistości w swoim konsekwentnym, niezważającym na jakiekolwiek okoliczności dążeniu do prawdy wykazywał niesłychaną wprost determinację i odwagę. Narażał się wszystkim możnym tego świata. Przyjaciel i opiekun skrzywdzonych, wykorzystywanych i odtrącanych, duszpasterz osób niepełnosprawnych, Polak i Ormianin w jednej osobie, a jako taki orędownik upamiętnienia ofiar ludobójstwa – zarówno Ormian, jak i Polaków – aktywny antykomunista w latach PRL. 9 stycznia w wieku 67 lat zmarł ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski.

Ten niezwykły człowiek i kapłan mógł żyć zupełnie inaczej, tyle że rozmijałby się wtedy z… tak, z prawdą właśnie. „Bo czyż ewangeliści mogli zafałszować rzeczywistość? – pytał retorycznie. – Ależ oczywiście, mogli nie napisać o Judaszu, o zaparciu się Świętego Piotra, o niewiernym Tomaszu – wszystko to ominąć lub wyretuszować. Po dwóch tysiącach lat nikt by ich nie sprawdził. Ale byli wierni prawdzie, to po pierwsze, a po drugie, wyraźnie postrzegali różnice między upadkami Judasza i Piotra. Historia jest nauczycielką życia, więc powiem tylko jeszcze, że jeden z ojców duchownych pewnego seminarium zakomunikował mi, że gdyby nie nagonka na moją książkę [»Księża wobec bezpieki«], wprowadziłby ją do lektur kleryków, gdyż ukazuje ona niebezpieczeństwa i uczy dokonywać właściwych wyborów. To nic, że nie ma dziś Służby Bezpieczeństwa, młodzi klerycy, potem księża mają inne poważne problemy, z którymi muszą sobie radzić”.

Po jego wypowiedziach na temat księży współpracujących ze Służbą Bezpieczeństwa otrzymał z kurii zakaz zabierania głosu w kwestii lustracji duchowieństwa. Efekt był taki, że proboszczowie odmawiali mu prawa do głoszenia kazań, gdyż obawiali się reakcji zwierzchników.

– Od roku – opowiadał mi w 2007 r., gdy odwiedziłem go w podkrakowskich Radwanowicach, gdzie prowadził Fundację im. Brata Alberta zajmującą się niepełnosprawnymi umysłowo – odprawiam msze najzupełniej prywatnie, w tutejszej kaplicy. Jestem też duszpasterzem Ormian w Polsce i kiedyś chciałem spotkać się w pewnym mieście z jedną ze wspólnot ormiańskich. Specjalnie pojechałem tam wcześniej, zaszedłem do proboszcza, a on mi mówi: „Proszę księdza, nie mam nic przeciw Ormianom, ale ksiądz jest oskarżony o rozbijanie jedności Kościoła i ja nie mogę udostępnić księdzu świątyni”.

W jednym ze swoich wierszy – bo był też poetą! – zatytułowanym „Dziedzictwo”, pisał: „Otrzymałem w spadku ormiańską duszę / lwowski akcent / kresowy patriotyzm / ukraińską tęsknotę za Bogiem”. Penie za to wszystko dostawać będzie, np. gdy zaprotestuje przeciwko uznaniu przez Ukrainę Stepana Bandery za bohatera narodowego, anonimowe groźby i „wyroki śmierci”. Grubo wcześniej nazwany zostanie „Tuhaj-bejem”, „niepoczytalnym nienawistnikiem”, a gdy mocno zaangażuje się w sprawę lustracji duchowieństwa, prymas Glemp nie ugryzie się w porę w język i określi go jako „nadubowca”, za co zresztą przeprosi, tyle że mleko już się rozleje…

Po pomówieniach, które go spotkały, zrezygnował z tytułu kanonika honorowego archidiecezji krakowskiej. Nie do przyjęcia była dla niego sytuacja, w której jego kościelni zwierzchnicy, rzekomo doceniając jego osiągnięcia w pracy z tzw. muminkami i w prowadzeniu ośrodka dla osób niepełnosprawnych intelektualnie czy też organizację konwojów humanitarnych, jednocześnie zamykają mu usta, gdy tylko poruszy tematy uważane choćby przez abp. Stanisława Dziwisza za drażliwe. Temu ostatniemu miał za złe popieranie Platformy Obywatelskiej, podobnie jak abp. Markowi Jędraszewskiemu wspieranie działań Prawa i Sprawiedliwości. A gdy były szef Telewizji Polskiej Jacek Kurski wziął w sanktuarium w krakowskich Łagiewnikach swój drugi ślub kościelny, głośno powiedział, co o tym myśli.

INNE WZGLĘDY SPOŁECZNE

W 1983 r., po zrobieniu magisterium, miał wyjechać na dalsze studia do Rzymu, ale komunistyczne władze nie wydały mu paszportu ze względu na – jak doczytał się w uzasadnieniu – „niepłacenie alimentów lub inne względy społeczne”. Odwołując się, zresztą bezskutecznie, od tej decyzji, pozwolił sobie na złośliwość, przedstawiając się jako „inne względy społeczne”.

Zamiast uczęszczać na wykłady w Papieskim Kolegium Ormiańskim w Rzymie, związał się z prowadzonym przez innego znakomitego kapłana, ks. Kazimierza Jancarza, Duszpasterstwem Ludzi Pracy

eprasa.pl e333bdb72c

w nowohuckich Mistrzejowicach. Któż tam wtedy nie bywał na coczwartkowych mszach za ojczyznę, porównywalnych tylko z tymi, które w kościele na warszawskim Żoliborzu odprawiał ks. Jerzy Popiełuszko?! A gdyby miał, wzorem choćby rosyjskiego pisarza Maksyma Gorkiego, napisać „Moje uniwersytety" po swojemu, pewnie zacząłby książkę od Huty im. Lenina, gdzie zapisał się w pamięci robotników, którzy przeprowadzili tam wielki strajk w 1988 r.

Niemniej pięć lat wcześniej na wyjeździe do Rzymu mu zależało i opowiadał mi, że po którejś odmowie wydania paszportu zasugerowano mu, by gdzieś tam poszedł na tzw. cichą rozmowę.

– Poinformowałem o tym ks. kard. Franciszka Macharskiego. Rzekł na to: „Żadnych rozmów. Możesz pójść albo do urzędu paszportowego, albo nigdzie". A paszport, powiedział mi, dostaniesz jak nie teraz, to za dwa lata, w końcu on w latach 50. sześć lat czekał na wyjazd. Byłem młody, nie bardzo mi się to czekanie uśmiechało i przyznaję, że miałem wtedy pewien żal do kard. Macharskiego, mogłem przecież – tak myślałem – pójść na to spotkanie. Co by to szkodziło? Po latach gorąco mu podziękowałem za to ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem.

To z rąk Franciszka Macharskiego właśnie otrzymał ks. Tadeusz święcenia kapłańskie w maju 1983 r., w katedrze na Wawelu. I gdy w 2006 r. zaapelował do duchownych o oczyszczenie środowiska kościelnego, w pierwszym rzędzie chodziło mu o ujawnienie tego, kto współpracując z SB, donosił na kardynała właśnie i jego wielkiego poprzednika, Karola Wojtyłę. Dorabiano mu gębę oszołoma niszczącego jedność Kościoła i wynajdującego „haki" na księży, wielkich i maluczkich. Tymczasem prawda była zgoła inna: ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski bronił wspaniałych kapłanów przed pomówieniami, jednocześnie domagając się, by ci, którym zabrakło siły ducha, przyznali się do swoich czynów. Tylko tyle i aż tyle.

Postępował zgodnie z głoszonymi wartościami. Dlatego całkiem niedawno, w zeszłym roku, stanął w obronie ks. kard. Adama Sapiehy, zmarłego w 1951 r. Księcia Niezłomnego Polskiego Kościoła, po tym, jak holenderski dziennikarz Ekke Overbeek oskarżył go o molestowanie seksualne kleryków, za jednym zamachem uderzając w Jana Pawła II, który jakoby miał o tym wiedzieć, ale nie dopuścił do ujawnienia prawdy. „Gazeta Wyborcza" – jakżeby inaczej – nagłośniła sprawę, a wtedy ks. Tadeusz, sam rzecznik osób wykorzystywanych w dzieciństwie przez księży, piętnujący wypadki pedofilii wśród duchowieństwa, udowodnił, że holenderski autor bazował na zeznaniach ks. Anatola Boczka, tajnego współpracownika UB o pseudonimie Luty, którego nawet Urząd Bezpieczeństwa miał za człowieka zdegenerowanego i skonfliktowanego z władzą kościelną. Z jego aktami zapoznał się ks. Tadeusz w czasie kwerendy w IPN, przeprowadzonej przez niego w trakcie pisania książki „Księża wobec bezpieki".

A to, dlaczego w 2005 r. po raz pierwszy przekroczył próg archiwum IPN w Wieliczce, wyjaśniał w przedmowie do tamtej książki. Otóż dowiedział się wtedy, że znajdują się tam zarówno jego akta – jako figuranta – jak i kaseta nakręcona podczas przesłuchań i rekonstrukcji wydarzeń z 1985 r., kiedy to dwukrotnie został napadnięty i ciężko pobity przez funkcjonariuszy SB (według oficjalnej wersji za pierwszym razem sam się poparzył, a za drugim – sam związał!). „Zapoznanie się z zachowanym materiałem było doświadczeniem porażającym – pisał – i to nie tylko dlatego, że wspomniana kaseta wideo przypomniała bolesne dla mnie sprawy. Najgorsze było odkrycie, że wśród wielu wspaniałych i gorliwych kapłanów archidiecezji krakowskiej, w tym osób, które znałem i ceniłem, znaleźli się w czasach PRL-u także tajni współpracownicy SB.

Zwróciłem się z tym problemem do władz kościelnych. Na pierwszy list nie dostałem odpowiedzi, na drugi odpisano mi lakonicznie, polecając mnie opiece Matki Boskiej. W końcu po kolejnej próbie uzyskania jakiegoś stanowiska w tej kwestii usłyszałem, że są to sprawy, które dzisiaj nikogo już nie interesują, i że najlepiej, abym – jak argumentowano: dla dobra Kościoła – dał sobie z tym spokój".

Nie dał. I w tej sprawie, i w dziesiątkach innych.

JEDYNA DROGA ŻYCIA

Tadeusz Bohdan Zaleski urodził się w 1956 r. w Krakowie. Jego matka, polonistka Teresa Zaleska z domu Isakowicz, była polską Ormianką. Wśród jej przodków byli hierarchowie Kościoła ormiańskiego, na czele z arcybiskupem tego Kościoła we Lwowie, a jej rodzina pochodziła ze Stanisławowa. Ojciec – Jan Zaleski, historyk i bibliofil – przyszedł na świat w Monasterzyskach koło Buczacza, w przedwojennym województwie tarnopolskim. Niedaleko była polska wieś Korościatyn, która przestała istnieć w nocy z 28 na 29 lutego 1944 r., gdy spaliła ją sotnia UPA wspierana przez ochotniczych „siekierników", mordując 150 mieszkańców. Żyjący tam krewni Jana Zaleskiego cudem przeżyli, ale on zbierał potem relacje dotyczące tego ludobójstwa, które wtedy miało tam miejsce, i wraz ze swoim pamiętnikiem pozostawił je synowi.

A ten m.in. protestował, gdy w 2009 r. Katolicki Uniwersytet Lubelski nadał doktorat honoris causa Wiktorowi Juszczence, który jako prezydent Ukrainy wynosić zaczął właśnie upowców na cokoły, czy kiedy przez Polskę przejeżdżał Rajd Bandery. Założył Fundację Kresową „Memoria et Veritas" i przewodniczył komitetowi budowy pomnika „Rzeź Wołyńska" na Podkarpaciu. Zakochanemu nagle w Zełenskim Andrzejowi Dudzie zarzucił niedotrzymanie wyborczych obietnic z 2015 r. dotyczących godnego upamiętnienia ofiar zbrodni dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów. Nie zapomniał także polskiemu prezydentowi jego napomnienia wobec Rodzin Wołyńskich, by „miarkowały się w słowach". A pół roku temu przed katedrą w Warszawie protestował przeciw zakazowi ekshumacji i pochówku ofiar ludobójstwa na Ukrainie, odmawiając swego udziału w obchodach 80. rocznicy rzezi wołyńskiej, sfinalizowanych podpisaniem wspólnego oświadczenia „Przebaczenie i pojednanie" przez abp. Stanisława Gądeckiego i abp. Światosława Szewczuka. Nie znosił pustych gestów.

W 2007 r., gdy pojechałem do Radwanowic, głośna książka ks. Tadeusza „Księża wobec bezpieki" uzyskała właśnie nominację do Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza i niebawem nagrodą tą została uhonorowana. Kiedy spytałem autora, czy wie, jaki napis widnieje na medalu, który otrzymuje laureat, odpowiedział: – „Jedynie prawda jest ciekawa", ale moim postępowaniem nie kieruje ciekawość. Natomiast uważam, że prawda jest jedyną drogą życia. Po prostu nie ma innej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

NA PIERWSZY OGIEŃ

Mr Ambassador się angażuje

PIOTR SEMKA

Podczas wczorajszego spotkania z Ministrem Sprawiedliwości Adamem Bodnarem miałem okazję pogratulować mu niedawnej nominacji. Stany Zjednoczone i Polskę łączy zaangażowanie na rzecz praworządności i niezawisłości sądów, co wymaga stałej determinacji i odnowy" – takim oto tweetem Mark Brzezinski, ambasador USA w Polsce, pochwalił się tuż po aresztowaniu Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Adam Bodnar po spotkaniu z ambasadorem USA ogłosił: „Cieszę się, że pan Ambasador Mark Brzezinski pozytywnie ocenia działania resortu prowadzące do przywrócenia w Polsce praworządności".

Każdy przedstawiciel dyplomatyczny, wydawało się, powinien wiedzieć, że należy unikać spotkań z ministrami, którzy w kraju zaakredytowania akurat znajdują się w centrum kontrowersji politycznej. Niedawno Adam Bodnar zasłynął cyniczną wypowiedzią o szukaniu podstaw prawnych potrzebnych do legitymizowania agresywnych działań rządu Donalda Tuska. Jego zastępczyni Maria Ejchart zaszokowała skomentowaniem głodówki Mariusza Kamińskiego słowami: „Każdy ma prawo nie jeść i nie pić". A jeśli już robi się takie spotkania w ambasadzie USA, to trzeba liczyć się z tym, że komunikat kojarzyć się może z pełnym poparciem Ameryki dla sekwencji bezprawnych działań rządu Donalda Tuska.

Nie przypominam sobie, żeby amerykańska placówka pozwalała sobie na takie demonstracje w trakcie poprzednich kryzysów w Polsce. W 1993 r., gdy wybuchła afera z inwigilacją prawicy, ambasador USA nie zapraszał do siebie ówczesnego szefa MSW Andrzeja Milczanowskiego. A w 2002 r., gdy szalała afera Rywina, nie fetowano w ambasadzie USA Lwa Rywina, choć ten miał przecież zasługi dla Hollywood. Może ktoś powiedzieć, że spotkanie z Bodnarem było zaplanowane wcześniej. Tyle że w takim wypadku spotkanie odwołuje się pod jakimś grzecznościowym pretekstem.

Mark Brzezinski uznał, że polityka ministra sprawiedliwości wymaga pełnej autoryzacji. Po lewej stronie półgębkiem pojawiły się kwaśne opinie, że wyglądało to jak hołd lenny członków ekipy Tuska, bo wcześniej do ambasady przy Al. Ujazdowskich pielgrzymowali Władysław Kosiniak-Kamysz i Dariusz Joński, ale te uwagi wyrażano bardzo cichutko.

Po prawej stronie tę wizytę przyjęto z goryczą jako firmowanie bezprawnych działań ekipy Tuska. Oczywiście nie jest tak, że tylko ministrowie z rządu centrolewu chętnie fotografują się z amerykańskim ambasadorem. Gdy Polska cieszyła się statutem ważnego partnera Ameryki w akcji pomocy dla Ukrainy, Mariusz Błaszczak też lubił pokazywać się z amerykańskimi dyplomatami. Tyle że to można było tłumaczyć wymogami dramatycznej akcji na rzecz ratowania rządu w Kijowie. Teraz dezynwoltura Marka Brzezinskiego razić musi znacznie mocniej. Takie przypadki szybko osłabią sympatie wśród prawicowego elektoratu dla Wielkiego Brata. Ale ponieważ bez Ameryki nie sposób myśleć bez obaw o groźbie agresji Rosji, jankesi mogą sobie pozwolić na wiele. I chętnie z tego korzystają. ©℗

FOT. NASA

DEBIUT SUPERODRZUTOWCA

NASA X-59. Tak nazywa się innowacyjny naddźwiękowy odrzutowiec opracowany przez NASA i Lockheed Martin. Samolot napędzany pojedynczym silnikiem odrzutowym może osiągnąć prędkość aż 1,4 macha, czyli niemal 1500 km/h. Projekt powstał w ramach misji agencji QueSST, której celem jest umożliwienie komercyjnych lotów naddźwiękowych. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to nowy samolot może znacząco skrócić czas trwania lotów międzykontynentalnych. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

Poznaj najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia na polskiej scenie politycznej. Na rozmowy w Telewizji Republika zaprasza Rafał Ziemkiewicz.

REPUBLIKA

Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA

Niedziela
11:00

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl e333bdb72c

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Mol narodów

Protesty rolników w zachodniej Europie przyzwyczajono się w ostatnich latach lekceważyć. Owszem, są uciążliwe, bo rolnicy mogą maszynami coś zastawić i zablokować, wysypać ziemiopłody albo nawet rozlać gnojówkę – ale z rolnictwa żyje dziś w UE tak niewielka część ludności, a interesy rolnicze na tyle odległe są od mentalu wychowanej przez media większości, że politycy europejscy nauczyli się traktować ich z buta, czego dobitnym przykładem była pacyfikacja farmerów holenderskich.

W Niemczech, tym razem, było inaczej. Do blokujących traktorami drogi rolników zaczęły dołączać kolejne grupy zawodowe, a reakcja tych, którzy się nie przyłączyli, wyraźnie wskazuje, że rząd lewicowo-liberalnej koalicji jest jeszcze bardziej niepopularny niż się spodziewano. Jak to często bywa, narastające problemy – droga energia i wywołany nią wzrost cen, kryzys budżetowy, szkody wyrządzane przez migrantów etc. – osiągnęły masę krytyczną. Czy uda się Scholzowi ten wybuch zażegnać samymi obietnicami podwyżek i wstrzymania zapowiedzianych cięć? Zobaczymy. Jeśli nawet, to nie rozwiąże to przecież problemów, tylko je sprolonguje za cenę długofalowego pogorszenia sytuacji w gospodarce – o żadnych zasadniczych, systemowych reformach nikt w Niemczech na razie nie mówi.

Niemcy zawsze są dla nas niebezpieczne, ale Niemcy gwałtownie biedniejące i upokorzone stanem, do którego same się doprowadziły, są dla Polski, i całej Europy, jeszcze większym problemem niż Niemcy prosperujące i przepojone poczuciem wyższości. Rzecz w tym, że tamtejsza klasa polityczna, zamiast analizować swoje błędy, szuka ich rozwiązania w sięganiu po zasoby innych krajów – temu wszak, bardziej niż czemukolwiek innemu, służyć ma centralizacja UE w jedno państwo, wedle otwarcie głoszonej zasady: „Co służy dobrobytowi Niemiec, unijnej lokomotywy, jest dobre dla całej Unii". Czyni to z Niemiec Simona Mola narodów – jeśli jeszcze pamiętają państwo aktywistę, który zamiast leczyć swą chorobę, zarażał nią innych, wierząc, że w ten sposób sam uchroni się od jej następstw. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Pojutrze

Przez całe lata media reżimowe (używając języka, który same stosowały wobec swoich oponentów), media obecnej władzy opowiadały w kółko o pseudotrybunale, neosędziach itp., tworząc cały język propagandy, podważający nie tylko poszczególne decyzje władz Rzeczypospolitej, lecz także cały porządek polityczny w Polsce. Te propagandowe kategorie „GW" i TVN po prostu wbijały swym odbiorcom do głowy.

Skoro więc utrwalili ten język – to pozostaje jedynie stwierdzić, że po aresztowaniu posłów opozycji mamy już tylko neosejm, kontrolowane narzędzie pseudodemokratycznych rządów. Jeżeli prezydent zdecyduje się tę Izbę rozwiązać – to oczywiście będzie miał moje poparcie. Jeżeli uzna, że to krok zbyt ryzykowny – to również. W punkcie, do którego doszliśmy, musi mieć pewność zrozumienia dla swoich ocen. Moje poparcie ma.

Zanim jednak to się stanie, pomyślmy o przyszłości. PiS ostatnie wybory przegrał. Można oczywiście zaklinać rzeczywistość, ale wybory to nie wyścigi kajaków. Wygrywa ten, kto formuje rząd, nie ten, kto chwali się „miejscem na podium". Jeśli więc nie ma się to powtórzyć, to PiS musi odbudować polityczną wiarygodność, nie tę abstrakcyjną, ale konkretną – przekonanie, że można z nim rozmawiać i współpracować.

Musi mieć np. zdolność zawarcia normalnej pełnowymiarowej umowy koalicyjnej (zawierającą realne gwarancje niezależności, czyli podziału należnych budżetowych środków na działalność polityczną) np. z grupą posłów PSL, którzy odeszliby ze swej partii, zakładając – dajmy na to – PSL-Piast. Oczywiście to samo dotyczy partii Polska Jest Jedna. Tylko w ten sposób PiS może zbliżyć się do potrzebnego dla zmiany politycznej progu 40 proc. głosów. Choć sama intencja wiarygodności jeszcze nie czyni, to od zmiany postawy trzeba zacząć. Zastępując prowadzącą do samoizolacji ideologię „tylko my" nową – „tylko Polska". Reszta jest politycznym hazardem, a Polską grać nie wolno. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

O salucie rzymskim i hipokryzji

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

7 stycznia 1978 r. przed rzymską siedzibę postfaszystowskiego Włoskiego Ruchu Społecznego (MSI) przy via Acca przybyło pięcioosobowe komando lewackich terrorystów. Otworzyli ogień do młodych aktywistów. Położyli trupem 20-letniego studenta medycyny. Rannego 18-latka dobili strzałem w plecy. Kilka godzin później, podczas zamieszek, z rąk lewackich morderców zginął trzeci chłopak.

Była to jedna z wielu z tragedii „lat ołowiu" (1968–1980). Nikt nie poniósł za nią kary. Od tej pory co roku przy via Acca oddawany jest hołd pamięci ofiar. Z biegiem czasu w uroczystościach zaczęły brać udział lokalne władze. W tym roku przybył gubernator regionu Lacjum. Pojawiło się również 100–150 neofaszystów. Wznosili faszystowskie okrzyki, wyciągając ręce w faszystowskim salucie rzymskim. Chodzi o grupkę hałaśliwych, choć na szczęście bezwpływowych idiotów, dla których Mussolini jest bohaterem. Karabinierzy przekazali kwesturze zapis kamer. Być może wytatuowani kretyni dostaną wyrok za zabronioną w Italii apologię faszyzmu.

Opozycja dostała szału. Zażądała wyjaśnień od premier Meloni, oskarżając ją o skandal, a i o to, że policja i obecni na uroczystościach politycy nie zareagowali. Postępowcy żądają dymisji szefa MSW. Wraz z lewicowymi mediami wpadli w delirium: za sprawą Meloni wraca faszyzm! Niebawem pojawiły się jednak fotki i filmiki z przebiegu tych samych uroczystości w latach 2014–2022. I okazało się, że wszystko wyglądało identycznie: były saluty rzymskie i faszystowskie okrzyki. Kto wtedy rządził? Bardzo dziś oburzeni lewicowi premierzy Enrico Letta, Matteo Renzi i Paolo Gentiloni, a po nich srożący się teraz Giuseppe Conte. Nie zrobili nic. Przymknęli oko. Salut rzymski nie przeszkadzał ani im, ani postępowym mediom. Wszystko wskazuje więc na to, że włoscy postępowcy znów pobili swój własny, bardzo wyśrubowany rekord hipokryzji. Nie zmienia to bolesnego zdumienia, że w XXI w. w Italii wariaci, choć nieliczni, darzą faszyzm i Mussoliniego sentymentem. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl e333bdb72c

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

BOGATEMU WSTYD

Prezenterka telewizyjna Dorota Szelągowska podzieliła się głębokimi przemyśleniami na temat wstydu, a dokładniej tego, że jest on czymś niepożądanym. „Mam taką jedną torebkę. Była droga. Nie tylko wstyd powiedzieć, ile kosztowała, ale wstyd ją nosić. Nie, że jest brzydka. Piękna, klasyczna, elegancka, ale taka, że i do dżinsów.... A mi wstyd" – opisuje na łamach ulubionej gazety wielkomiejskich Polek, czyli „Wysokich Obcasów". „Wstyd mi też, że mi wstyd. Mam poczucie, że nie spełniam niczyich oczekiwań, a szczególnie swoich. Można się w tym pogubić, zupełnie jak w zdaniu: »Zjedz obiadek, bo dzieci w Afryce głodują«. Wiele lat zajęło mi zrozumienie zależności, a właściwie jej braku, w zdaniu, które powtarzała jedna z moich ciotek. »Ja mam obiadek i jak go nie zjem, to ktoś umrze« – myślałam. Napychałam więc brzuch, aż bolał. Byłam przekonana, że za każdym razem ratuję małego Murzynka. Bo w latach 80. były małe Murzynki, jak w wierszyku. Teraz to wstyd tak gadać, i to akurat bardzo dobrze" – filozofuje Szelągowska. Dalej zastanawia się, kto ustala „wstydliwą listę", i przyznaje, że „biedy wstydziła się dużo mniej niż pieniędzy". „Serio. Dopiero ostatnio zdałam sobie z tego sprawę. Bo przecież bieda uszlachetnia. Żyjemy w społeczeństwie janosikowym, więc jeśli masz, to nakradłeś, a jeśli jesteś biedny, to na pewno dobry i uczciwy. Dzięki mojej sześcioletniej córce sięgnęłam znowu do bajek z dzieciństwa i absolutnie każda opowiada o biednej i dobrej kontra złej i bogatej postaci. No, chyba że jesteś księciem, to bogactwo jest ci wybaczone. Przystojnym księciem wybierającym biedną, ale dobrą dziewczynę. Ciekawe, że nikt jej nie mówił, że to wstyd być utrzymanką bogatego przywódcy" – pisze prezenterka i nawołuje: „Pieprzyć wstyd, drogie panie". I w końcu można pokazać się z tą torebką!

AKCJA ZA AKCJĄ

A skoro pozostajemy w klimatach problemów pierwszego świata, to czas na wakacyjne perypetie Mai Bohosiewicz. Celebrytka wybrała się z rodziną do Włoch na narty. Pech chciał, że podróż od początku nie wyglądała tak, jak Maja oczekiwała. Wszystko zaczęło się jeszcze na lotnisku. „Na lotnisku pierwsza wtopa, bo nie mieliśmy odprawy w Ryanair – czyli dopłata. Przed wejściem do samolotu mówię Tomkowi: weź mi wytłumacz świat, że wszystko jest dobrze, bo mam jakieś lęki. »Jest git, mała, lecimy«, mówi stary" – relacjonuje na Instagramie. Im dalej w las, tym gorzej. W momencie lądowania okazało się, że nie ma zapewnionych autobusów dowożących pasażerów na lotnisku. Tak więc Maja, jej mąż i dzieci musieli iść w nocy pieszo. To koniec? A skąd! Na miejscu okazało się, że przez te wszystkie opóźnienia duże auto, które wynajęli, straciło rezerwację. W zamian zaoferowano im o wiele mniejszą toyotę. „Dolecieliśmy po 23, więc dzieciaki kompletnie nieżywe. Ryanair już nie podkłada autobusu na płytę, tylko trzeba przejść na piechotę. No to dwójka na ręce i idę, bo stary siedział przy innym wyjściu. Oczywiście płacz, marudzenie, zimno, siku [...]. Usiadłam z trzema walizkami i nartami na lotnisku, a Tomek poszedł odebrać nasze wynajęte auto. Zarezerwowaliśmy dużego range rovera, żeby zmieścić te wszystkie walizki [...]. Stary pojechał taksówką szukać tego auta [...]. Okazuje się, że nie mają dla nas SUV-a, ale możemy wziąć toyotę corollę sedan" – oburza się Bohosiewicz. Jakby problemów było mało, mąż Bohosiewicz nie mógł wrócić na lotnisko, więc Maja musiała po niego jechać taksówką, do której nie mogła spakować nart. „Ja siedzę na lotnisku, dzieci leżą na mnie, stary powiedział, że to jest skandal, że wynajął auto, zapłacił, a oni go nie mają [...]. Mówię mu, dobra, wracaj na lotnisko, bo jest zimno i strasznie dużo jakichś podejrzanych typów się kręci. Stary jest na jakimś zadupiu przy autostradzie, nie może do nas dojechać [...]. Biorę dzieci na wózek z tymi tobołami, biorę narty, klnę pod nosem. Znajduję taxi, pan mówi mi, że nart to on nie weźmie, »bo nie«. Porzucam narty i jadę ratować starego" – wspomina Maja (na szczęście wszystko się ułożyło, a celebrytka podsumowała wyjazd słowami: „najpiękniejszy i najbardziej rodzinny wyjazd narciarski"). Przy naszej polskiej Mai Bond wysiada.

POWIEKI GROZY

Teraz nieco przystopujmy, bo po takich akcjach można się zasapać. Kilka słów o świecie beauty. Pisarka Blanka Lipińska nie ukrywa swojego entuzjazmu wobec medycyny estetycznej. Celebrytka przeszła już m.in. powiększanie ust i piersi, a także... wydłużenie zębów. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, a więc przyszedł czas na operację powiek. „Myślałam, że szybciej będę wyglądać normalnie, a raczej lepiej. A tu cztery miesiące minęły i nadal widać blizny, powieki »układają« się tak sobie" – wyznała Blania w odpowiedzi na pytanie internauty. „Pociesza mnie tylko spokój Pani Doktor, która mówi, że wszystko jest OK, tylko trzeba jeszcze trochę zaczekać" – podsumowała Lipińska. Zęby były, powieki też; aż strach pomyśleć, co będzie następne. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ostatnio niezwykle modne stało się opowiadanie innym osobom, dlaczego nie chce się mieć dzieci. Wiecie, w tym kraju w zeszłym roku urodziło się tylko ok. 280 tys. nowych osób, to jeszcze mniej, niż mieszka w takim Bydgoszczu czy Szczeciniu, a więc prosta kalkulacja jest taka, iż większość osób każdego roku nie ma nowych dzieci, niż ma nowe dzieci – to logiczne.

Trzeba się jednak jakoś na tym trendzie wybić. Nie wystarczy po prostu nie płodzić potomstwa, trzeba do tego wnieść background ideologiczny. Kiedyś tak było np. z weganizmem i – co może być zaskakujące – weganizm i antynatalizm mają wiele punktów stycznych, więc widać, iż pewne argumenty mają moc uniwersalną i mogą być wykorzystywane niezależnie od kontekstu. To najbardziej cenimy właśnie w postępie – że jak coś raz zostało wymyślone, to nie trzeba tego wymyślać kolejny raz.

Pamiętajmy też o tym, iż o zjawisku nieposiadania dzieci musimy mówić w sposób pozytywny i otwarty. A zatem rozmawiamy językiem korzyści.

Po pierwsze, brak dziecka ludzkiego pozwala w większym stopniu skupić się na swoim psiecku lub kociecku, lub żółwiecku czy co tam akurat, kochani, macie. Jak wiadomo, mały człowiek jest atencyjny i w dodatku już po dwóch latach zaczyna o coś pytać. Przy psiecku nie ma takich problemów, wystarczy wyjść na siku i odpada problem pieluch. No i nie zapominajmy, iż psoosoby są bardziej wartościowe niż wielu ludzi!!!1111

Po drugie, brak dziecka pozwala się skupić na rozwoju osobistym, a jak tu np. słuchać coachingowego podcastu, kiedy trzeba zmienić tę nieszczęsną pieluchę albo znosić ząbkowanie.

Po trzecie, i tu się pojawiają styczne z weganizmem, dziecko to kolejna osoba, a więc kolejny emitent dwutlenku węgla, potencjalnie szkodliwie wpływający na planetę i pozostawiający za sobą znaczący ślad węglowy. Ponadto takie dziecko nie tylko może wyrosnąć na osobę niewegedodatnią i jeść mięso, a więc znów zwiększać ślad węglowy, lecz także może się okazać heteronormatywne i płodzić kolejne dzieci, które będą jadły mięso i płodziły kolejne dzieci – jest to zjawisko szczególnie powszechne w tzw. bardziej tradycyjnych regionach, osobliwie na Podkarpaciu. Dlatego brak dziecka to postawa proekologiczna i odpowiedzialna w obliczu kryzysu wywołanego przez zmiany klimatyczne.

No i oczywiście poglądy to jedna sprawa, ale ich wyrażanie to kolejny wątek. Dlatego o swojej decyzji dotyczącej zostania „bezkidką" albo „bezkidem" lub po prostu „osobą bezkidzką" koniecznie należy powiadomić na instastories, bo pewnie zauważyliście, iż Facebook powoli staje się narzędziem dla boomerów i starszawych millennialsów. Może to być też zwykłe zdjęcie na insta, macie w tym wypadku of kors prawo do wyboru.

Możecie też obdzwonić jakieś zaprzyjaźnione media, wykupić ogłoszenie w lokalnym portalu, a nawet stanąć na rynku waszego ośrodka i poinformować przechodniów, iż z uwagi na jeden z powyższych powodów zdecydowaliście się nie mieć osobodziecka. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Puszki z mielonką

Pss... Szymek, tutaj!
To ty, Władek? Ale gdzie...

No tutaj. Tutaj! Okienko przy ziemi, tu jestem!
Co ty robisz w tym bunkrze? Jeszcze przy wjeździe na poligon...

Jechał ktoś za tobą?
Nie, zostawiłem ochronę, jakoś ich zmyliłem.

Dobra. Słuchaj, nikomu nie mów, że się ze mną widziałeś. Tylko pięć osób wie, gdzie jestem. Ja tu wszystko mam: czajnik, siennik do spania, grzejnik mam olejowy, więc spoko.
Ale słuchaj, sprawy są, musisz wracać do Warszawy...

Zwariowałeś? Wystarczy, że Donek ciebie w to wszystko umoczył. Mnie nie umoczy. Ja się ujawnię, jak się ten bajzel przewali.
Ale to może potrwać...

Weź tu zajrzyj. Widzisz to? Pięć tysięcy puszek z mielonką. Ja mam co jeść. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

[...] mogą odbudowywać praworządność takimi samymi działaniami, jakimi ona była niszczona".

IGOR TULEYA, *sędzia, w „Gazecie Wyborczej" o tym, co wolno „demokratom"*

eprasa.pl e333bdb72c

dwaj panowie g

Rządy się zmieniają, ale fach paskowego pozostaje fascynujący. Tefaueny poinformowały np. (oczywiście paskiem), że w Warszawie miała miejsce „demonstracja zorganizowana przez PiS w obronie partyjnej propagandy i skazanych za łamanie prawa". Oryginalność i śmiałość tego stwierdzenia sprawiły, że wyobraziliśmy sobie tłum ludzi skandujących: „Chcemy więcej propagandy! Tylko partyjnej, tylko partyjnej!" oraz „Chcemy łamać prawo! Chcemy łamać prawo!". Zapraszamy i czytelników do podobnych ćwiczeń z wyobraźni, trzeba sobie jakoś umilać ciężką zimę.

W obliczu sporów o liczebność protestu informujemy, że nie są to żadne spory, tylko efekt tajemniczej choroby. Jej nawroty sprawiają, że chorzy potrafią na pewien czas utracić podstawowe umiejętności: zawiązywania sznurówek, podnoszenia widelca, a nawet liczenia. Z góry można założyć, że nawroty choroby pojawiają się w okolicach 11 listopada, ale z drugiej strony medycyna zna przypadki, w których epidemia następowała 4 czerwca. Dziwnym trafem przypadłość najciężej dotyka policję oraz paskowych wszystkich stron.

Jak zawsze opresja wyzwala kreatywność, z zainteresowaniem przyjęliśmy więc hasło jednego z demonstrantów: „Nie chcieliście Kaczyńskiego z kotem, to macie Tuska z sierpem i młotem". Zauważcie, że hasło jest bardzo delikatne. W końcu można było podać nazwisko młota.

Jeden z panów G. przespacerował się także przy gmachu polskiej dyplomacji, by poczuć tzw. wind of changes. Srogo się zawiódł. Starzy dyplomaci, niektórzy jeszcze z zaciągu określanego jako notes Geremka, nie przejawiają specjalnego entuzjazmu nowym-starym szefem MSZ. Sprawa się bardzo szybko wyjaśniła – pamiętają pierwsze rządy Radka. Jak wiadomo, wówczas Radek do gmachu przeprowadził się z MON i okres ten określany jest jako rządy trepów lub – łagodniej – pułkowników. Oczywiście przed Radkiem pracowała cała masa ludzi z szarżami na pagonach. Ale się nimi z oczywistych względów nie chwalili.

Pamiętacie, jak Radek Sknerus Sikorski mówił o robieniu łaski Amerykanom? Swoje urzędowanie zaczął właśnie od tego, miziając się z ambasadorem Markiem Brzezinskim. Mark przyjął zresztą u siebie chyba już prawie cały gabinet Tuska. Nie wiemy, dlaczego przypomniała się nam inna złota myśl Radka. Ta o murzyńskości.

Tymczasem dzień po proteście wolnych Polaków domagających się propagandy i bezprawia były premier Mateusz ogłosił, że chce przejąć stery w PiS po nadpremierze Jarosławie Kaczyńskim. Oświadczenie wydaje nam się jednak kontrskuteczne, gdyż najpierw powinien je wygłosić Jarosław Kaczyński.

Skoro już o zmianach: wyjątkowo wcześnie zaczęły się w tym roku ostatki. Jak wiadomo, Środa Popielcowa wypada dopiero w walentynki, a mimo to pożegnalne imprezy już trwają. Zwłaszcza w spółkach Skarbu Państwa i rozmaitych instytutach, fundacjach i innych przewidzianych do likwidacji lub przejęcia miejscach. Trafiliśmy na jedną z takich imprez ostatkowych i musimy powiedzieć, że było prawdziwie ekumenicznie. Bawili się na niej pospołu sędzia Sądu Najwyższego, jeden z byłych szefów służb, całkiem spore grono wykładowców akademickich. Ale nie to było najciekawsze. Byli też przedstawiciel starozakonnych w kipie oraz Robert Bąkiewicz. Nie było Grzegorza Brauna. Szkoda, bo byłoby ciekawiej.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z uwagą obserwujemy sytuację w wymiarze sprawiedliwości. Podejrzenia, jakoby prokurator krajowy Dariusz Barski miał wywiesić białą flagę i dogadać się z prokuratorem generalnym Adamem Bodnarem, okazały się na szczęście bez pokrycia. Owszem, Bodnar próbował na Barrym wymusić podanie się do dymisji, używając już to kija, już to marchewki. Problem polega na tym, że Bodnar najprawdopodobniej nie zapoznał się z CV Barry'ego. Onże bowiem z miasta Łodzi pochodzi i był w życiu już parę razy zastraszany. I to przez ludzi znacznie gorszych od Bodnara. A chodzi o tzw. łódzką ośmiornicę. Zapewniamy was, że zbiry z miasta robią większe wrażenie od pucołowatego ministra.

Nowa wiceminister sprawiedliwości Maria Ejchert odżegnuje się od Jacka Duboisa jako swojego męża. Prawnicy zwrócili nam uwagę, że zapewne nie zna ona Kodeksu postępowania karnego. A konkretnie art. 182 par. 2. Otóż stanowi on, że nawet po ustaniu małżeństwa były mąż wciąż należy do kręgu osób najbliższych, co powoduje, że np. można odmówić zeznawania przeciwko takiej osobie. Czekamy na oficjalny komentarz pani wiceminister.

Apropos „pani wiceminister". Wydaje nam się niesprawiedliwe, że wedle informacji ze stron rządowych kobieta w rządzie może być nazywana albo „ministrą", albo „panią minister", a mężczyzna tylko „ministrem". Panowie też powinni mieć jakąś alternatywę. Może „mister"? To ucieszyłoby ambasadora Marka Brzezinskiego.

Wiewiórki donoszą, że kilka osób z rządu, choć przeważnie wicemisterów, może mieć niebawem problem wynikający z przepisów antykorupcyjnych. Nie jest bowiem rzeczą powszechnie znaną, że jak się zostaje ministrem, to trzeba pożegnać się z wszelką inną działalnością. A to oznacza zrzeczenie się stanowiska w firmach i innych tego typu instytucjach. A nie wszyscy to zrobili. Słusznie! Brak naszej zgody na takie bezprawie, jak odbieranie ludziom chleba od ust! Przecież wiadomo, że z pensji wicemistera nie wyżyją.

Z wielką uwagą przyjęliśmy świadkowanie Jarosława Długiego Gowina (zwanego także Zapomnianym Jarosławem) przed komisją do spraw wyborów kopertowych. Tak się bowiem składa, że swego czasu jeden z Panów G. miał okazję długo na ich temat z rzeczonym Gowinem rozmawiać. Jeszcze kiedy był w rządzie PiS (Jarosław, nie Pan G.). No i jakby tu powiedzieć, nie wszystkie informacje z dziś pokrywają się z informacjami z wczoraj.

Możemy za to zdradzić, że swego czasu Długi Jarosław był wielkim zwolennikiem przeprowadzenia wyborów prezydenckich w oryginalnym terminie i w sposób tradycyjny, mimo epidemii covidowej. Jest w tym jeden haczyk: swoje przeświadczenie wyartykułował postronnym dopiero dużo później. Stąd stare polskie powiedzenie: „Mądry Jarosław po szkodzie".

Zupełnie natomiast nie dziwi nas to, że Jarosław Gowin pytany na komisji, czy proponowano mu stanowisko premiera w zamian za porzucenie rządu Zjednoczonej Prawicy, odpowiada, że nie pamięta. To przecież oczywiste, ludziom na pewnym poziomie rozmaite fotele, premiera, czy marszałka Sejmu, oferuje się po kilka razy dziennie, i to ze wszystkich stron. Co daje rocznie łącznie tysiące propozycji. Kto by się tam po latach rozeznał, kiedy która była składana.

Skoro już o komisji do spraw wyborów kopertowych: pojawiają się teorie spiskowe, że ma ona na celu rehabilitację Gowina i umożliwienie mu powrotu na łono Platformy Łobywatelskiej. Otóż nie. Przedstawiciele Eine Totalkoaliton nie kryją w prywatnych rozmowach, że cel jest zupełnie inny. Chodzi o to, by z Jackiem Sasinem zrobić to samo, co z Kamińskim i Wąsikiem.

Ze świata kultury. Musimy niestety uważać, z czego żartujemy. Ledwie sobie pozwoliliśmy na podśmiewajki, oczekując emisji „Zielonej granicy" w neo-TVP na Wielkanoc, a już się okazało, że nie trzeba tyle czekać. Film Holland już trafił do serwisu VOD TVP. W dodatku otrzymał nagrodę Złote Taśmy dla najlepszego polskiego filmu roku, przyznawaną przez Koło Piśmiennictwa Filmowego Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Odnotujmy, że koło zrzeszać musi jednak ludzi bardziej niepiśmiennych. Gdyby umieli pisać i czytać, to przeczytaliby już dawno temu w „Wyborczej", że te wszystkie poruszające „prawdziwe historie" to był pic na wodę.

Na zakończenie coś z okazji rozpoczynających się ferii. Nie wszyscy może wiedzą, ale skrzynki e-mailowe dziennikarzy bombardowane są każdego dnia przez rozmaite agencje PR, które próbują wzbudzić zainteresowanie wyjątkowo ważnymi problemami świata, który nas coraz bardziej otacza. Zwykle ignorujemy, ale czasem trafiamy na perełki. Oto jedna z nich: „Ferie za pasem! Jak zatroszczyć się o tatuaż podczas zimowych wyjazdów?". Podpowiadamy: wcześniej. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

Donald Tusk i Radosław Sikorski podczas spotkania dotyczącego relacji polsko-ukraińskich, Warszawa, 26 września 2023 r. FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Nowi słudzy Ukrainy – ekipa Tuska w butach PiS

Jan Fiedorczuk

Podejście rządu Donalda Tuska do Ukrainy wydaje się równie naiwne jak poprzedniego. Problem w tym, że naiwny entuzjazm nie zastąpi nam polityki wobec Ukrainy

Wiceszef MSZ chwali się niepodaniem ręki chargé d'affaires Rosji, premier walczy o wejście Ukrainy do Unii Europejskiej, szef dyplomacji niedwuznacznie grozi Putinowi, a przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych opowiada o rozpadzie Rosji. Gdyby ktoś zapadł w śpiączkę i nie wiedział, że doszło do zmiany władzy i chodzi o Władysława Teofila Bartoszewskiego, Donalda Tuska, Radosława Sikorskiego oraz Pawła Kowala, to mógłby strzelać w ciemno, że mówimy dalej o rządzie PiS.

W polskiej polityce wiele się zmieniło w ostatnich tygodniach, jednak bezrefleksyjne nastawienie wobec wojny na Ukrainie pozostaje to samo. Bezrefleksyjne, gdyż nowy rząd, podobnie jak poprzedni, ogranicza się do podniosłych słów i gestów, ale jednocześnie unika jasnych, klarownych deklaracji. To, że Polska chce pomagać napadniętemu sąsiadowi, jest oczywiste od dwóch lat. Jaka jest jednak strategia naszych władz? Co konkretnie chce zdziałać i uzyskać rząd Donalda Tuska? Czego oczekujemy od Ukrainy i co jej oferujemy? Dlaczego i jak

eprasa.pl e333bdb72c

długo? Na żadne z tych pytań nie mamy odpowiedzi. W typowej dla polskiej polityki emocjonalnej tromtadracji i retorycznej galopadzie nasze elity uznały, że skoro wspieramy napadniętą Ukrainę, to nie wystarczy być podporą dla Kijowa, tylko należy być na jego każde wezwanie.

Nowe władze opowiadają się np. za wejściem Ukrainy do Unii Europejskiej, starając się nawet pozycjonować na kogoś w rodzaju „adwokata" [sic!] takiego akcesu, jednakże ani Donald Tusk, ani Radosław Sikorski, ani nikt inny z rządu nie tłumaczą, co właściwie Polska miałaby zyskać na takim rozwiązaniu. Rozszerzenie Unii Europejskiej o Ukrainę zostało uznane a priori za tożsame z polską racją stanu, a przecież wątpliwości związane z takim krokiem są jak najbardziej realne. Zamiast rzetelnej, uczciwej dyskusji na temat plusów i minusów planowanego poszerzenia UE otrzymujemy moralne wzmożenie. Dokładnie takie samo jak za rządów Mateusza Morawieckiego.

WSZYSTKO PO STAREMU

Jedną z najbardziej zaskakujących cech polskiej klasy politycznej pozostaje brak zrozumienia dla, w sumie oczywistej, konstatacji, że o ile z Ukrainą posiadamy – przynajmniej częściowo – wspólne interesy na niwie bezpieczeństwa, o tyle niekoniecznie już na płaszczyźnie gospodarczej, historycznej czy politycznej. I choćby nie tak dawne złożenie przez Ukrainę skargi na Polskę do Światowej Organizacji Handlu, pomimo całego ogromu pomocy okazanej Kijowowi, stanowi wyłącznie jeden z wielu przykładów na potwierdzenie tych słów. Nawet jeżeli jest to truizm, to najwyraźniej należy przypominać, że w polityce międzynarodowej wdzięczność nie jest żadną walutą. To, że Rosja stanowi zagrożenie dla obu państw, nie oznacza, że Kijów i Warszawa będą jednomyślne w każdym innym temacie.

A jednak, w Polsce zmieniają się rządy, zmienia się premier, zmieniają się dziennikarze w mediach publicznych, zmienia się obsada spółek Skarbu Państwa i zmienia się stosunek do Unii Europejskiej, zmienia się niemal wszystko, ale jedno pozostaje niezachwiane – bezrefleksyjny „ukrainoentuzjazm". I podkreślmy w tym miejscu – nie chodzi o pomoc logistyczną czy humanitarną, której Polska słusznie udziela napadniętemu sąsiadowi, tylko o sam emocjonalny stosunek wobec Kijowa oraz brak jakiejkolwiek prawdziwej polityki wobec Ukrainy.

Kilka miesięcy temu Platforma Obywatelska prezentowała „plan stabilizacji" relacji polsko-ukraińskich. W jednym z punktów zaproponowano, aby Polska pomagała Ukrainie w uzbrojeniu, ale… nie dopłacała do tego. Jak tłumaczył Donald Tusk, chodziło o to, żeby „Polacy nie ponosili ciężarów finansowych związanych z pomocą militarną dla Ukrainą". W jaki sposób możemy jednak oferować pomoc militarną, nie ponosząc przy tym żadnych kosztów i nie zubożając własnego potencjału wojskowego? Jak to ma się do niedawnych zapowiedzi ministra Radosława Sikorskiego, że polskie władze rozmawiają z Ukrainą „o nowych formach wsparcia jej bohaterskiego oporu przed agresją rosyjską"? I czemu szef MSZ nie ujawnia, jaka to ma być pomoc i jakie koszty spowoduje dla polskiego podatnika? Dlatego właśnie mowa o płytkim „ukrainoentuzjazmie", a nie realnej „polityce wobec Ukrainy", gdyż takiej polityki państwo polskie właściwie nie prowadzi. Stosunek Polski wobec Kijowa nadal opiera się wyłącznie na emocjach i myśleniu życzeniowym, a nie racjonalnych rachubach. Parafrazując Mackiewicza, można powiedzieć, że entuzjazm nie zastąpi nam polityki wobec Ukrainy.

Skoro Morawiecki pokłócił się z Zełenskim, to Tusk będzie teraz najlepszym przyjacielem ukraińskiego lidera

– Jesteśmy tutaj sługami narodu ukraińskiego, jego próśb – mówił w marcu 2022 r. ówczesny rzecznik MSZ Łukasz Jasina. Ten krótki cytat bodaj najdobitniej, a zarazem najpełniej oddawał bezrefleksyjną strategię Prawa i Sprawiedliwości wobec Kijowa. Warto się zastanowić, czy nowy rząd ma zamiar kontynuować „linię Jasiny".

Szczególnie że w ostatnich miesiącach dochodzi do zmiany klimatu politycznego nie tylko na świecie, lecz także na samej Ukrainie. Wołodymyr Zełenski jest otwarcie krytykowany, i to nawet przez wojskowych, a jego reelekcja nie jest już tak pewna. Co więcej, po klęsce ukraińskiej kontrofensywy potwierdza się to, co realiści przewidywali od dawna – odbicie utraconych terenów jest nierealne, a Rosja nie tylko przetrwała kryzys, lecz także najprawdopodobniej zachowa część zdobyczy. Wcześniej czy później Kijów będzie musiał usiąść do rozmów pokojowych i wtedy Polska ze swoją strategią „ani kroku wstecz", ze swą wiarą w „pełne zwycięstwo" nad Rosją zostanie jak Himilsbach z angielskim. Patrząc na deklaracje polskiej dyplomacji, można dojść do wniosku, że nawet samym Ukraińcom będzie łatwiej niż Polakom zaakceptować pokojowe rokowania z Putinem.

UKRAINA DO UE

Pierwszy rząd Donalda Tuska nie był przesadnie przyjaźnie nastawiony wobec Ukrainy. Zwolennicy Platformy mogą bronić miarkowanie prorosyjskiej linii ówczesnych władz, wskazując, że Tusk wpisał się jedynie w szerszy zachodni trend symbolizowany przez politykę resetu Baracka Obamy oraz strategiczne partnerstwo Berlin – Moskwa. Bo i prawdą jest, że ambicją Donalda Tuska zawsze pozostawało płynięcie w głównym nurcie zachodniej polityki.

Stosunek wobec Ukrainy zaczął zmieniać się po inwazji Rosji na Krym w 2014 r., gdy mit Putina jako pokojowego biznesmena i demokratycznego reformatora zaczął się walić, ale prawdziwym punktem zwrotnym okazał się atak z 24 lutego 2022 r. Nagła wolta PiS wobec Ukrainy w trakcie kampanii wyborczej była już jedynie postawieniem kropki nad i. Skoro PiS idzie w lewo, to PO odbije w prawo, skoro Morawiecki pokłócił się z Zełenskim, to Tusk będzie teraz najlepszym przyjacielem ukraińskiego lidera.

Tu należy rozróżnić jednak dwie kwestie – zapowiedź Donalda Tuska dotyczącą po prostu działania na rzecz doraźnej pomocy od np. kampanii na rzecz wejścia Ukrainy do Unii Europejskiej. To drugie działanie wydaje się wręcz jawną kontynuacją romantyczno-prometejskiej linii Prawa i Sprawiedliwości, które starało ustawić się w roli adwokata Kijowa w Europie. Sedno problemu streszcza

eprasa.pl e333bdb72c

się w konstatacji, od której zaczyna się niniejszy artykuł – oprócz kwestii rosyjskiego zagrożenia interesy obu państw są częstokroć przeciwstawne. Dlatego też geopolityczna misja na rzecz akcesji Ukrainy jest z punktu widzenia polskiego interesu narodowego co najmniej dyskusyjna, by nie rzec – szkodliwa.

Rozszerzenie Unii Europejskiej o Ukrainę już z powodów stricte gospodarczych jest dla Polski ryzykowne. Tę kwestię skrupulatnie omawiał Jakub Wozinski kilka tygodni temu w „Do Rzeczy" (nr 43/2023), dlatego tutaj pokrótce wymieńmy jedynie najważniejsze punkty: rosnące koszty polskiego członkostwa w UE zderzą się z wysokimi wypłatami na rzecz Ukrainy, która stanie się jednym z głównych beneficjentów „nowej" Unii; miliardy euro, pochodzące również od polskich podatników, trafiłyby do oligarchów trzymających rękę na ukraińskim rolnictwie; zaburzenie polskiego rynku, czego przedsmak widać już dzisiaj na przykładzie walki o zboże; utrata lukratywnej pozycji Polski w postaci logistycznego węzła spajającego Ukrainę z Unią; podłączenie unijnej kroplówki z dotacjami do państwa trawionego korupcją, które nawet w samym środku wojny jest wstrząsane kolejnymi aferami opiewającymi na dziesiątki milionów euro. Do tego oczywiście dochodzi wiele innych wątpliwości dotyczących samej wojny – wątpliwe jest, czy nawet przyjęcie Ukrainy do UE skłoni Rosję do rezygnacji ze swych imperialnych ambicji, co z kolei boleśnie odciśnie się na całej Europie.

Drugim, o wiele poważniejszym, problemem jest jednak to, że Niemcy wyraźnie dały do zrozumienia, iż Ukraina będzie mogła wejść do Unii, wyłącznie jeżeli wcześniej zostanie przeprowadzona głęboka reforma wspólnoty, obejmująca zniesienie zasady weta, scentralizowanie Europy i przekształcenie jej w „aktora geopolitycznego". Wzmiankowany wcześniej emocjonalny stosunek polskich władz do Ukrainy sprawia, że Niemcy mogą z łatwością stosować szantaż, wiedząc, że Polska i tak ostatecznie się ugnie. Tymczasem dopóki obie kwestie – centralizacja i rozszerzenie UE – są połączone, dopóty Polska powinna jednoznacznie odmawiać dalszych dyskusji na ten temat.

Nowy polski rząd jedynie podtrzymuje wrażenie bezalternatywności ukraińskiego akcesu. Szef polskiej dyplomacji na pierwszą podróż udał się właśnie do Kijowa, gdzie opowiadał, że najpóźniej pod koniec dekady Ukraina w swoich nienaruszonych granicach powinna wejść do Unii Europejskiej. Sikorski miał też rozmawiać z samym Zełenskim na temat tego, jak doprowadzić do tego, aby w przeciągu kilku najbliższych lat „obydwa państwa stworzyły silne wschodnie płuco Unii Europejskiej". Również sam Donald Tusk nie pozostawia wątpliwości, że doprowadzenie do akcesu Ukrainy stanowi jeden z priorytetów jego rządu. Zresztą były prezydent Ukrainy Petro Poroszenko przyznał niedawno, że polski premier jest jednym z „ojców" ratyfikacji układu stowarzyszeniowego i ruchu bezwizowego między Ukrainą a UE. A z kolei Rafał Trzaskowski, czyli obecnie najpoważniejszy kandydat na urząd prezydenta w 2025 r., podkreślał w przeszłości, że członkostwo Ukrainy w Unii Europejskiej jest sprawą „absolutnie priorytetową".

Przed wyborami Donald Tusk wytykał Jarosławowi Kaczyńskiemu, że ten dopuścił do rozbrojenia Polski

Uderzające jest jednak, że nikt z liderów PO nie tłumaczy, co Polska miałaby konkretnie zyskać na takim rozwiązaniu – członkostwo w Unii uznano jednomyślnie za scenariusz bezalternatywny i nawet nie starano się go uzasadnić. Tymczasem zagrożenia natury gospodarczej i politycznej są ewidentne. Z kolei bezpieczeństwo militarne Ukrainy jest zależne w lwiej części od USA, a nie od Brukseli.

CZYJ INTERES WAŻNIEJSZY?

A przecież jeszcze przed przejęciem władzy lider PO zdawał się nie ulegać całkowicie temu naiwnemu „ukrainoentuzjazmowi". Nawet w czasie kampanii wyborczej, popierając oczywiście samą pomoc dla Kijowa, Tusk wytykał Kaczyńskiemu, że ten dopuścił do rozbrojenia Polski, oraz robił zarzut z tego, że Polska nie zarabia na odbudowie Ukrainy.
– Jesteśmy na szarym końcu, jeśli chodzi o uczestniczenie w projektach odbudowy po wojnie na Ukrainie, na których można po prostu zarobić – mówił Tusk, co było przecież całkiem zasadną uwagą i pozostaje jedynie zadać pytanie, co premier obecnie zamierza zrobić w tej kwestii.

Co więcej, Donald Tusk stwierdził nie tak dawno, że zaangażowanie na rzecz Ukrainy nie może oznaczać „braku serdecznej, życzliwej asertywności wtedy, kiedy chodzi o polskie interesy", wskazując przy tym na polskich przedsiębiorców, przewoźników oraz rolników. Biorąc pod uwagę „ukrainoentuzjazm" dominujący polską debatę, to to, że rozbieżność tych interesów została w ogóle dostrzeżona, już samo w sobie jest pozytywne, gdyż poprzednia władza przez ostatnie miesiące w ogóle nie zauważała problemu. Szkopuł w tym, że za tymi, rozsądnymi przecież, słowami Tuska na razie nie idą żadne działania.

Na zdecydowanie więcej niż Tusk pozwolił sobie jednak w temacie przewoźników Paweł Kowal, który w TVN24 otwarcie nawoływał do natychmiastowego zakończenia protestu. – Jest to mniejszościowa grupa, która zablokowała granicę w warunkach wojny, stworzyła ogromny korek, polskie państwo stoi obok, osoby, które powinny mieć rozwinięty swój biznes, polski, kontrolują inne samochody… No nie wiem, czy można jeszcze bardziej stworzyć sytuację, gdzie wóz stoi przed koniem – przekonywał poseł. Ta postawa jest bardzo znamienna, gdyż ukazuje, że w momencie konfliktu na linii Polska – Ukraina Kowal automatycznie, bez nawet jakiejś próby niuansowania, staje po stronie Kijowa.

Świat nie jest czarno-biały i Polska strona też oczywiście popełniała błędy, czego najlepszym przykładem kryzys zbożowy, który nasilał się od połowy 2022 r., a który władze PiS po prostu przespały. Istotna jest jednak kwestia proporcji – Ukraina nieustannie żąda dopasowywania się pod jej dyktando, jednocześnie nie oferując nic w zamian. Ani w sferze gospodarczej (kryzys zbożowy, protest przewoźników, odbudowa kraju), ani nawet historycznej (skandaliczna postawa Kijowa wobec sprawy Wołynia). Niestety, skoro sam szef sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych ocenia, że „nie ma czegoś takiego jak pomoc dla Ukrainy", gdyż w istocie wszystko, co robimy dla Kijowa, to „pomaganie sobie",

eprasa.pl e333bdb72c

to trudno mieć pretensje do Zełenskiego, że korzysta z tej sytuacji.

ROMANTYCY MIMO WSZYSTKO

Platforma Obywatelska jawiła się zawsze jako partia pragmatycznych liberałów, znajdująca się na antypodach względem romantyczno-mesjanistycznego PiS. A jednak trudno nie dostrzec w jej stosunku do Ukrainy typowej właśnie dla Kaczyńskiego naiwnej nuty. Romantyzm i mesjanizm to nurty, które ukształtowały polski wiek XIX, gdy rodziły się nowoczesne instrumenty polityczne, instytucje, a nawet sama polityka masowa, i nie sposób oddzielić od tych czasów współczesnej Polski. Najwyraźniej nawet politycy Platformy Obywatelskiej nie potrafili porzucić tego dziedzictwa.

Paweł Kowal dla przykładu mógłby nie tylko spokojnie reprezentować dawny rząd w sprawie Ukrainy, lecz także nawet robić za jednego z PiS-owskich „jastrzębi". Ledwie kilkanaście dni temu poseł zapewniał, że Rosja rozpadnie się w ciągu najbliższych 8–10 lat. Ta wypowiedź dobrze wpisuje się w szersze, manichejskie postrzeganie wojny przez Kowala – „wojny o wszystko", gdzie obóz dobra pod egidą Joe Bidena (którego poseł porównał swego czasu do Mojżesza!) walczy z siłami zła, a ukoronowaniem triumfu Zachodu ma być projekt unii polsko-ukraińskiej. Czasami ta postawa przybiera wręcz komiczne rozmiary, czego przykładem było niedawne spotkanie Rafała Trzaskowskiego ze Swiatłaną Cichanouską, którą wiceprzewodniczący PO przedstawił jako… „prezydenta elekta Białorusi".

W podejściu polityków PO wobec wojny na Ukrainie, Rosji i Białorusi w sposób oczywisty widać zatem kontynuatorów linii PiS, co wyraża się choćby w przekonaniu, że ich zdaniem Zachód po prostu nie rozumie powagi sytuacji. – Już nie mogę słuchać polityków – europejskich, z państw Zachodu – którzy mówią coś o zmęczeniu sytuacją w Ukrainie. Oni są zmęczeni. Mówią to w twarz Zełenskiemu, że nie mają siły, są wyczerpani. Zadaniem Polski, nowego rządu, nas wszystkich jest głośno, stanowczo domagać się od wspólnoty Zachodu determinacji w pomocy Ukrainie. Będę to robił od pierwszego dnia – mówił w exposé premier Donald Tusk. I tak teraz to nie Kaczyński, tylko Platforma Obywatelska będzie tłumaczyć zachodnim liderom wojnę na wschodzie. Jednak bez względu na emocjonalny ton wypowiedzi Tuska to zachodnie społeczeństwa są autentycznie zmęczone trwającą wojną. Czy analogicznie Polacy nie są już zmęczeni, dajmy na to, kryzysem migracyjnym na południu Europy? Zresztą wystarczy spojrzeć nawet na reakcje polskiego społeczeństwa, aby dostrzec, że klasa polityczna w naszym kraju jest o wiele bardziej proukraińska niż sami Polacy. A cóż dopiero mówić o ludziach z odległej Francji czy Włoch?

Tym, czego potrzebuje Ukraina do prowadzenia wojny, są dostawy nowoczesnego sprzętu, który mogą zaoferować jedynie USA (wszak Polska swój już dawno oddała). Rola Warszawy sprowadza się obecnie do pomocy logistycznej oraz humanitarnej i nie do końca wiadomo, w jaki sposób Donald Tusk chce nakłonić amerykańskie elity do większego zaangażowania w wojnę. Tak samo jak nie wiadomo, co ma na myśli wiceszef MSZ Władysław Teofil Bartoszewski, twierdząc, że Ukraina „może wygrać" wojnę, jeżeli tylko otrzyma dostatecznie duże wsparcie Zachodu. Czym bowiem jest „wygrana"? Obroną niepodległości Ukrainy? Odbiciem Donbasu? Przywróceniem kontroli nad Krymem? Rozbiciem Rosji? Jeżeli mamy pomagać Ukrainie aż do jej zwycięstwa, to polski rząd powinien sprecyzować, co to oznacza. Jednak politycy PO, dokładnie tak samo jak liderzy PiS, unikają konkretnych wskazań, ograniczając się do wzniosłych deklaracji i myślenia życzeniowego.

Dla Ukrainy opłacalne byłoby maksymalne rozszerzenie konfliktu i wciągnięcie państw Zachodu w wojnę

Bo wszak warto pamiętać, że nawet w sferze bezpieczeństwa interesy obu państw są zbliżone, ale przecież nie tożsame. Dla Ukrainy opłacalne byłoby np. maksymalne rozszerzenie konfliktu i wciągnięcie państw Zachodu w wojnę, co dla Polski stanowiłoby tragedię. Tymczasem nasi romantycy najwyraźniej nadal nie zdają sobie sprawy z grozy sytuacji. Jesteśmy świadkami potwornie brutalnej wojny, a dla naszych geopolityków i asów dyplomacji konflikt wydaje się jedynie grą komputerową – tu przerzucić kilka oddziałów, tam przesłać rakiety, tu z kolei powołać dwunarodową federację. Dla przykładu: Radosław Sikorski, szef polskiego MSZ, otwarcie mówił w wywiadzie dla CNN (!), by NATO de facto pomogło bombardować rosyjskie terytorium, przesyłając Ukrainie pociski dalekiego zasięgu. Problem w tym, że gdyby doszło do rozlania się konfliktu, to w naturalny sposób Warszawa – jako inicjator przekazania pocisków – stanie się pierwszym celem odwetu. Polscy politycy jednak w ogóle nie biorą pod uwagę takiego scenariusza. Dyplomacja dla nich to krzykliwe wywiady, kłótnie na Twitterze i wzniosłe deklaracje.

Summa summarum głos Polski dzisiaj już przecież wiele nie znaczy w temacie wojny, a co więcej – nawet sama Ukraina nic nie robi, by pozyskać naszą przychylność. Skoro do władzy doszedł rząd wyraźnie prounijny, to naturalne zdawało się, że głównym kierunkiem dyplomatycznej ekspansji będzie zachód, a nie wschód – Paryż, Berlin, może nawet Rzym czy Waszyngton, a nie Kijów. Przed Polską stają wszak olbrzymie wyzwania – od pozyskania funduszy z KPO, przez transformację energetyczną, modernizację armii, renegocjację traktatów unijnych, aż do nasilającego się kryzysu migracyjnego – i aby im wszystkim sprostać, rząd będzie musiał prowadzić wiele kampanii na unijnych salonach i dość nieprzemyślane wydaje się trwonienie naszego dyplomatycznego potencjału akurat na forsowanie tematu członkostwa Ukrainy w UE, czyli kwestii, która z punktu widzenia bezpieczeństwa Polski nie ma większego znaczenia, a która może wręcz posłużyć niemieckim elitom do promowania wizji scentralizowanego unijnego imperium.

Rząd Donalda Tuska działa dopiero od kilku tygodni, dlatego z ostateczną oceną jego polityki międzynarodowej wypada się wstrzymać. Niemniej już dzisiaj widać, że pomimo całej nienawiści do PiS Tusk podziela naiwny, pogodny „ukrainoentuzjazm" poprzedniego rządu. Najwyraźniej w Polsce wiele musi się zmienić, aby wszystko zostało po staremu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

Tuskowszczyzna bez rękawiczek

Piotr Semka

Po miesiącu rządów centrolewu wielu Polakom ostatnie lata rządów Mateusza Morawieckiego jawić się mogą jako okres spokoju i przewidywalności

Akcja aresztowania Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika oznacza, że wchodzimy już w fazę bezpośredniego konfliktu na szczytach władzy. To, że Donald Tusk przeprowadził swoją operację z tak dużym ładunkiem agresji i lekceważenia dla przepisów prawnych, ma bardzo złowrogą wymowę. Oznacza to, że lider PO z góry założył, iż nie będzie mu potrzebna żadna kooperacja z głową państwa. A to pozwala założyć, że będzie się starał unieważnić władzę prezydencką lub zepchnąć prezydenta środkami policyjno-politycznymi do roli bezsilnego statysty w pałacu przy Krakowskim Przedmieściu. Jest to niepokojące, tym bardziej że prezydent jest formalnie zwierzchnikiem sił zbrojnych i kooperacja pomiędzy szefem rządu a prezydentem w obliczu zagrożenia ze strony Rosji winna być czymś ważnym. Jak się okazuje – nie jest ważna.

OSTRA KUCHNIA TUSKA

Dla Tuska ważniejsze są pełna dominacja na scenie krajowej i stosunkowo szybkie wyeliminowanie wszystkich ośrodków władzy, które nie podlegają bezpośrednio jego decyzjom. Stosunkowo szybko możemy spodziewać się prób przejęcia Narodowego Banku Polskiego i odrzucenia ważności werdyktów Trybunału Konstytucyjnego. Sąd odrzucił wniosek o wpisanie do KRS, jako władz w TVP, uzurpatorów ministra Sienkiewicza. Ale czy zachowa się tak samo wobec wyznaczonych przez tego samego Sienkiewicza likwidatorów TVP?

Logika łamania prawa ma tę fatalną cechę, że zmusza do kolejnych przekroczeń. A Tusk to polityczny kucharz, który lubi ostrą kuchnię. Wszystko to odbywa się przy wyraźnej skłonności gdańskiego polityka do hołdowania emocjom najbardziej nienawistnego i żądnego odwetu segmentu wyborców PO. Jak trafnie zwraca uwagę publicysta Tomasz Wróblewski: „Historia zna całe mnóstwo przypadków, gdzie politycy rządzili, zaspokajając najniższe instynkty elektoratu żądnego zemsty. Problem w tym, że tego procesu nie da się zatrzymać. Poczucie niesprawiedliwości będzie się nasilało, a nie wygasało w miarę eskalowania działań odwetowych. […] nie chodzi bowiem o sprawiedliwość, ale o poczucie niedowartościowania tej części elektoratu. Coś, co nie znika po wsadzeniu do więzienia dwóch posłów. Codziennie trzeba więcej i więcej »winnych«, żeby wypełnić czymś pustkę polityczną".

Doskonałą ilustracją tych nastrojów są wpisy niektórych posłów Platformy. Łukasz Kohut, europarlamentarzysta PO, powitał interwencję policji w Pałacu Prezydenckim wpisem: „Zatrzymani. Policja wjechała na melinę". Z kolei posłanka Klaudia Jachira postanowiła zagrozić Polsatowi po zapowiedzi kar dla firm, które wycofały swoje spoty z TV Republika nadającej w Polsatowskich pakietach reklamowych. „Solorz powinien wiedzieć, że wielkie pieniądze lubią spokój i że nie powinien się tak angażować w obronę stacji, która swoimi programami narusza prawo". Wiceminister sprawiedliwości Maria Ejchart na pytanie o głodówkę Mariusza Kamińskiego w areszcie odpowiada beznamiętnie: „Każdy ma prawo nie jeść i nie pić". To, że osoba wypowiadająca te słowa była wcześniej 20 lat we władzach Helsińskiej Komisji Praw Człowieka w Polsce, pokazuje skalę demoralizacji elit, które stanowią obecnie zaplecze rządu PO.

W sytuacji tak dużej łatwości sięgania po środki siłowe skokowo narasta podejrzliwość wobec działań władzy. Autobus, który zablokował prezydentowi możliwość wyjazdu z Belwederu akurat wtedy, kiedy policja aresztowała Wąsika i Kamińskiego, mógł naprawdę się zepsuć, ale w kraju, w którym „łyse karki" dokonują najazdu na gabinet prezesa TVP, przeciwnicy rządu Tuska mają pełne prawo podejrzewać wszystko, co najgorsze.

A w jakiej sytuacji obecnie Tusk postawił prezydenta? Skoro oficerowie Służby Ochrony Państwa posłusznie wpuścili policję do Pałacu Prezydenckiego, uznając swoją podległość wobec ministra Marcina Kierwińskiego, to jaką można mieć pewność, że w razie pomysłu na inwigilację prezydenta nie nafaszerują jego gabinetu podsłuchowymi pluskwami? Na tym polega straszna konsekwencja łamania prawa i używania metod siłowych, że wytwarza ona podejrzenia, które paraliżują wszelką współpracę i prowadzić mogą do nieprzewidywalnych skutków.

Na dodatek wszystko to dzieje się w państwie, w którym nie istnieje już powszechnie akceptowany przez wszystkie strony politycznego sporu jakiś system ustalania, które interpretacje prawa są słuszne, a które nie. Skoro marszałek Hołownia mógł uznać, że może sobie wybierać wśród izb Sądu Najwyższego w kwestii ustalenia statusu prawnego posłów Wąsika i Kamińskiego, to dowolność w respektowaniu prawa staje się normą, a także likwiduje wszelki legitymizm prawny.

W tym chaosie Donalda Tuska ograniczają już tylko dwa elementy: opór społeczny, który objawiać się może protestami i demonstracjami, oraz obawa poszczególnych sędziów przed potwierdzaniem swym nazwiskiem werdyktów wątpliwych prawnie. Wystarczyła odmowa wpisania neowładców TVP do Krajowego Rejestru Sądownictwa, by natychmiast dziesiątki nowo zatrudnianych pracowników neo-TVP straciły rezon. Ale ostatecznie tam, gdzie dokonuje się erozja prawa, tam decyzje rozstrzygać będą czynniki siłowe. Pytanie brzmi: Jaka duża będzie gotowość służb mundurowych do firmowania

eprasa.pl e333bdb72c

kolejnych agresywnych posunięć Donalda Tuska?

Aresztowanie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wasika w Pałacu Prezydenckim było policzkiem dla prezydenta. Brutalnym złamaniem wszelkich nadziei na choćby symboliczny consensus głowy państwa z koalicją centrolewu. Prezydent musi się liczyć z kolejnymi demonstracjami lekceważenia jego władzy ze strony Platformy. Niestety, trudno uznać reakcje głowy państwa na ten atak za przemyślane. Najpierw – dzień po akcji policji – dość nijakie przemówienie z propozycją jakiegoś porozumienia z ekipą Tuska. A potem, w czwartek 11 stycznia, głowa państwa podjęła decyzję o wszczęciu nowej procedury ułaskawieniowej wobec Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika oraz zaapelowała o uwolnienie dwóch posłów.

Politycznie przerzuca to ciężar odpowiedzialności za dalszy los skazanych na rząd Donalda Tuska. To swoiste przerzucenie piłki na pole ministra Bodnara, tak aby ten określił się w sporze. Cała sprawa stworzy jednak wrażenie, że prezydent sam uznał nieskuteczność pierwszego aktu łaski. Andrzej Duda nie uniknął sprawiania wrażenia działania pod wpływem emocji. Lepiej dla niego byłoby poczekać na dogodny moment do kontry wobec ekip Tuska.

Dzieje się to w sytuacji, gdy w otoczeniu głowy państwa nie widać zbyt wielu wytrawnych polityków. Najbardziej sprawny w tym gronie Marcin Mastalerek, trzy miesiące temu zepsuł relacje prezydenta z PiS nonszalanckimi radami, by Jarosław Kaczyński udał się na polityczną emeryturę. A to PiS jest obecnie jedyną ważną siłą, która może być sojusznikiem Andrzeja Dudy. Niejasne wrażenie robiły także propozycje Andrzeja Zybertowicza, doradcy prezydenta, by zasiąść do rozmów w sprawie reformy mediów publicznych i wymiaru sprawiedliwości w trójkącie prezydent – rząd – opozycja. Wszytko to za cenę przyznania się przez PiS, że TVP Jacka Kurskiego i Mateusza Matyszkowicza „nie były mediami wysokiej jakości". Zybertowicz, występując w TV Republika, wezwał prawicę, aby „rozstała się ze złudzeniem, że obóz patriotyczny uzyska w przyszłości samodzielną władzę nad Polską, bez kompromisów i zdolności koalicyjnej".

Zybertowicz zdaje się nie rozumieć, że na razie Tusk nie ma ochoty na żaden kompromis. Heroldzi prawniczej rekonkwisty w sądach, tacy jak Marcin Matczak czy Michał Paprocki, już ogłosili, że prezydenckie propozycje porozumienia to faktyczne przyznanie się głowy państwa do słabości.

Główna partia opozycyjna jest dziś mentalnie lepiej przygotowana na konflikt z Tuskiem. Demonstracja 11 stycznia, której nie sprzyjały mróz i śnieżyca, była sukcesem frekwencyjnym i wykazała sprawność mobilizacyjną PiS. Niezależnie od tradycyjnych sporów o liczebność Marszu Wolnych Polaków (liczbę uczestników szacuje się na ok. 120 tys. osób).

Sytuacja jawnej agresji ze strony partii liberalno-lewicowego ładu III RP i jej zaplecza medialnego nie jest dla PiS nowością. Wśród liderów są politycy dobrze pamiętający klimat nocy czerwcowej z 1992 r., inwigilacji prawicy za czasów rządów Hanny Suchockiej czy prowokacji wobec marszów smoleńskich w latach 2010–2015. Także kod zachowań w obliczu represji w wypadku takich weteranów opozycji jak Kamiński i Wąsik jest czymś naturalnym, a nie wyuczonym. Nowym, ciekawym zjawiskiem jest aktywizacja młodszej generacji posłów PiS, 40-latków, którzy nie zaznali wcześniej zderzenia z nagą siłą wrogiej „okrągłostołowej" władzy. Dla Krzysztofa Szczuckiego, Przemysława Czarnka, Waldemara Budy czy Piotra Muellera obecne wydarzenia to rodzaj doświadczenia pokoleniowego przypominającego szok, który w latach 90. po prawej stronie wywołał polityczny lincz na rządzie Jana Olszewskiego 4 czerwca 1992 r.

SPOJRZENIE Z KREMLA

Dodatkowo na korzyść PiS działa to, że gwałtowne przyspieszenie polityczne, na które zdecydował się Donald Tusk, zmienia kontekst wielu wcześniejszych, propagandowych zamierzeń Platformy. Suma 70 mln zł wydanych na wybory kopertowe przestaje robić wrażenie, gdy zamach na TVP generuje już teraz straty dla telewizji liczone w setkach milionów złotych. Nie wszystko też udaje się w przewidywaniu efektu propagandowego komisji śledczej mającej wyjaśnić próby przygotowania wyborów korespondencyjnych. Kreowany na świadka koronnego Jarosław Gowin wypadł dość blado i wręcz się ośmieszał, powołując się na brak pamięci, gdy wypytywano go, czy w zamian za pomoc w obaleniu rządu PiS miał otrzymać funkcję marszałka Sejmu. Wysunięci przez Platformę jako liderzy komisji kopertowej Dariusz Joński i były prezydent Sopotu Jacek Karnowski kompromitują się bezradnością i brakiem wiedzy prawniczej przy procedowaniu prac komisji. To wszystko daje PiS dość mocną pozycję w rozgrywce z najnowszą ofensywą Tuska.

Na dodatek Konfederacja, przynajmniej w wypowiedziach Krzysztofa Bosaka, także zaczyna dystansować się od awantury wywołanej przez nowy rząd. Milczenie Władysława Kosiniaka-Kamysza również nie wróży najlepiej Donaldowi Tuskowi, choć oczywiście można uznawać za plus to, że PSL-owcy nie śmią wprost przeciwstawić się awanturom swojego koalicjanta.

Trudno ocenić, jak duże straty wizerunkowe ponosi Donald Tusk w wyniku swoich agresywnych zachowań na scenie krajowej. Owszem, rzecznik Komisji Europejskiej nagle świętoszkowato oświadcza, że komisja nie komentuje wydarzeń wewnętrznych w krajach unijnych, ale tym bardziej kompromituje to stronniczość Brukseli, która za rządów PiS żadnych oporów w komentowaniu wewnętrznych konfliktów w Polsce nie miała. Postawa Niemiec jest jasna – pełne poparcie dla wszelkich awantur Tuska. A dyskretne milczenie ambasady USA jest dla wielu obserwatorów dowodem, że Waszyngton uznał Polskę za strefę wpływów niemieckich.

Wszystko to jednak nie zmienia tego, że doprowadzenie przez Tuska do tak ostrej polaryzacji na scenie krajowej musi być uważnie obserwowane przez Moskwę. Pytanie, jak Kreml postanowi wykorzystać to oczywiste osłabienie siły państwa, które Rosjanie uważają za swojego wroga.

Ostatnie pytanie: Na ile polityka Platformy wpłynie na poparcie dla tej partii? Po miesiącu rządów centrolewu wielu Polakom ostatnie lata rządów Mateusza Morawieckiego jawić się mogą jako okres spokoju i przewidywalności. Praktyka polityczna pokazuje, że świadomość zmiany dociera do wyborców z pewnym opóźnieniem. Ale porównania obecnej rzeczywistości do ośmiu PiS-owskich lat rządów pojawiać się mogą coraz częściej. Nie będą to skojarzenia korzystne dla Donalda Tuska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

Prawnicy bezprawia

Rafał A. Ziemkiewicz

Chyba nikt jeszcze nigdzie na świecie nie widział takiej sytuacji, kiedy cały prawniczy establishment wzywa otwarcie do łamania prawa, podważając w plemiennym zaślepieniu nawet sam sens jego istnienia

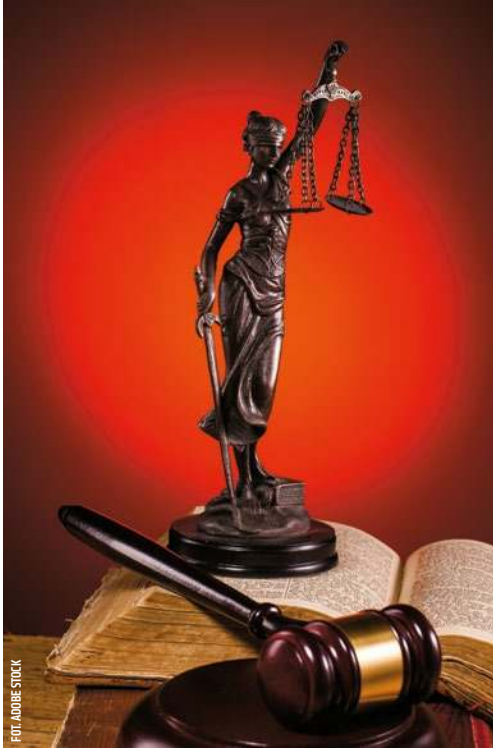

FOT. ADOBE STOCK

Słowa Tuska, które już stały się symbolem i mottem jego powtórnych rządów – „Wszystko odbędzie się zgodnie z prawem, tak jak my je rozumiemy" – można uznać za cyniczny dowcip, coś w rodzaju słynnego „Nie mamy pańskiego płaszcza. I co nam pan zrobi?" z „Misia". W każdym razie, jeśli nawet budziły oburzenie, to były to słowa w ustach polityka dopuszczalne.

Zupełnie inaczej jest, kiedy „nasze rozumienie prawa" staje się doktryną prawną głoszoną przez prawnicze autorytety, i to te z najwyższej – jeśli patrzeć na tytuły i piastowane funkcje – półki. Z tej przyczyny za znacznie bardziej oburzające od wypowiedzi Tuska należy uznać słowa jego podwładnego, Adama Bodnara, obecnie ministra sprawiedliwości: „Musimy przywrócić praworządność i szukamy do tego jakiejś podstawy prawnej". To wyznanie, które wymknęło się w chwili nieostrożności ministrowi, demaskuje całkowicie postawę byłego rzecznika praw obywatelskich i posiadacza rozmaitych prawniczych laurów, głównie tych przyznawanych przez organizacje międzynarodowe. Robimy to, co robimy; nie dlatego, że wynika to z prawa, lecz „jakiejś podstawy prawnej" dla naszych działań szukamy dopiero post factum. „Przywracanie praworządności" staje się w ten sposób oczywistą kpiną, Orwellowską propagandową maską do realizowania własnych interesów; jak w kawale o prawnikach, którzy na pytanie, ile jest dwa razy dwa, odpowiadają pytaniem, ile klient chce, żeby było. Tylko że w kawale prawnik przed zadaniem pytania sprawdza, czy nikt rozmowy nie podsłuchuje, i rozłącza telefon komórkowy, a Bodnar z szukania „jakiejś podstawy prawnej" zwierzył się z rozbrajającą szczerością w radiu.

ODWRÓCONY SENS PRAWA

Nie była to zresztą jedyna prawnicza kompromitacja ministra sprawiedliwości – wcześniej zadano mu niewygodne pytanie, czy pamięta jeszcze, że to on sam, jako RPO, w 2016 r. wnosił do Trybunału Konstytucyjnego o uznanie za sprzeczne z konstytucją jednoosobowego powoływania przez ministra rad nadzorczych i zarządów spółek, w czym Trybunał, wtedy jeszcze pod wodzą Andrzeja Rzeplińskiego, przyznał mu zresztą rację (na ten właśnie wyrok i na argumenty ówczesnego Bodnara powołał się sędzia referendarz, odmawiając wpisania medialnych treuhänderów Sienkiewicza do Krajowego Rejestru Sądowego); jakże więc teraz może popierać działanie ministra Sienkiewicza? Bodnar odpowiedział na to, że „ma do Sienkiewicza zaufanie".

Minister Bodnar jest jednak przecież, z całym szacunkiem, tylko doktorem i byłym RPO, który w dodatku nigdy nie ukrywał swych lewicowych przekonań (uczynił nawet swoim zastępcą osławioną Sylwię Spurek). Cóż można powiedzieć o byłym przewodniczącym TK, obecnie sędzi TSUE, profesorze, który jako wykładowca i autorytet akademicki wychował całe pokolenia polskich prawników – Marku Safjanie? To on właśnie pierwszy wezwał do ignorowania przepisów prawa, zamieszczając pod koniec listopada 2023 r. w „Gazecie Wyborczej" kuriozalny apel, by „wyrwać się z pułapki prawniczego formalizmu". „Wiemy, jak być powinno – zaczyna swój esej Safjan – i na czym polega zgodność ze standardami prawa, a mimo to" niektórzy prawnicy wyszukują niepotrzebne przeszkody. Profesor Safjan sprzeciwia się im stanowczo, przecinając gordyjski węzeł ograniczających „przywracanie demokracji" zapisów konstytucji i ustaw propozycją, by w imię „wiemy, jak być powinno" ignorować te prawa, które w „przywracaniu" przeszkadzają. Jeśli np. prezydent nie będzie chciał podpisać ustawy przegłosowanej przez sejmową większość, bo prezydent jest z PiS, to można PiS-owca, jako „łamiącego konstytucję", zignorować i „domniemać", że gdyby prezydentem był polityk „praworządny", toby podpisał, i na tej zasadzie „domniemać" ważność niepodpisanej ustawy. Ogólnie bowiem „duch" prawa jest nadrzędny wobec jego litery. Przy czym sposób używania przez prof. Safjana pojęcia „duch prawa" nie ma nic wspólnego z używanym od wieków pojęciem „Ius" – prawa naturalnego, które jest wpisane w porządek stworzenia, gdy „lex", prawo pisane przez ludzi, jest tylko zapisem jego odkrywania. W tym konkretnym przypadku „duch prawa" to właśnie owo ogólnikowe „wiemy, jak być

eprasa.pl e333bdb72c

powinno", i wiemy, jakie są „standardy prawa".

Proszę zwrócić uwagę, że te horrendalne elukubracje sławnego profesora całkowicie odwracają sens prawa, nadany mu jeszcze przez starożytnych. Prawnik ze znawcy kodeksów i precedensów, który realizuje ich zapisy, choćby nawet traktował je instrumentalnie, dorabiając „jakąś podstawę prawną" do realizowanych zamiarów, zmienia się w kapłana, który odczytuje niewidoczne dla innych znaki od bóstwa. O tym, że to on właśnie jest uprawniony do ich odczytywania, decyduje jego kapłańska ranga, w tym wypadku prawnicze tytuły. Innymi słowy, nie dlatego prof. Marek Safjan jest autorytetem prawniczym, że zna arkana prawa lepiej od innych, ale dlatego zna je lepiej od innych, że jest autorytetem prawniczym, a więc to on, wraz z sobie podobnymi arcykapłanami, swymi egzegezami „standardów" prawo tworzy. Jest to, nawiasem mówiąc, uroszczenie, przed którym przestrzegał kiedyś prawników sławny amerykański sędzia Sądu Najwyższego Antonin Scalia w wygłoszanym w Warszawie wykładzie „Mułłowie Zachodu" – niestety, nasz miejscowy establishment prawniczy wykład ten zbojkotował, ponieważ Scalię zaprosił do polski pogardzany przez nich „PiS-owski" RPO, Janusz Kochanowski.

Koncept „prawniczego formalizmu", czyli przestrzegania litery prawa, jako „pułapki", uniemożliwiającej należyte „przywrócenie praworządności", na swój sposób jest kalką z retoryki PiS i samego Jarosława Kaczyńskiego, który wiele wątpliwych działań uzasadniał koniecznością przełamania „impossybilizmu prawnego". Tu jednak retoryka „tak do końca zgodnie z prawem się naprawić nie da" nie służy już, jak czynił to PiS, obchodzeniu przepisów czy ich naginaniu, czego modelowym przykładem było wykorzystanie zasady „domniemania konstytucyjności" i zaprzysiężenie przez prezydenta wybranych przez Sejm sędziów jeszcze tej samej nocy, zanim TK zdążyłby się zebrać, aby ich wybór formalnie podważyć. Tego rodzaju działania, acz zawsze budzą wątpliwości i sprzeciwy, są w świecie stosowane dość często; lubują się w nich zwłaszcza Amerykanie. Jednak w wersji zaproponowanej przez Safjana potępienie „prawniczego formalizmu" uzasadniać ma po prostu otwarte łamanie prawa przez osoby i instytucje powołane do jego pilnowania. Sprawa do rozpoznania może trafiać do sądu nie na biuro podawcze i nie do tej izby, do której z prawa przynależy, tylko bezpośrednio do konkretnego, życzliwego wnioskodawcom sędziego; skład orzekający może być wyznaczany wspólnie z zainteresowaną stroną, a wyrok wydany bez zapoznania się z aktami sprawy – byle służyło to przywróceniu „standardów praworządności". Last but not least: pamiętajmy też, że Kaczyński narzekał na „impossybilizm" i szukał usprawiedliwienia w nadrzędności ducha prawa nad jego literą nie z pozycji autorytetu prawniczego, ale czynnego polityka.

RADYKALNE POMYSŁY

Hasło rzucone przez tak wielki autorytet, jakim jest w swoim środowisku Marek Safjan, i tak doskonale spełniające potrzeby tego środowiska – sfrustrowanego, od ośmiu lat dyszącego żądzą zemsty na PiS i zadeptania buntu plebsu przeciwko elitom – nie mogło nie zostać podchwycone przez pomniejszych liderów prawniczego establishmentu. Przy czym sam Safjan horrendalną wymowę swych wywodów starannie ukrywa, szermując retoryką mierzenia się przez środowisko z „koniecznością ustalenia poprawnej definicji wartości, jak również ich hierarchii" oraz przestrogami typu: „Spacerujemy po cienkiej linie ponad przepaścią, w której czyhają demony antyprawa, ryzykując, że swą działalnością mogą doprowadzić do tego, że w przyszłości zagrożone zostanie u nas samo istnienie rządów prawa – jednak alternatywą dla takiego ryzyka jest oczekiwanie i bezczynność". Wtórujący mu w tejże „Wyborczej" i licznych wywiadach, m.in. dla „Newsweeka", Wojciech Sadurski, zgodnie ze swym temperamentem raczej twitterowego hejtera niż akademika, nie jest tak ostrożny w słowach. On także postuluje łamanie prawa, Konstytucję RP określa mianem „pułapki, którą PiS zastawił na demokratów" (PiS – ?!) i jako podstawę radykalnego „odpisowienia" państwa wskazuje uchwały większości sejmowej, a nawet – wprost – opinie prawne wyrażane przez ekspertów. Swoje „wiemy, jak powinno być" uzasadnia jednak nawet nie „duchem" prawa, ale epitetami. KRS należy zniszczyć, bo jest „pokraczny", Trybunał Konstytucyjny – bo „obrzydliwy" itd. Prawa zaś, które przeszkadza, nie wolno szanować, bo jest „proweniencji PiS-owskiej", i dotyczy to według Sadurskiego nawet tych ustaw, które zostały przyjęte przed rządami PiS, ale „mogą być przez PiS wykorzystywane" – np. konstytucyjną zasadę kadencyjności, którą PiS wykorzystał do „zabetonowania" na ich stanowiskach prezesa NBP czy szefa CBA.

Mniej lub bardziej w tej kampanii „autorytetów prawniczych" przeciwko prawu udzielają się profesorowie tacy jak Marek Chmaj czy Marcin Matczak, na różne sposoby ugruntowując przekonanie, że w walce z PiS odstępstwa od litery prawa są usprawiedliwione „stanem wyższej konieczności konstytucyjnej". Wszystkich ich przebił i tak mecenas Ryszard Kalisz, który wezwał, by jedną uchwałą uznać, że Trybunał Konstytucyjny od roku 2015 po prostu nie istniał, a zatem wszystkie akty prawne wydane po owej dacie nie istnieją również, i tyle. Wspólnym mianownikiem tych wszystkich głosów jest zupełnie nieskrywane podstawienie znaczeń: „rządy prawa" to po prostu rządy naszej sitwy, a jej „przywracanie" polega na odzyskiwaniu przywilejów odebranych „elicie" przez zbuntowane „chamstwo".

GRANICE SZALEŃSTWA

Nie miejmy złudzeń – nie żyjemy w czasach Emiliusów Papinianusów, środowisko prawnicze od dawna nękane jest zarazą „adwokatów mafii", wyszukujących na zamówienie „jakąś podstawę prawną" do popełnianych przestępstw i „mułłów Zachodu", którzy „wiedzą, jak powinno być" mocą objawienia i osobistego „zaufania" do siebie nawzajem. Ale chyba nikt jeszcze nigdzie na świecie nie widział takiej sytuacji, kiedy cały prawniczy establishment wzywa otwarcie do łamania prawa, podważając w plemiennym zaślepieniu nawet sam sens jego istnienia (a przy okazji i samych siebie – po co, na litość boską, płacić gigantyczne honoraria kancelariom takim jak prof. Chmaja czy Matczaka, skoro znacznie taniej, a z większym „skutkiem prawnym", można wynająć zbirów z besjbolami?) Trudno sobie wyobrazić, do czego może doprowadzić państwo to szaleństwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

Nieznośna miękkość prezydenta

Łukasz Warzecha

Sprawa aresztowania posłów PiS pokazuje, że Andrzej Duda jest słaby. A poprzednia władza nie zagwarantowała głowie państwa żadnych ważnych narzędzi

Wejście policji do Pałacu Prezydenckiego w celu zatrzymania Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego było nie tylko wydarzeniem bez precedensu w historii III RP. Było także zerwaniem ostatnich nieformalnych bezpieczników wbudowanych w nasz system polityczny. Te bezpieczniki mogły się nie podobać, bo oznaczały, że kolejne ekipy nie przekraczają wobec poprzedników pewnej granicy. Te granice zostały już bardzo mocno naciągnięte przez poprzednią władzę, jednak wkroczenie policji do siedziby głowy państwa – choć wciąż podczas nieobecności prezydenta, najpewniej w celu uniknięcia bezpośredniej konfrontacji funkcjonariuszy z Andrzejem Dudą – jest symbolicznym końcem systemu niepisanych zabezpieczeń. A zatem zdarzyć się już teraz może absolutnie wszystko.

Dzisiaj to prezydent jest w defensywie, a jego decyzja o wszczęciu postępowania ułaskawieniowego w sprawie osadzonych w zakładach karnych polityków tylko to podkreśla. Niewykluczone zresztą, że w związku z nią czekają nas kolejne odsłony sporu – tym razem o wygaszenie mandatów obu posłów.

(Nawiasem mówiąc, trzeba tu przypomnieć zapewnienia koalicji o tym, że policja nie będzie już wykorzystywana do realizacji politycznych zleceń. Relacje pracowników Kancelarii Prezydenta z zatrzymania obu panów wskazują, że funkcjonariusze wykonywali powierzone im zadanie z nadzwyczajną gorliwością. Policja, od dawna mocno upolityczniona i tracąca na potęgę swój autorytet, zawsze chce się przypodobać aktualnej władzy).

MIĘDZY TUSKIEM I DUDĄ

W tej grze jest dzisiaj dwóch głównych uczestników: Donald Tusk i Andrzej Duda. PiS, choć jest główną partią opozycji, bierze udział w rozgrywce w ograniczonym stopniu, ponieważ nie ma już w ręku zbyt wielu instrumentów władzy. Aczkolwiek kilka wciąż ma – Narodowy Bank Polski, Trybunał Konstytucyjny, część Sądu Najwyższego, Krajową Radę Sądownictwa. To jednak prezydent posiada prerogatywy kluczowe w kilku dziedzinach: przede wszystkim prawo weta, możliwość kierowania ustaw do TK, mianowanie ambasadorów, powoływanie sędziów, wniosek o powołanie szefa NBP, powoływanie części członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. O ile więc poprzednia władza poprzez swoje nadal istniejące wpływy może utrudniać działania obecnej, o tyle poukładanie państwa zależy przede wszystkim od stanowiska Andrzeja Dudy – do czasu zakończenia jego drugiej kadencji w przyszłym roku.

Stąd kluczowe jest pytanie o reakcję głowy państwa na otwarte wypowiedzenie wojny przez Donalda Tuska, z którym przecież – jak się mogło wydawać w momencie zaprzysiężenia – Andrzej Duda chciał mieć stosunki poprawne, a może nawet momentami względnie dobre. Prezydent, mając w ręku kilka atutów – lecz będąc stroną mimo wszystko słabszą niż rząd – chciał się stać rozgrywającym, ale pan premier chce go i upokorzyć, i zarazem zepchnąć do pośledniej roli pomagiera Jarosława Kaczyńskiego. Czy to mu się udaje?

Po wkroczeniu policji do Pałacu Prezydenckiego Andrzej Duda był podobno „wściekły". Trudno się dziwić. Przez niecałą dobę w grze był scenariusz atomowy: głowa państwa mogła spróbować sięgnąć po swoje prawo do rozwiązania parlamentu. Konstytucja w art. 225 mówi: „Jeżeli w ciągu 4 miesięcy od dnia przedłożenia Sejmowi projektu ustawy budżetowej nie zostanie ona przedstawiona Prezydentowi Rzeczypospolitej do podpisu, to Prezydent Rzeczypospolitej może w ciągu 14 dni zarządzić skrócenie kadencji Sejmu". Cztery miesiące od przedłożenia projektu budżetu przez rząd Mateusza Morawieckiego mijają 29 stycznia. Oczywiście w tej sprawie również powstała kontrowersja – czy jako datę wyjściową należałoby liczyć tę dotyczącą działań poprzedniego rządu czy dopiero obecnego. W tej kwestii polska ustawa zasadnicza jest równie nieprecyzyjna jak w mnóstwie innych kwestii. Nie ma jednak wątpliwości, że pan prezydent miałby solidne podstawy, aby jako termin ostateczny przyjąć 29 stycznia.

Sejm, jak wiadomo, odwołał zeszłotygodniowe posiedzenie. W sprawie budżetu ma się zebrać 16 stycznia. Budżetem zajmie się potem Senat, który według konstytucji ma na to 20 dni – co oczywiście wykracza poza 29 stycznia. W izbie wyższej koalicja ma jednak komfortową większość 66 głosów. Budżet może więc zostać uchwalony niemal natychmiast po wpłynięciu do Senatu. Najbliższe posiedzenie jest zaplanowane na 17 stycznia i wśród prac zaplanowano

eprasa.pl e333bdb72c

głosowanie nad ustawami budżetową i okołobudżetową.

Prezydent mógłby natomiast skierować budżet do Trybunału Konstytucyjnego, choć nie oznacza to, że mógłby na tej podstawie rozwiązać parlament. Wszak aby skierować budżet do TK, musiałby go najpierw otrzymać, a zapisanym w konstytucji warunkiem rozwiązania parlamentu jest nieprzedstawienie go prezydentowi na czas. Pozostaje tu jednak wprawdzie niewielka, ale jednak niepewność czy wieloznaczność.

Oczywiście nie można wykluczyć, że posłowie i senatorowie PiS będą próbowali w jakiś sposób utrudnić głosowanie nad budżetem, aby wydłużyć czas jego uchwalania. Nasz parlament to jednak nie amerykański Kongres, gdzie można uprawiać filibustering, czyli przeciągać wystąpienia w nieskończoność, tak aby bardzo opóźnić albo uniemożliwić uchwalenie ustawy.

Po niecałej dobie od zdarzeń przy Krakowskim Przedmieściu wątpliwości rozwiał szef jego kancelarii, Marcin Mastalerek, mówiąc: „Prezydent nie ma pomysłu na skracanie kadencji". Tak zdecydowana deklaracja stawia Andrzeja Dudę niepotrzebnie w defensywie wobec agresywnej drugiej strony. Zwłaszcza że skutki przyspieszonych wyborów wcale nie musiałyby być tak oczywiste, jak twierdzą komentatorzy sprzyjający obecnej władzy.

Po pierwsze – wobec sposobu działania rządu Tuska mobilizacja jego przeciwników byłaby ogromna. Możliwe, że PiS udałoby się pod swoimi sztandarami zebrać zdecydowaną większość z nich, z dużą częścią wyborców Konfederacji z ostatnich wyborów włącznie, zwłaszcza gdyby umiał zmienić swój wizerunek w stosunku do tego z ostatniej kampanii. Trudniej zawsze zmobilizować zwolenników aktualnej władzy, choć i tutaj zapał byłby wielki.

Po drugie – nie jest wcale oczywiste, czy Trzecia Droga znalazłaby się w identycznym układzie koalicyjnym, gdyby dostała jeszcze raz możliwość wyboru kursu. Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz zostali przez Donalda Tuska umiejętnie wykorzystani i postawieni w sytuacji sprzecznej całkowicie z ich przedwyborczymi deklaracjami. Marszałek Hołownia stał się wykonawcą czarnej roboty dla premiera, czyli został postawiony w podobnej roli, w jakiej Donald Tusk próbuje obsadzić w relacji do PiS Andrzeja Dudę. Prezes PSL natomiast musi być sytuacją nielicho przerażony, ponieważ zniknął z horyzontu całkowicie i można by właściwie zapytać, czy Polska ma w ogóle ministra obrony. Niewykluczone, że gdyby nastąpiło nowe otwarcie, a oferta ze strony PiS byłaby wystarczająco atrakcyjna, PSL zdecydowałoby się na zmianę frontu – być może nawet łącznie z Polską 2050.

Jest to jednak, jako się rzekło, scenariusz czysto teoretyczny, ponieważ nie widać, aby pan prezydent zamierzał zagrać choćby niepewnością co do swojego dalszego postępowania, aby wywołać wewnątrz koalicji nerwowość. Niestety, wystąpienie głowy państwa nazajutrz po zatrzymaniu panów Kamińskiego i Wąsika pokazywało słabość Andrzeja Dudy. Sens miałoby wówczas, gdyby pan prezydent zapowiedział jakiekolwiek konkretne działania. Tak się jednak nie stało. Andrzej Duda przez kilkanaście minut po prostu skarżył się na to, jak niesprawiedliwie zadziałała obecna władza, wplatając w swoje wystąpienie apologię obu zatrzymanych polityków. A przecież trudno zapomnieć ich wątpliwe dokonania podczas pandemii czy te związane z pilnowaniem rządowej linii w sprawie Ukrainy. Nawet sama sprawa afery gruntowej pozostaje mocno dwuznaczna. Na dodatek Andrzej Duda z wyraźnym trudem ukrywał emocje, co nie robiło dobrego wrażenia.

Tusk nie ma ochoty na negocjowanie z Dudą czegokolwiek. Ujęcie posłów było tego jasnym sygnałem

Pozostało poczucie, że prezydent wyszedł do mediów tylko po to, żeby wypłakać się publicznie. Tusk mógł mieć poczucie mściwej satysfakcji. Tym bardziej że głowa państwa najwyraźniej nie miała w rękawie asa w postaci opracowanej wcześniej koncepcji ponownego ułaskawienia polityków PiS w taki sposób, aby z prawnego punktu widzenia nie można było tego uznać za powtórzony akt łaski w tej samej sprawie. To zadziwiające, skoro bieg wypadków był przecież nietrudny do przewidzenia.

Do tego dochodzi kolejny wątek: Służba Ochrony Państwa. Pan minister Marcin Kierwiński nie omieszkał się pochwalić, że podlegająca mu SOP wzorowo współpracowała z policją w sprawie zatrzymania panów Kamińskiego i Wąsika. Prawdą jest, że formalnie rzecz biorąc, policja działała zgodnie z prawem, siedziby prezydenta nie mają zaś eksterytorialnego statusu. Natomiast sytuacja, w której SOP, chroniący także prezydenta, podlega ministrowi spraw wewnętrznych w warunkach ostrego konfliktu między rządem a głową państwa, może budzić ogromne wątpliwości. Wypowiedź pana ministra Kierwińskiego nie bez powodu miała triumfalny ton. Pan minister Mastalerek oznajmił jednak, że „pan prezydent ma tysiąc procent zaufania do oficerów SOP" – tym samym sygnalizując defensywę na kolejnym froncie. Polacy, nic się nie stało.

KRÓTKOWZROCZNOŚĆ PIS

Patrząc na sytuację z dzisiejszej perspektywy, można załamać ręce nad krótkowzrocznością poprzedniej władzy, która nie przygotowała „swojego" prezydenta w żaden sposób na kohabitację pod względem czysto organizacyjnym. Można było przecież stworzyć ustawę wyłączającą budynki prezydenckie spod ogólnej jurysdykcji, na podobnej zasadzie, jak to jest z uniwersytetami. Prawo o szkolnictwie wyższym w art. 50 stwierdza, że służby państwowe mogą wejść na teren uniwersytetu bez wezwania rektora jedynie w przypadku bezpośredniego zagrożenia życia albo zdrowia ludzkiego lub klęski żywiołowej. Poprzednia władza nie zagwarantowała głowie państwa nawet takich praw, jakie mają uniwersytety.

Nie pomyślano również o tym, żeby stworzyć odrębną, niewielką służbę, podlegającą choćby Biuru Bezpieczeństwa Narodowego (instytucja przy prezydencie), zajmującą się wyłącznie ochroną głowy państwa i jego obiektów. Tak aby w razie kohabitacji uniknąć problematycznego również dla samych funkcjonariuszy SOP konfliktu lojalności.

Tusk nie ma ochoty na negocjowanie z Andrzejem Dudą czegokolwiek. Ujęcie Kamińskiego i Wąsika było jasnym tego sygnałem. Jednocześnie sam prezydent zbliża się ponownie do takiego swojego wizerunku, na jaki w różnych momentach swojej dotychczasowej prezydentury niestety zapracował: z jednej strony – pomocnika partii Jarosława Kaczyńskiego. Z drugiej – polityka mało zdecydowanego, miękkiego i nieskutecznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

9 stycznia 2024 r. Uczestnicy protestu przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

O łasce prezydenta, niełasce rządu i upadku konstytucyjnym państwa

Bartosz Lewandowski

Sprawa Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika oraz ich finalne przymusowe doprowadzenie do zakładu karnego stanowi wręcz modelowy przykład wykorzystania chaosu prawnego w państwie do uzasadniania stosowania przez koalicję rządzącą w Polsce metod dyktatorskich

Od 2015 r. nieustannie słyszeliśmy o „kryzysie konstytucyjnym" w państwie i gwałceniu prawa. Paradoksalnie jednak to właśnie głosiciele tej narracji realizują obecnie w czystej postaci prawno-polityczną doktrynę „decyzjonizmu", której twórcą jest sławny niemiecki „prawnik Trzeciej Rzeszy" Carl Schmitt (1888–1985). Na chaos w państwie i brak stabilności odpowiedź ma być jedna – czysty akt woli politycznej. Z pominięciem jakichkolwiek reguł prawnych.

W jaki sposób argument „chaosu" prawnego? Warto odnotować pewne fakty. Postępowanie karne toczące się przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia w Warszawie przeciwko czterem osobom jako pokłosie tzw. afery gruntowej – w tym Mariuszowi Kamińskiemu i Maciejowi Wąsikowi – zakończyło się wyrokiem z 15 marca 2015 r., skazującym oskarżonych na kary trzech lat pozbawienia wolności. Przewodniczącym składu orzekającego w tej sprawie był były już dzisiaj sędzia Wojciech Łączewski (potem stał się bohaterem medialnych enuncjacji na temat jego zaangażowania przeciwko rządowi PiS, które miały być przedmiotem rozmów z osobą podającą się za Tomasza Lisa).

PRAWO ŁASKI

Po wyroku w dniu 16 listopada 2016 r. prezydent Andrzej Duda, działając na podstawie art. 139 Konstytucji RP, zastosował wobec nieprawomocnie wówczas skazanych czterech osób prawo łaski, które stanowi prerogatywę głowy państwa. Prezydent wywiódł swoje uprawnienie bezpośrednio z konstytucji, podzielając przy tym pogląd znacznej części doktryny prawniczej (m.in. prof. Stanisława Waltosia, byłego I prezesa SN prof. Lecha Gardockiego, prof. Andrzeja Murzynowskiego, prof. Tomasza Grzegorczyka, prof. Stanisława Stachowiaka czy prof. Ryszarda Piotrowskiego), że akt łaski stanowi akt tzw. abolicji indywidualnej.

Abolicja indywidualna w stosunku do określonej osoby i czynu może być stosowana przez organ władzy wykonawczej (prezydenta), podobnie jak władza ustawodawcza może uchwalić ustawę abolicyjną, która uchyla karalność określonych czynów. W obu przypadkach postępowanie karne – niezależnie od

eprasa.pl e333bdb72c

etapu, na którym się toczy – skutkuje jego umorzeniem.

Wskutek rozpoznania wniesionych apelacji Sąd Okręgowy w Warszawie, który dysponował aktem łaski prezydenta, wyrokiem z dnia 30 marca 2016 r. uchylił zaskarżony wyrok i umorzył postępowanie. Od orzeczenia tego kasację do Sądu Najwyższego wywiedli pełnomocnicy oskarżycieli posiłkowych (pokrzywdzonych). Trzyosobowy skład Sądu Najwyższego, który miał rozpoznać kasację, powziął wątpliwości dotyczące zagadnień prawnych i zwrócił się do składu siedmioosobowego Izby Karnej Sądu Najwyższego z zagadnieniem, które wymagało zasadniczej wykładni ustawy. Pytanie dotyczyło tego, czy prawo łaski określone w art. 139 Konstytucji RP należy rozumieć jako uprawnienie prezydenta do darowania kary po prawomocnym wyroku sądu rozpoznającego sprawę, czy stanowi może akt abolicji indywidualnej, a zatem może nastąpić jeszcze przed jego zakończeniem. Co ciekawe, mimo że zagadnienie dotyczy wprost sposobu rozumienia konstytucji, SN nie zdecydował się w tej sprawie wystąpić z pytaniem prawnym do Trybunału Konstytucyjnego, który byłby właściwy do rozstrzygnięcia tego zagadnienia.

Sąd Najwyższy w powiększonym składzie, uchwałą z 31 maja 2017 r., sygn. akt I KZP 4/17, stwierdził, że „prawo łaski, jako uprawnienie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej określone w art. 139 zdanie pierwsze Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, może być realizowane wyłącznie wobec osób, których winę stwierdzono prawomocnym wyrokiem sądu (osób skazanych) […]. Zastosowanie prawa łaski przed datą prawomocności wyroku nie wywołuje skutków procesowych".

W sprawie sposobu rozumienia art. 139 Konstytucji RP i skutków zastosowania prawa łaski wypowiadał się Trybunał Konstytucyjny w dwóch sprawach na wniosek prokuratora generalnego. Wyrokiem z 26 czerwca 2017 r. w sprawie K 8/17 Trybunał uznał za niekonstytucyjne przepisy Kodeksu postępowania karnego w zakresie, w jakim dopuszczał on możliwość wniesienia kasacji na niekorzyść oskarżonego w przypadku umorzenia postępowania z uwagi na zastosowanie przez głowę państwa aktu łaski w toku postępowania karnego. W wyroku z 17 lipca 2018 r. w sprawie K 9/17 Trybunał uznał zaś m.in., że przepis Kodeksu postępowania karnego, który jest podstawą umorzenia postępowania, w zakresie, w jakim nie przewiduje aktu łaski jako negatywnej przesłanki procesowej, jest niezgodny z art. 139 Konstytucji RP. W jednym i w drugim przypadku Trybunał opowiedział się za szeroką koncepcją aktu głowy państwa i sposobem rozumienia „prawa łaski" jako aktu abolicji indywidualnej.

Ponadto z uwagi na uchwałę SN w sprawie I KZP 4/17, która znacząco ograniczyła uprawnienia Prezydenta RP, marszałek Sejmu Elżbieta Witek zwróciła się wnioskiem do Trybunału Konstytucyjnego z 8 czerwca 2017 r. o rozstrzygnięcie sporu kompetencyjnego między Prezydentem RP a Sądem Najwyższym o sposób rozumienia art. 139 Konstytucji RP i tego, czy Sąd Najwyższy może dokonywać wiążącej interpretacji ustawy zasadniczej. Trybunał nie spieszył się z udzieleniem odpowiedzi. Dopiero postanowieniem z 2 czerwca 2023 r. w sprawie o sygn. akt Kpt 1/17 Trybunał stwierdził, że „prawo łaski jest wyłączną i niepodlegającą kontroli kompetencją Prezydenta RP wywołującą ostateczne skutki prawne [...]. Sąd Najwyższy nie ma kompetencji do sprawowania kontroli ze skutkiem prawnym wykonywania kompetencji Prezydenta RP, o której mowa w punkcie 1".

ZWROT W SPRAWIE

Wydawało się, że sprawa jest przesądzona. Ale tak się nie stało. Sąd Najwyższy w składzie trzyosobowym, który miał rozpoznać kasacje pełnomocników oskarżycieli posiłkowych w sprawie Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego, uznał, że nie będzie stosował wszystkich trzech orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego i wyrokiem z dnia 6 czerwca 2023 r., sygn. akt II KK 96/23, uchylił wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie, który kończył sprawę i przekazał ją do ponownego rozpoznania. Sąd okręgowy miał ponownie rozpoznać apelacje obrońców wszystkich oskarżonych.

20 grudnia 2023 r. sąd okręgowy finalnie ogłosił wyrok w sprawie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, zmieniając wyrok sądu rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia w Warszawie w zakresie opisu czynu i kwalifikacji, oraz obniżył obu posłom kary do dwóch lat pozbawienia wolności. Wyrok Sądu Okręgowego zapadł większością głosów. Jeden z sędziów zgłosił zdanie odrębne. Sędzią sprawozdawcą w trzyosobowym składzie sądu była sędzia Anna Bator-Ciesielska, należąca do Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia", o której głośno zrobiło się w 2019 r., kiedy odmówiła orzekania w składzie sądu z ówczesnymi zastępcami rzecznika dyscyplinarnego sędziów sędziami Przemysławem Radzikiem i Michałem Lasotą. Za ten czyn przedstawiono wówczas sędzi pięć zarzutów dyscyplinarnych.

Konsekwencje prawomocnego orzeczenia sądu w sprawie przeciwko obu posłom są dwojakie. Z jednej strony chodzi oczywiście o wykonanie orzeczonej kary. Jest jednak i drugi – publicznoprawny (ustrojowy) skutek, a zatem fakt utraty możliwości pełnienia mandatu posła, który nie może być skazany za przestępstwo umyślne ścigane z oskarżenia publicznego. Andrzej Duda oraz sami Maciej Wąsik i Mariusz Kamiński stali na stanowisku, że akt łaski prezydenta nie wywołuje żadnego ze skutków. Powoływali się przy tym na orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego.

Odmiennego zdania był marszałek Sejmu Szymon Hołownia, który wydał

eprasa.pl e333bdb72c

postanowienie o wygaszeniu mandatów posłów. Na postanowienie to Mariuszowi Kamińskiemu i Maciejowi Wąsikowi przysługiwało odwołanie do Sądu Najwyższego. A konkretnie do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, która zgodnie z ustawą o Sądzie Najwyższym i regulaminem Sądu Najwyższego jest wyłącznie właściwa do rozpoznania tego rodzaju środków zaskarżenia. Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik złożyli swoje odwołania bezpośrednio do Sądu Najwyższego, jednocześnie wnosząc je również za pośrednictwem marszałka Sejmu, który miał jedynie przekazać całość dokumentacji do Sądu Najwyższego. Tak się jednak nie stało. Szymon Hołownia w sposób całkowicie nieuprawniony zdecydował się nawiązać bezpośredni kontakt z prezesem Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, sędzią Piotrem Prusinowskim, który wielokrotnie głośno krytykował zmiany poprzedniego rządu w obszarze wymiaru sprawiedliwości, i przekazał mu za pośrednictwem dyrektora generalnego Gabinetu Marszałka Sejmu odwołania, prosząc o wyznaczenie odpowiedniego składu z tej niewłaściwej ustawowo Izby.

Interesujące jest, że dokumenty nie zostały złożone oficjalnie za pośrednictwem biura podawczego, ale w sekretariacie sędziego Prusinowskiego. Marszałek Hołownia tłumaczył, że chciał, aby sprawę rozpoznał sąd, który nie budzi wątpliwości, ponieważ TSUE orzekł, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych nie jest „sądem" w rozumieniu prawa europejskiego i nie jest niezawisła. Zapomniał przy tym, że sam TSUE nie ma jakiejkolwiek kompetencji do wiążącego rozstrzygania tej kwestii w porządku prawnym RP, a także o tym, że ten sam TSUE nie widział żadnych podstaw do stwierdzenia, iż sąd niemieckiego kraju związkowego Hesji, w którym sędziowie są powoływani i awansowani wyłącznie przez ministra sprawiedliwości, już „sądem" w rozumienia prawa europejskiego jest (sprawa C-272/19). Kwestią otwartą zostaje to, dlaczego Szymon Hołownia zdecydował się na złożenie dokumentów w Izbie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, a nie w innej Izbie Karnej czy Izbie Cywilnej… Efekt końcowy był taki, że zarejestrowano oba odwołania w Izbie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych oraz wyznaczono składy także z tej izby.

W tym czasie skład Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN zajął się odwołaniami wniesionymi bezpośrednio przez Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika i orzekł o uchyleniu postanowień marszałka Sejmu. Argumentacja sądu jest bardzo ciekawa, łączy bowiem niejako dwa przeciwne stanowiska w kwestii rozumienia aktu łaski prezydenta. Otóż Sąd Najwyższy stanął na stanowisku, że akt łaski głowy państwa z listopada 2015 r., mimo że był wydany w trakcie postępowania karnego, wywiera bezpośrednio skutki w momencie uprawomocnienia się wyroku skazującego. Wtedy bowiem przełamywana jest zasada domniemania niewinności, która obowiązuje w trakcie trwania procesu. Ta argumentacja wydaje się trafna, jako że nie ogranicza uprawnień konstytucyjnych głowy państwa, jednocześnie wytrącając podstawowy argument przeciwników tezy o akcie łaski jako abolicji indywidualnej („nie można ułaskawić niewinnego"). Sąd Najwyższy stanął zatem na stanowisku, że obaj skazani są nadal posłami. A zgodnie z przepisami konstytucji i ustawy o wykonywaniu mandatu posła należy zapewnić im możliwość sprawowania mandatów (np. głosowania czy udziału w komisjach sejmowych). Z zakładu karnego sprawowanie swojej funkcji jest niemożliwe.

Leżący w gruzach system prawny w Polsce otoczony jest chórem rozemocjonowanych polityków i prawników

Sprawa wydawała się przesądzona do 8 stycznia 2024 r., kiedy to Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia w Warszawie zarządził wykonanie kary orzeczonej wobec Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. W mediach pojawiła się informacja, że sędzia Tomasz Trębicki, którzy wydał nakazy doprowadzenia do zakładu karnego obu posłów, jest zaangażowanym członkiem Stowarzyszenia „Iustitia", publikującym w mediach społecznościowych antypisowskie treści i powiązanym rodzinnie z Platformą Obywatelską. Stowarzyszenie Sędziów „Iustitia" wzięło w obronę sędziego, wskazując, że jest on doświadczonym i dobrym orzecznikiem. Skutkiem realizacji nakazów wystawionych przez sąd było zatrzymanie na terenie Pałacu Prezydenckiego w momencie nieobecności w nim Andrzeja Dudy Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Obaj zostali przetransportowani do Aresztu Śledczego Warszawa-Grochów, określanego w slangu więziennym mianem „Kamczatki".

KONSTYTUCJA NIE DZIAŁA

Przywołanie chaosu prawnego w Polsce A.D. 2024 ma swój cel. W chwili obecnej Rzeczpospolita Polska nie ma stabilnego systemu prawnego. Konstytucja nie działa. Organy nie działają na podstawie i w granicach prawa, a tego wymaga art. 7 ustawy zasadniczej. Podstawowa zasada naszego porządku, czyli zasada domniemania konstytucyjności ustaw (ustawa obowiązuje do momentu jej uchylenia wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego), jest zwyczajnie przez większość rządzącą lekceważona. Widzimy zaprzeczenie tego, co wykłada się studentom drugiego roku studiów prawniczych.

Leżący w gruzach system prawny w Polsce otoczony jest chórem rozemocjonowanych polityków, dziennikarzy i – niestety – prawników (także z tytułami), którzy zagrzewają do jeszcze dalej idącego nierespektowania prawa. W tym stanie rozkładu porządku prawnego liczy się tylko jedno: akt woli politycznej. Decyzja rządzących ponad wszystko. Znajdują się i współcześni odpowiednicy Carla Schmitta, którzy podpisują się pod każdym bezprawnym działaniem obecnej większości. Oddajmy głos znanemu prawnikowi z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Wojciechowi Sadurskiemu: „Rewolta motłochu podżeganego przez lidera PiS udowadnia, że w tej chwili dylemat demokratycznej władzy: działać łagodnie czy radykalnie z pozostałościami autorytarnych, antykonstytucyjnych rządów PiS, został definitywnie rozstrzygnięty".

Nie wróży to nic dobrego.

PS Tekst powstał przed wszczęciem przez prezydenta Andrzeja Dudę drugiego postępowania ułaskawieniowego w sprawie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest adwokatem, doktorem nauk prawnych, rektorem Uczelni Collegium Intermarium.

eprasa.pl e333bdb72c

Z Tomaszem Sakiewiczem, redaktorem naczelnym Telewizji Republika
rozmawia Karol Gac

Znowu czuję się nielegalny

FOT. TV REPUBLIKA

KAROL GAC: Nie ma pan wrażenia powrotu do przeszłości? Telewizja Republika, obok TV Trwam, będzie ponownie jedyną, jeśli chodzi o stację telewizyjną, odtrutką na lewicowo-liberalną wizję świata.

TOMASZ SAKIEWICZ: Jeśli przyjmiemy zasadę, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, to tym razem wjechaliśmy do koryta z bagnem. To, co się dzieje, to cofnięcie nas nie do 2015 r., ale do 1989 r. Wiele działań, które podejmuję, przypomina mi te z czasów, gdy w podziemiu wydawałem nielegalne gazetki. Znowu czuję się nielegalny i nieustannie zastanawiam się, gdzie mogą nas uderzyć, nie przejmując się prawem. Mam wrażenie, że weszli w spiralę działań, z której nie mogą już wyjść. Liczba naruszeń prawa i niegodziwości, które popełnili w ciągu ostatnich tygodni, jest zbyt duża, by mogli oddać władzę, więc będzie to tylko eskalować.

Cofnijmy się na chwilę do dwóch kadencji Zjednoczonej Prawicy. Czy to, co się dzieje, musiało nastąpić? Wielu komentatorów przestrzegało, że PiS popełnia błąd, stawiając wyłącznie na media publiczne, zamiast równolegle budować media konserwatywne.

To prawda. Co oznaczało stawianie na media publiczne, a nie na media prywatne? Czynienie nam bardzo silnej konkurencji. Robiono to świadomie, przy pomocy naszych dziennikarzy i pomysłów. Byli co prawda tacy, którzy przeszli do TVP za moją zgodą, ponieważ uważałem, że powinni się tam znaleźć. To np. Michał Rachoń, którego potencjał był tak duży, że wręcz trzeba było, aby wszedł na poziom zasięgu TVP. Tyle tylko, że inaczej by było, gdyby to wszystko odbywało się w porozumieniu i równocześnie próbowano nam dawać szansę na tym rynku.

A nie dawano?

Niestety, bardzo często byłem traktowany gorzej niż media prywatne, które zwalczały rząd. Nie chodzi mi o polityków, ale np. o mentalność urzędników czy ludzi ze spółek Skarbu Państwa. Testem był 15 października, gdy okazało się, jaki mają do nas rzeczywisty stosunek. Nagle ostentacyjne pokazanie, że nie współpracuje się z TV Republiką, okazało się pewną walutą, którą się handluje na rynku. To i tak nic nie da, bo ci ludzie zostaną zwolnieni. Mają zbyt intratne

eprasa.pl e333bdb72c

stanowiska i jest już na nie kolejka chętnych.

Wracam jednak do pytania: Czy tak musiało być?

Były poważne osoby w poprzednim obozie władzy, które tłumaczyły, że TV Republika jest niepotrzebna, bo są media publiczne. Dominowało przeświadczenie, że media publiczne da się zabetonować. Ile czasu po przejęciu władzy je utrzymano? Od początku wiedziałem, że to absurd, bo ceregiele to były po stronie PiS, a nie po drugiej stronie, gdzie nikt nie pyta o prawo, bo stosuje się je tak, jak rozumie je obóz władzy. To był zasadniczy błąd, bo nie stworzono rezerwy strategicznej i równowagi w mediach prywatnych. Poważniejszym błędem było jednak coś innego.

Czyli?

Wejście mediów publicznych w buty TV Republika, czyli wyraźne przesunięcie na prawo, co sprawiło, że odbierano tlen mediom, które chciały się rozwijać. Przy okazji porzucono środek, który zapewne nie byłby do przejęcia, ale przynajmniej nie dałby się tak łatwo zbuntować, jak to miało miejsce w ostatnich wyborach. W efekcie stracono możliwość dotarcia np. do młodych. Rozumiem, że to przesunięcie było zarazem potrzebne, by stworzyć alternatywę dla pozostałych ośrodków medialnych. Nie odbieram też sukcesów mediom publicznym – budowy zasięgów, nowoczesnych technologii czy nadrobienia dystansu do mediów komercyjnych. Mimo wszystko w tej koncepcji politycznej zabrakło wyobraźni. Nie patrzono, że tworząc coś zamiast mediów prawicowych, de facto się je zabija.

To kwestia wyłącznie braku perspektywy długofalowej czy także innych czynników, np. mentalnościowych? Może obawiano się nowego gracza, który będzie niezależny?

Zapewne była grupa ludzi, która obawiała się takiego scenariusza. Moje przekonywanie, że nie mam ambicji politycznych, tylko pogłębiało ich podejrzenia. Salon medialny związany z obecną władzą pieje, że jesteśmy propisowscy, ale jakby posłuchano, co się o nas mówi na Nowogrodzkiej, to byliby bardzo zaskoczeni. Sądzi się tam dokładnie odwrotnie. Owszem, w wielu sprawach zgadzałem się z PiS, ale na Nowogrodzkiej doskonale wiedzą, że nie można mnie kontrolować i jak mi się coś nie spodoba, to zrobię po swojemu.

Tyle tylko, że pana krytycy wskazują na dziesiątki milionów złotych, które płynęły od państwa do pana mediów i powiązanych z nimi fundacji.

Po 2015 r. dopiero zaczęliśmy mieć jakiekolwiek reklamy ze spółek Skarbu Państwa, bo wcześniej byliśmy od nich odcięci. Proszę pamiętać, że moje media powstały za czasów SLD lub PO, a nie PiS. Zabierano nam tlen w jednym miejscu, a dawano reklamy w innym. Podczas pierwszego roku „dobrej zmiany" nie było w ogóle reklam SSP w TV Republice. Miałem wrażenie, że ktoś podjął decyzję, by zetrzeć nas z powierzchni ziemi. Dopiero potem to się zaczęło zmieniać i zaczęto doceniać Telewizję Republika. Zresztą chyba dopiero teraz zrozumiano, czym jest potęga tego medium. To zresztą problem, że w obozie „dobrej zmiany" było bardzo niewielu analityków i menedżerów rynku medialnego. Często myli się zawód dziennikarza z menedżerem medialnym. Tymczasem nie można utożsamiać chirurga z producentem narzędzi chirurgicznych. Trzeba rozumieć, jak działa rynek medialny, jak się rozwija i w jaki sposób się zmienia. W ostatnich latach przeszedł on gigantyczne przeobrażenia.

W takim razie w jakiej kondycji są dziś media prawicowe? Silniejsze czy paradoksalnie słabsze niż osiem lat temu?

Gdyby nie Telewizja Republika, to byłyby o wiele słabsze. To wyjątek, który wynika z kaskady błędów nowej władzy oraz decyzji, które podejmowaliśmy w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy. Nie inwestowaliśmy w oglądalność i wielkie pensje, bo wiedzieliśmy, że nie wygramy na tym polu z Telewizją Polską. W związku z tym pensje były u nas 10-krotnie niższe niż w TVP. Żeby u nas być, to naprawdę trzeba było chcieć.

Na tym polu nawet największe stacje komercyjne przegrywały z TVP. To m.in. dlatego ustawiła się od razu kolejka chętnych do „nowej" TVP.

To prawda, ale tamte stacje nie miały naszego problemu, że prezentowały dosyć podobne poglądy. Na konkurencję nie powinno się skarżyć, jeśli działa na podobnych zasadach, ale biorąc pod uwagę siłę i pieniądze TVP, stworzono nam dużo większą konkurencję. Do tego wszystkiego brakowało pewnej wizji rozwoju mediów i to był największy problem. Skoncentrowano się wyłącznie na mediach publicznych. Ponadto kupiono Polskę Press, co moim zdaniem było fatalnym pomysłem.

W jednym z listopadowych numerów „Gazety Polskiej" napisał pan tak: „Gdyby decyzje zależały ode mnie, pewne sprawy rozwiązałbym na tym rynku inaczej". Co by pan w takim razie zrobił?

Zawsze sugerowałem, żeby chociaż zapytano, zanim jakaś decyzja zostanie podjęta. Nigdy nie byłem w PiS i nie zamierzam się do niego zapisywać, ale można było życzliwie coś powiedzieć o dziedzinie, o której coś wiem. Niestety, wielu ludzi uważało, że wie lepiej. Tyle tylko, że na tym rynku jest tak, że jak się na nim nie jest przez pół roku, to niczego się nie wie, bo w takim tempie zachodzą zmiany. Tymczasem wielu kolegów nie było na nim przez wiele lat, a podejmowali bardzo śmiałe decyzje.

Na przykład dotyczące Polska Press? Dlaczego uważa pan, że jej zakup to był fatalny pomysł?

Kompletnie nie rozumiem tej decyzji. Wystarczy spojrzeć na wyniki PiS. Czy choćby drgnęły one tam, gdzie były silne oddziały Polski Press? Oczywiście można spojrzeć na jej zakup przez pryzmat zasady, którą była repolonizacja. Pytanie tylko, czy to cokolwiek zmieniło. PP nie była tym zagranicznym kapitałem, który był najbardziej agresywny wobec poprzedniego rządu. Inwestowanie w duży koncern prasowy było spóźnione o 10 albo i 20 lat. Zamiast tego trzeba było inwestować w duży portal albo telewizję. Niemal wszystkie tytuły prasowe zanotowały solidne spadki i to tendencja, która trwa od wielu lat.

Pierwsze wystąpienie publiczne Jarosława Kaczyńskiego po wyborach parlamentarnych miało miejsce na zjeździe Klubów „GP" w Spale. Prezes PiS zapowiedział tam, że prawica musi budować silne media. To jest teraz możliwe?

Jarosław Kaczyński powiedział o tym, co właściwie zrobiliśmy. Prawica w Polsce potrzebuje silnych mediów. Przygotowaliśmy się na cięższy czas i stworzyliśmy 30-krotnie większą telewizję, niż

eprasa.pl e333bdb72c

była do tej pory. Wykorzystaliśmy naszą szansę. Wszyscy uważali, że przepalamy pieniądze, bo nie płacimy ludziom dużych pensji albo mamy gorszy sprzęt. Otóż nie. W pewnych sprawach byliśmy bardzo nowocześni. W Godzinę „W" ruszyliśmy i właściwie od razu mogliśmy pokryć zasięgiem całą Polskę. Dziś każdy, kto chce, może odbierać Telewizję Republikę.

Przejdźmy do tego, co dzieje się obecnie. Wszyscy spodziewali się, że nastąpi próba przejęcia mediów publicznych. Zaskoczyły pana metody, którymi się posłużono? Pierwszy raz od 1981 r. i wprowadzenia stanu wojennego bez ostrzeżenia wyłączono w Polsce sygnał telewizyjny.

Jest takie powiedzenie: „Te działania mnie oburzają, ale nie dziwią". Nie miałem cienia wątpliwości, czym jest ekipa Donalda Tuska, która idzie po władzę. To totalitaryzm upudrowany w liberalizm. Hasła liberalne są dla wyborców i świata, a totalitaryzm jest w realnych działaniach. To cofnęło Polskę, przynajmniej w sferze medialnej, do czasów przed 1989 r. Prawdopodobnie Donald Tusk nie byłby w stanie przeprowadzić wielu zmian bez zamachu na media, dlatego muszą zamknąć obieg medialny. Jesteśmy przekonani, że niedługo nastąpi kolejny atak.

Telewizja Republika jest już pod pierwszym ostrzałem. Straszenie prokuraturą, wzywanie do odebrania koncesji czy nawoływanie, by cofnąć reklamy – to tylko niektóre rzeczy, które miały miejsce w ostatnim czasie. Jesteście na to przygotowani?

Wszystko zależy od widzów. Przede wszystkim zaczęli wpłacać pieniądze, które pozwalają nam się rozwijać. Kupujemy multipleksy, sprzęt, zatrudniamy dziennikarzy – wszystko to dzięki ich wsparciu. Robimy telewizję dużo droższą, niż była. Dlaczego? Wcześniej robiliśmy ją „na przetrwanie" i rozwijaliśmy wyłącznie zasięgi, bo ich się nie da zbudować w miesiąc czy rok. To proces, który się wypracowuje i trwa. Zbudowaliśmy brand i zasięg, dzięki czemu TV Republika mogła tak łatwo wejść na wyższy poziom. Oczywiście mamy obecnie droższe reklamy, co wynika ze wzrostów oglądalności, ale zanim zobaczymy z tego pieniądze, to potrwa. To wsparcie ludzi sprawiło, że dokonaliśmy tylu rzeczy.

Dlaczego Donald Tusk zdecydował się na taki scenariusz? Chodziło o pokazanie brutalnej siły i wywołanie efektu mrożącego? Nie mieliśmy nawet próby porozumienia się z prezydentem w sprawie zmian ustawowych.

Zapewne miało to na celu wiele rzeczy, w tym przede wszystkim przerwanie obiegu informacji. Problem w tym, że działania, które zostały podjęte, są źle oceniane także w elektoracie partii koalicyjnych. Nie da się całkowicie zamknąć obiegu informacji.

Ostatnie tygodnie to kolejne rekordy Telewizji Republiki, która przejmując dużą część widzów TVP Info, wyprzedza m.in. Polsat News czy TVN24. Jak pan patrzy na najbliższą przyszłość?

Stale jesteśmy drugą telewizją, po TVN24, a w prime timie wielokrotnie ich wyprzedzamy. Naszym celem jest bycie numerem jeden. Idzie nam to jednak zaskakująco szybko, o czym świadczy m.in. zmasowany atak z ostatnich tygodni. Widzimy niepokój stacji, które zajęły na rynku swoją pozycję, a teraz muszą ustąpić. To kwestia postkomunistycznego rynku, który od zawsze jest zabetonowany.

> **Salon medialny związany z obecną władzą pieje, że jesteśmy propisowscy, ale jakby posłuchano, co się o nas mówi na Nowogrodzkiej, to byliby bardzo zaskoczeni**

Rozmawialiśmy już o pieniądzach, ale nie ma co ukrywać, że wkrótce zapewne skończą się reklamy ze spółek Skarbu Państwa. Uda się spiąć budżet przy tylu nowościach w ramówce i dodatkowych osobach?

Praktycznie od wielu miesięcy nie mamy już reklam z SSP. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, nigdy nie byliśmy pieszczoszkiem poprzedniej władzy. W korporacji mamy 12 tytułów, które mają duże zasięgi, a nasze budżety, jeśli chodzi o reklamy z SSP, nigdy nie były większe niż mediów opozycyjnych. Oczywiście niektóre z nich były w tak dużym konflikcie z SSP, że nie dziwi mnie brak reklam u nich.

Czym jeszcze zaskoczy widzów TV Republika?

Chcemy mieć dużo więcej informacji. Zależy nam, by serwisy były częstsze. Chcemy też nieco skrócić bloki publicystyczne, by rozmowy były bardziej wartkie oraz z ważnymi gośćmi. Zresztą ci ostatni zaczęli się już u nas pojawiać, co pokazuje, że mają świadomość naszych zasięgów i roli, którą odgrywamy.

Niedawno duże oburzenie wywołały słowa Marka Króla i Jana Pietrzaka, którzy wypowiedzieli się na temat imigrantów. Pierwszy z nich sugerował, by ich „czipować" albo wykonywać tatuaże z numerami, a drugi mówił o obozach, które pozostawili w Polsce Niemcy.

Nigdzie na świecie dziennikarz czy stacja nie są krytykowani za poglądy gości. Jeżeli po danym gościu można się spodziewać kontrowersyjnych ocen, to mógłbym to jeszcze zrozumieć. Jednak trudno się tego spodziewać po osobach, które występują u nas od lat. Każdy może powiedzieć coś głupiego czy skrajnie niestosownego. To, co stwierdził Marek Król, było skandaliczne i głupie. Jest to sprzeczne z moimi poglądami. Uważam, że polskim patriotyzmem jest tradycja I RP, czyli tolerancji wielonarodowej i wieloreligijnej. Z kolei w przypadku Jana Pietrzaka mieliśmy do czynienia z gigantyczną przesadą, choć nie należy żartować, gdy rzecz dotyczy śmierci czy Holokaustu, bo to zawsze może dotknąć. Tyle tylko, że on się odniósł do rzeczy autentycznej. Niemcy próbowali umieszczać imigrantów w obozach zagłady. Ta historia się zdarzyła i wywołała ogromną debatę.

Jednak stacja zareagowała dość szybko. Może niektórzy czekali po prostu na pretekst?

Każdy wie, że chodziło o pretekst. W przypadku Jana Pietrzaka zareagowałem najszybciej, jak można było. To niesłychane, że mamy urzędowych widzów TV Republiki. Kiedyś byli urzędowi wierni, którzy pisali donosy. Śledzą nas na żywo, spisują, a później rozkręcają aferę. Mieli taką potrzebę wzmożenia moralnego, które było zresztą jednym z narzędzi do walki z PiS. Używano prawdziwych lub zmyślonych faktów, by napędzić emocje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

Robert N. ps. Frog (z prawej) przed sądem w Warszawie w 2016 r. Sąd Najwyższy teraz całkowicie go uniewinnił FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Niemoc na kółkach

Łukasz Zboralski

Sąd ostatecznie uniewinnił „Froga" za wyścigi po polskich drogach. Z kolei podejrzany o dramatyczny wypadek Sebastian M., którego ścigano aż do Dubaju, zniknął z radarów prokuratury. W jednej sprawie słabe okazało się polskie prawo, w drugiej – organa ścigania

Obie te sprawy wstrząsnęły opinią publiczną w Polsce. Pierwsza już prawie 10 lat temu. Dziennikarze pokazali, że w serwisie YouTube sławę zdobywa niejaki „Frog". A zdobywa ją, pokazując, jak drogim bmw rozpędza się po miejskich ulicach do gigantycznych prędkości. Na publicznej drodze z innymi jeździ tak, jakby brał udział w komputerowej grze.

Zdanie policji było proste. Robert N. publikował nagrania ze swoich przejażdżek w 2014 r., więc sam gromadził na siebie dowody. Zostały zabezpieczone, sprawa trafiła do sądu. Prokuratura nie chciała, by skończyło się na mandacie, więc zaryzykowała zarzut sprowadzenia zagrożenia katastrofą w ruchu lądowym, za co grozi już więzienie.

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa uniewinnił jednak od razu Roberta N. w sprawie szalonej jazdy w Warszawie. To wówczas padły kuriozalne słowa sędzi, która powołała się na opinię biegłych, którzy uznali, że „Frog" nie zagrażał spowodowaniem katastrofy w ruchu lądowym, „ponieważ pomimo brawurowej jazdy, poruszając się z dużą prędkością i powodując dezorganizację na drodze, oskarżony w krytycznym czasie panował nad swoim pojazdem". To było – nie pierwsze zresztą w wykonaniu polskich biegłych sądowych zajmujących się rekonstrukcjami wypadku – splunięcie opinii publicznej w twarz.

Sąd ten uznał jednak zarazem, że jazda „Froga" w innym miejscu – w okolicach Kielc – już była przestępstwem. Skazał go na 2,5 roku bezwzględnego więzienia. Orzekł także pięcioletni zakaz prowadzenia pojazdów.

Po apelacji Sąd Okręgowy w Warszawie zmienił orzeczenie pierwszej instancji i uniewinnił Roberta N., również w tzw. wątku kieleckim. Wtedy ówczesny minister sprawiedliwości wniósł w tej sprawie kasację do Sądu Najwyższego. „Sąd drugiej instancji wydał wobec notorycznego pirata drogowego wyrok jawnie urągający zdrowemu rozsądkowi

eprasa.pl e333bdb72c

i elementarnej sprawiedliwości. Takie rozstrzygnięcie sądu jest zachętą do bandytyzmu na drogach" – ocenił w oświadczeniu prasowym.

Prokuratura zarzuciła w kasacji sądowi okręgowemu, że oparł wyrok na poglądzie karnisty UJ dr. Mikołaja Małeckiego, którego zdaniem wykroczeń na drodze nie można sumować w jedno przestępstwo. Sąd rozpatrywał więc jedynie fragmenty nagrania z szalonej jazdy, na której zarejestrowano wykroczenia.

Niedawno Sąd Najwyższy uznał jednak, że „Frog" jest niewinny. Stwierdził, że sąd okręgowy mógł sobie przyjąć taki pogląd na sprawę, jaki chciał, mógł więc przyjąć pogląd dr. Małeckiego. – To sędziowskie sumienie i wiedza decydują o tym, który z poglądów prawnych funkcjonujących w orzecznictwie sądów polskich, międzynarodowych ten sędzia w konkretnej sprawie przyjmie, a który pogląd prawny odrzuci – powiedział prezes SN, Wiesław Kozielewicz.

Skoro sędziów zawodzi sumienie, to trzeba im pomóc, zmieniając prawo. Wzór dali nam Niemcy, którzy też nie od razu wpadli na to, jak surowiej karać takich piratów drogowych. Po głośnym wypadku w 2016 r. w Berlinie, gdzie ścigający się samochodami doprowadzili do śmiertelnego wypadku, w niemieckim kodeksie karnym (StGB) dopisano paragraf dotyczący „zakazanych wyścigów samochodowych" (§ 315d).

Od tej pory kodeks zakłada kary dla organizatorów nielegalnych wyścigów ulicznych i uczestników takich wyścigów. Ale nie tylko. Z tego samego paragrafu karani mogą być po prostu kierowcy poruszający się z nieodpowiednią prędkością, rażąco sprzecznie z prawem ruchu drogowego i bezwzględnie mający na celu osiągnięcie najwyższych możliwych prędkości. Takim ludziom grozi do dwóch lat więzienia. Paragraf przewiduje też karę do pięciu lat pozbawienia wolności dla tych, którzy zagrażają życiu innych osób lub mieniu o znacznej wartości. Ci, którzy zabiją w wyniku ścigania się po publicznych drogach, otrzymują karę od roku do 10 lat pozbawienia wolności. W mniej poważnych przypadkach kara zawiera widełki od sześciu miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności.

„Frog" został skazany ostatecznie za zupełnie inne przestępstwo – złapano go, gdy jeździł samochodem mimo cofniętych uprawnień. Jednak uciekł z kraju. Złapano go w Wielkiej Brytanii i nigdy za kratki w Polsce nie trafił. Sąd poinformował tylko lakonicznie, że zaliczył mu karę aresztowania odbytą na Wyspach.

Niemcy też nie potrafili surowiej ukarać piratów drogowych, więc w 2016 r. zmienili swój kodeks karny

LICZĄC NA SZEJKA

Druga sprawa, w której nie poradzono sobie z ukaraniem sprawcy, jeszcze się nie zakończyła, ale fiasko wisi w powietrzu. Chodzi o głośny wypadek z września ubiegłego roku na autostradzie A1. Rozpędzony do 250 km/h kierowca bmw wjechał tam w Kię rodziny, która po uderzeniu w bariery spłonęła żywcem.

W tej sprawie policjanci w komunikatach próbowali najpierw przekonywać, że to kierowca Kii sam uderzył w bariery. Wydali ich strażacy. Pokazali, że niedaleko miejsca wypadku stało rozbite bmw. Dziennikarze i internauci szybko rozszyfrowali, że należało do syna łódzkiego biznesmena Sebastiana M. Ten po wypadku nie został zatrzymany.

Było nawet gorzej. Gdy do sieci trafił film świadka wypadku, piotrkowska prokuratura dalej próbowała bronić tezy o tym, że bmw nie miało związku z wypadkiem. To się zmieniło, gdy znów zainterweniował ówczesny minister sprawiedliwości.

Niestety, pasażerowie Sebastiana M., w tym znany łódzki adwokat, zostali przesłuchani dopiero 10 dni po wypadku, a sam kierowca zniknął z Polski. Służby zorganizowały specjalną akcję i namierzyły go w Turcji. Jednak zabrakło kilka minut, by można było go zatrzymać – a Sebastian M. odleciał do Dubaju.

Przypadkowo wybrał fatalnie, bo akurat z tym krajem niedawno Polska podpisała umowę o ekstradycji. Został zatrzymany w hotelu i trafił do arabskiego aresztu. Polska szybko złożyła wniosek o ekstradycję.

Problem w tym, że dziś prokuratura nie bardzo nawet wie, co się dzieje z Sebastianem M. Gdy pytałem, czy kierowca nadal przebywa w areszcie, Prokuratura Krajowa ominęła moje pytanie. Wyraźnie nie chciała na nie odpowiadać. Ograniczyła się do stwierdzeń, że procedura ekstradycyjna jest w toku. Prokuratorzy nie byli nawet w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy postępowanie ekstradycyjne przed sądem w Dubaju w ogóle się już zaczęło.

Adwokat Sebastiana M. stwierdził w rozmowie ze mną dobitniej – jego zdaniem śledczy nie mają pojęcia, co dzieje się z zatrzymanym, i nie otrzymują ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich żadnych informacji. Mecenas Bartosz Tiutiunik zarzeka się przy tym, że on sam nie wie, co dziś dzieje się z jego klientem. Nie jest wcale nieprawdopodobne, że Sebastian M. mógł opuścić już areszt.

Tymczasem pod koniec ubiegłego tygodnia prokurator Krzysztof Wiernicki z Prokuratury Okręgowej w Piotrkowie Trybunalskim w niepokojący sposób odniósł się do pytań dziennikarzy. I wspomniał, że szejk Muhammad ibn Raszid al-Maktoum może zablokować przekazanie Sebastiana M. do Polski „ze względów politycznych: jeśli uzna, dla przykładu, że wynika to ze względów humanitarnych". Te słowa zabrzmiały jak przygotowywanie się na porażkę.

Nie brzmi też dobrze w tym kontekście komunikat Prokuratury Krajowej, która 5 stycznia poinformowała o tym, że minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar nakazał odwołać z delegacji 144 prokuratorów.

W komunikacie PK wskazała, że to „spowoduje negatywne i nieodwracalne skutki prawne dla prowadzonych postępowań, a w szczególności występujących w tych sprawach osób pokrzywdzonych". I wyliczyła, że przez to przestanie istnieć np. Departament Cyberprzestępczości i Informatyzacji zajmujący się nadzorem oraz koordynacją najpoważniejszych postępowań dotyczących cyberprzestępczości.

„Podobnie sytuacja wygląda w Biurze Współpracy Międzynarodowej, które ostatnio zajmowało się m.in. sprawą ekstradycji z Dubaju podejrzanego Sebastiana M." – stwierdzono w komunikacie.

Wszystko wskazuje na to, że liczący na sprawiedliwość mogą liczyć już tylko na arabskiego szejka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

Prawdziwa twarz „obrońców” kobiet

Marcin Kącki z „Gazety Wyborczej”
FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Zuzanna Dąbrowska

Marcin Kącki z „Gazety Wyborczej”, który ustawił się w roli demaskatora patriarchalnych postaw w szeregach Konfederacji, sam okazał się mężczyzną nieszanującym kobiet. Przy okazji jego sprawa potwierdza tezę o hipokryzji środowiska liberalno-lewicowego

Nie mogę już milczeć, chociaż wiem, że może się to wiązać z linczem. Wiem, niestety, jak traktuje się ofiary. Ale mam już dość, jestem zmęczona kultem oprawców. Tym, że ludzie czytają tekst Kąckiego i biją mu brawo, nie zastanawiając się nad tym, co z tymi dziesiątkami ofiar, które w nim wymienia” – napisała 6 stycznia Karolina Rogaska, dziennikarka „Newsweeka” i absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu.

Była to reakcja na opublikowany dzień wcześniej tekst Kąckiego pt. „Moje dziennikarstwo – alkohol, nieudane terapie, kobiety źle kochane, zaniedbane córki i strach przed świtem”. Jeszcze w piątek Aleksandra Sobczak, wicenaczelna „GW”, promowała tekst w newsletterze. „Artykuł ma jedną wadę – powinien być książką. Dawałabym ją w prezencie wszystkim kolegom i koleżankom” – zachwalała. Marcin Kącki opisał m.in. to, jak w 2006 r. ujawnił tzw. seksaferę w Samoobronie. „Dlatego gdy trafiłem do Anety Krawczyk, gdy chowała pod krzesłem palec wystający z dziurawej rajstopy i opowiadała o zoologicznie seksualnej naturze działaczy Samoobrony, to uwinąłem się z tym szybko, by odprowadzić ich do zoo, a przy okazji osłabić koalicję PiS i faszystów, i gdy odbierałem za to Wielką Nagrodę Dziennikarską, to najbardziej tęskniły za mną najbliższe mi kobiety, moje córki, a ja miałem osiemdziesiąt lat i tęskniłem za domem starców” – wskazywał.

WILK W OWCZEJ SKÓRZE

Jednak najwięcej emocji wzbudziło wyznanie dotyczące licznych romansów i złego traktowania kobiet. Wszystko to podlane dużą ilością alkoholu. Z tekstu przebija nieudolna próba usprawiedliwiania się. Kącki stwierdza bowiem, że kobiety te po latach wybaczyły. Cytuje słowa jednej z byłych partnerek, do mieszkania której wchodził… po balkonach: „Marcin, przy tych wszystkich facetach, którzy mi później spier..lili życie, ty byłeś po prostu takim, nie wiem, gościem, który wymyśla dzikie wariactwa i człowiek się potem przez tydzień śmieje”.

„Lubiłem towarzystwo kobiet, bo czułem się przy nich bezpieczny, zaopiekowany, bo wszyscy moi bohaterowie to męskie demony zniszczenia, i nie poznałem nigdy kobiet złych, a prawie zawsze źle kochane, także przeze mnie. Usynawiały mnie albo chodziły ze mną do łóżka, pocieszały, kazały się leczyć albo spier.alać, i to był z reguły dobry pomysł” – wspomina dziennikarz.

Jednak chęć kreowania się na być może nieco nieobliczalnego i ekscentrycznego, ale w sumie fascynującego ekscentryka szybko została zdemaskowana. „Marcin, skoro byłeś tak szczery w swoim tekście, dlaczego nie napisałeś wprost, co zrobiłeś mi i innym dziewczynom? Czemu nie napisałeś, że moje wielokrotne NIE potraktowałeś jak niebyłe, czemu nie padło, jak rzuciłeś do mnie, że »teraz odmawiasz, a po 30-stce nie będziesz już tak wybrzydzać i będziesz

eprasa.pl e333bdb72c

ruchać się jak popadnie«? Jak za stosowne uznałeś rozebranie się i masturbację mimo mojego ewidentnego przerażenia? Obrzydliwe zachowanie. OBRZYDLIWE" – wytyka mu Karolina Rogaska.

Na „Wyborczą" spadła fala krytyki, ponieważ wielu podejrzewa, że pozwolono, by Kącki zastosował „manewr wyprzedzający". Miał wiedzieć, że sprawa jego zachowania wobec kobiet została już zgłoszona do władz Polskiej Szkoły Reportażu (roczne szkolenie prowadzone przez Instytut Reportażu; to właśnie tam miało dochodzić do niewłaściwych zachowań), a więc pewnie prędzej czy później przedostanie się do mediów. Po trwających dwa dni mętnych tłumaczeniach redakcja „Gazety Wyborczej" przeprosiła czytelników, usunęła tekst Marcina Kąckiego oraz zawiesiła współpracę. Podobny krok podjęła Fundacja Instytut Reportażu.

Tymczasem Kącki brnie w narrację o autorefleksji. „Długo pisałem ten tekst. Pierwsze notatki do niego, jakie znalazłem, pochodzą z 2019 roku. Napisałem go, żeby na własnym przykładzie zwrócić uwagę mężczyzn na to, jak traktują kobiety. Ten tekst powstał też dlatego, że obawiam się kontrrewolucji mężczyzn wobec ruchu me too, a wiedzę o tym dała mi książka »Chłopcy«, o konfederatach. Chciałem, żeby ten esej pomógł mężczyznom uczciwie spojrzeć w przeszłość" – przekonywał w rozmowie z „Presserwisem". W wywiadzie padają kuriozalne słowa: „Błąd, jaki popełniłem, to ten, że uwierzyłem, że mogę facetom pokazać moją drogę i próbę naprawy".

Dziennikarz jest autorem materiałów o molestowaniu nieletnich chórzystów Poznańskiego Chóru Chłopięcego przez Wojciecha Kroloppa oraz o molestowaniu seksualnym w Samoobronie. W książce „Chłopcy. Idą po Polskę" skupia się z kolei na Konfederacji. „Tym, co łączy korwinistów, jest przede wszystkim niechęć do »lewactwa« i wszystkiego, co się z nim wiąże, przede wszystkim redystrybucji i sprawiedliwości społecznej […]. Bo korwinizm, jak pokazuje Kącki, jest też fantazją o męskości, korzeniami sięgającą dziewiętnastowiecznej powieści groszowej, przemieszaną z elukubracjami Ayn Rand" – tak książkę recenzował Jakub Majmurek z „Krytyki Politycznej". Kącki lubi moralizować. Stwierdził np., że gdyby był młodą kobietą, w życiu nie zagłosowałby na Konfederację. „Nie chciałbym żyć pod ich rządami. Kiedy te ich postulaty, poukrywane na czas kampanii wyborczej, wyszłyby na wierzch, zatęsknilibyśmy za Kaczyńskim" – przekonywał. Żeby było zabawniej, we wrześniu Marcin Kącki prowadził spotkanie autorskie książki „Przegryw. Mężczyźni w pułapce gniewu i samotności".

LIS I INNI

Przypadek dziennikarza „Wyborczej" nie jest jednak wyjątkiem, gdy mowa o środowisku lewicowo-liberalnym, w którym deklaracje okazują się nie mieć pokrycia w rzeczywistości. Nie musi dotyczyć to wcale seksualności. W maju 2023 r. wybuchła afera wokół magazynu branżowego „Press". O swoich trudnych doświadczeniach z szefem opowiedziało 40 osób. Według dziennikarzy wieloletni naczelny Andrzej Skworz miał zarządzać zespołem, stosując przemoc psychiczną. Wielu pracowników „Press" miało brać leki przeciwlękowe i cierpieć na stany depresyjne. „Wymagano od nas bardzo dużo, mieliśmy być najlepsi, ale zarządzanie redakcją odbywało się przez terror i mobbing. Na porządku dziennym były wrzaski i przekleństwa" – opowiadał jeden z dziennikarzy.

Skworz, autor „Biblii dziennikarstwa" i inicjator konkursu Grand Press, nie zaprzeczał, że mógł używać słów obraźliwych. Powód? „Praca w mediach to ciągły stres" – wyjaśniał. Pytanie, jak takie traktowanie podwładnych ma się do szumnych deklaracji związanych z etyką dziennikarską. „Doskonale wiemy, jak w Polsce dbano o etykę lekarską i jak reguluje się właśnie status sędziów, dlatego – i tu chyba wszyscy dziennikarze jesteśmy zgodni – ci z lewa, prawa i środka mówimy: nie! Zostawcie nas w spokoju! O etykę dziennikarską zadbamy sami, a wy – politycy – zadbajcie o własną!" – grzmiał Andrzej Skworz w 2019 r., komentując jeden z ówczesnych pomysłów PiS.

Nie sposób nie wspomnieć też o sprawie Tomasza Lisa. Musiał odejść ze stanowiska naczelnego „Newsweeka" po oskarżeniach o mobbing. Jesienią 2022 r. tygodnik „Polityka" opublikował artykuł, w którym czytamy o „pogłoskach", że „dziennikarz miał zostać oskarżony nie tylko o mobbing, ale i o napaść seksualną". „Nieoficjalnie wiadomo, że chodzi o młodą kobietę zatrudnioną w koncernie RASP, ale nie bezpośrednią podwładną Lisa. To miało skłonić wydawnictwo do zakończenia współpracy z dziennikarzem, tyle że w sposób dyskretny, bez publicznego rozdmuchiwania sprawy" – podano. Kobieta ta nie ujawniła swojej tożsamości. „Być może otrzymała coś w rodzaju premii za milczenie, chociaż równie dobrze mogła się po prostu obawiać traumatycznej otwartej konfrontacji ze słynnym dziennikarzem, jego prawnikami i armią wiernych fanów" – dywagował tygodnik. Jednocześnie kontrola Państwowej Inspekcji Pracy nie wykazała, aby w redakcji „Newsweeka" doszło do złamania procedur. Lis brał udział w proaborcyjnych czarnych marszach. Od początku ośmioletnich rządów PiS alarmował, że są one zagrożeniem dla praw kobiet.

ROZGRZESZONY?

Trudno mieć jednak nadzieję, że kolejne afery, ukazujące totalny rozdźwięk między słowami a czynami przedstawicieli strony liberalnej, cokolwiek zmienią – choćby skłonią owo środowisko do dłuższej niż chwilowa autorefleksji. „Marcin jest wybitnym reportażystą. Jednym z najlepszych w Polsce. Boli, gdy dowiadujesz się o ciemnych stronach takiego człowieka. Jeśli jest Twoim dobrym kolegą, boli tym bardziej. Tak, Marcin mnie zawiódł, ale sam jestem ostatnim, który ma prawo rzucać w niego kamieniem. Wierzę, że zrozumie swój błąd, że szczerze przeprosi tych, których skrzywdził. Życzę mu tego, by zrozumiał i żeby się podniósł. Kącki to sprawa Krollopa, seksafery w Samoobronie, książek takich jak Maestro, Białystok, Chłopcy… Niech ta nieszczęsna »spowiedź« tego nie przesłoni. A gdy oceniamy Marcina, sami popatrzmy na nasze życie…" – zalecał Wojciech Czuchnowski z „Wyborczej", komentując sprawę Kąckiego. Z kolei feministka prof. Monika Płatek zaapelowała: „Nie zamieniajmy tego, co się zaczęło za sprawą Marcina Kąckiego, w zaszczucie jednego człowieka". Podobnie jak Czuchnowski radzi krytykom „sprawdzenie, czy samemu nie przekracza się granic".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

Piotr Semka

Jak klan Rossettich zaczarował Albion

Dobrym kluczem do zrozumienia wyobraźni ludzi epoki wiktoriańskiej są obrazy prerafaelitów. Tłumaczą one, jak ówczesne pokolenia starały się wracać do źródeł chrześcijaństwa po libertynizmie epoki oświecenia. Zebranie wszystkich dzieł Daniela Dantego Rossettiego w jednym miejscu to prawdziwa gratka

„La Ghirlandata", 1873 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W 1821 r. do Londynu przybył pewien rewolucjonista, poeta i miłośnik poezji Dantego. Gabriel Rossetti był biednym uciekinierem za wstrząsanej rewolucjami Italii. Ponad trzy dekady później jego syn Daniel Dante Rossetti wraz z grupą brytyjskich malarzy dokonał rewolucji w estetyce epoki wiktoriańskiej. Prerafaelici odmienili gust elit w malarstwie, poezji, powieści i estetyce wizualnej. Na tę rewolucję estetyczną spory wpływ wywarły artystyczne osobowości z klanu Rossettich. O ich obrazach, poezji i życiu opowiada wystawa, którą po pokazie w londyńskiej Tate Gallery obejrzeć można w Delaware Art Museum w USA.

Prerafaelityzm to nurt w XIX-wiecznym malarstwie brytyjskim, który rzucił wyzwanie dominującemu wcześniej klasycyzmowi. Rosnące w siłę w XVIII w. imperium brytyjskie sięgało po stylistykę Grecji i Rzymu jako odpowiednią dla swoich mocarstwowych ambicji. Lśniące od bieli marmury i sztychy przedstawiające antycznych herosów po wielu dekadach dominacji po prostu się przejadły. I wtedy grupa prerafaelitów, na czele z Danielem Dantem Rossettim, wezwała do odnowienia tradycji malarstwa na styku średniowiecza i renesansu. Doskonale współbrzmiało to z literacką modą na romantyzm i nawrotem do traktowania niezwykle serio wiary chrześcijańskiej.

W odróżnieniu od poprzednich wystaw o prerafaelitach obecna ekspozycja, nazwana „The Rossettis", skupia się na

eprasa.pl e333bdb72c

czterech postaciach z niezwykłej włoskiej rodziny, która zachwyciła Anglików. To najważniejszy z rodu Daniel Dante Gabriel (malarz i poeta), jego siostra Christina (autorka wielu poematów), ich brat William (krytyk sztuki) i wreszcie Elizabeth Siddal – zjawiskowo piękna żona Daniela Dantego.

Podejście Rossettich do sztuki, miłości i stylu życia współcześni im uważali za rewolucyjne. Wystawa pokazywana była jesienią w Londynie, gdzie miałem okazję ją obejrzeć, i teraz wystawiana jest w Ameryce – kraju, na którego malarstwo w XIX w. prerafaelici wywarli bardzo duży wpływ.

ITALIAN CHARME

Emigranci bardzo często wpływają ożywiająco na myślenie o sztuce w krajach swego wygnania. Nie inaczej było w wypadku rodziny Rossettich. Londyński dom Gabriela Rossettiego był miejscem spotkań włoskich wygnańców, zawodowych rewolucjonistów i miłośników sztuki ze słonecznej Italii. Gabriel Rossetti zakochany był w poezji Dantego i nadał swemu pierworodnemu synowi jako drugie imię nazwisko twórcy „Boskiej komedii".

Gwarny, pełen niezwykłych gości artystów dom bardzo szybko wpłynął na przedwczesną inicjację twórczą dzieci Gabriela Rossettiego (1828–1882). Jego rodzeństwo stanowili starsza siostra Maria (1827–1876) i dwoje młodszego rodzeństwa: William (1829–1919) oraz Christina (1830–1894). Rodzice zachęcali dzieci do próbowania sił w poezji, malarstwie i grafice. Gabriel Dante został oddany do szkół artystycznych, gdy miał 15 lat. Christina opublikowała swój pierwszy tomik poezji w wieku 16 lat, do końca życia opublikuje aż 900 poematów. Z kolei Gabriel Dante długo nie mógł się zdecydować, czy wybrać powołanie poety czy malarza. Ale zwyciężył pociąg do pędzla. Jak wyznał wiele lat później: „Jeżeli ktoś ma w sobie choć trochę poezji, to powinien malować. Poeci już wszystko wyśpiewali, napisali, a malować ludzie dopiero zaczęli".

To, co w pierwszym okresie życia poruszało umysł i serca Gabriela Dantego, w literaturze było przenoszone od razu na papier. Na wystawie obejrzeć możemy jego młodzieńcze szkice na temat

„Odnaleziona", lata 1853–1869

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Zwiastowanie", lata 1849–1850

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

np. przygód z opowieści tysiąca i jednej nocy czy też osadzone w gotyku sceny ilustrujące „Fausta" Goethego. Ogromne wrażenie na młodych Rossettich wywarły obrazy brytyjskiego prekursora romantyzmu Williama Blake'a. Liczne rysunki ilustrują też wiersze nawiązujące do „Opowieści niesamowitych" Amerykanina Edgara Allana Poego. Pełen buntowniczych idei Daniel Dante Rossetti bardzo się męczył w szacownej akademii sztuki, do której trafił na początku lat 40. XIX w. Już wtedy uznał, że klasycyzm panuje w brytyjskiej sztuce o wiele za długo. Z młodzieńczą pewnością siebie Daniel Dante uznał, że wzorcem dla nowego malarstwa powinni być włoscy malarze z epoki przed Rafaelem.

PIĆ Z CZARY POŁUDNIA

Rok 1848 w całej Europie był rokiem politycznych rewolucji. W statecznym Londynie do żadnych rewolucji nie dochodziło, ale trzech studentów Royal Academy of Arts przysięgło sobie dokonać rewolty w brytyjskiej sztuce. Oprócz Gabriela Dantego Rossettiego byli to William Holman Hunt oraz John Everett Millais. Cała ta grupa była natchnieniem dla siostry Gabriela Marii (1827–1876) i jego młodszego brata Williama (1828–1919) oraz dla Christiny (1830–1894). Prerafaelici wpadli na mało szczęśliwy pomysł, by oznaczać swoje obrazy tajnym skrótem PRB (Pre-Raphaelites Bratherhood). Gdy wyszło to na jaw, wielu Anglików obawiających się zainfekowania Albionu ruchami rewolucyjnymi uznało grupę malarzy za potencjalnie groźnych wywrotowców. Ale twórcy trzymali się z dala od polityki i chcieli tylko zerwania ze skostniałymi już kanonami klasycyzmu. Podejrzliwość londyńskich elit wzbudziły też włoskie korzenie Gabriela Dantego, w którym widziano agenta jakiejś dywersji katolickiej, mającej zamącić w duszach spadkobierców reformacji.

Było to całkowite nieporozumienie. Owszem, Rossetti senior nominalnie był katolikiem, ale podobnie jak wielu włoskich rewolucjonistów tamtej epoki nie cierpiał papieża jako przeciwnika zjednoczenia Włoch.

W obrazach prerafaelitów widoczna jest fascynacja malarstwem średniowiecza. Widzieli oni potrzebę przypomnienia sobie współczesnym, że to właśnie chrześcijaństwo zawiera kanon najszczytniejszych idei ludzkości. Z czasem elity Londynu oswoiły się z nowym nurtem i ich obrazy zaczęły się dobrze sprzedawać. Oto „Zwiastowanie" – jeden z pierwszych obrazów, który rozsławił Daniela Dantego Rossettiego, powstały na przełomie lat 1849 i 1950. Na płótnie widać anioła, który wręcza kwiat lilii Maryi. Przyszła Matka Zbawiciela pokazana jest tu jako zwykła dziewczyna, ale już naznaczona

eprasa.pl e333bdb72c

nimbem świętości. Słuchając przesłania anioła, Maria patrzy w bok, jakby przeczuwając, że jej nadzwyczajny status przyniesie tyle samo chwały, co cierpienia.

Proste, ale szczere podejście do kwestii moralnych jako tematyki obrazów dobrze pasowało do moralnego pryncypializmu epoki wiktoriańskiej. Okresu, w którym powstawało wiele fortun, w którym Zjednoczone Królestwo przechodziło przyspieszoną industrializację, marząc jednocześnie o odrodzeniu moralnych zasad chrześcijaństwa. Po latach krytycy tej epoki będą ubierać te ewangeliczne rozterki szacownych mieszczan w zakłamanie i obłudę. To nieprawda. Wielu przedstawicieli elit epoki wiktoriańskiej potrafiło być bardzo rzeczowymi w prowadzeniu interesów, a jednocześnie płakać ze wzruszenia, czytając „Opowieść wigilijną" Charlesa Dickensa. Obrazy prerafaelitów skłaniały Brytyjczyków do zadumy, na ile oni sami godni są wypełniania ewangelicznych wezwań syna cieśli z Nazaretu.

STO TWARZY RUDEGO WAMPA

Elizabeth Siddal (1829–1862) była najsłynniejszą modelką prerafaelitów. W wypadku malarstwa Gabriela Dantego Rossettiego stała się wręcz obsesją tego twórcy. Burza rudych kędzierzawych włosów, blada cera i niezwykle zmysłowe usta wręcz hipnotyzowały prerafaelitów, którzy w tej prostej sklepowej ekspedientce odkryli wręcz symbol kobiecości. Jej twarz odtwarzana będzie w dziesiątkach kolejnych obrazów Rossettiego. Inną „twarzą" jego obrazów będzie posiadająca równie charakterystyczną urodę co Elizabeth Siddal kolejna modelka – Jane Morris.

Obrazy z wizerunkiem obu „prerafaelickich muz" wywierały jakiś tajemniczy, hipnotyczny wpływ na bogatych Brytyjczyków. Za ogromne sumy wykupywali od Rossettiego dzieła z dwoma pięknościami – tą rudowłosą i tą z ciemnymi włosami. Jeden z ówczesnych krytyków przyrównał kobiece portrety artysty do egzotycznych kwiatów z pałacowej szklarni. Ich aromat bywał pobudzający, ale i duszący. Piękności Rossettiego sytuowały się gdzieś na granicy wybujałej dojrzałości i zepsucia.

Rossetti ożenił się z Elizabeth Siddal, ale na równowagę psychiczną dziewczyny

„Ślub św. Jerzego i księżniczki Sabry", 1857 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

rzuciła się cieniem tragedia utraty dziecka podczas nieszczęśliwego porodu. Elizabeth zmarła po dwóch latach małżeństwa w wyniku przedawkowania laudanum, które uśmierzało jej depresję po utracie dziecka. Czy popełniła samobójstwo? Zdania są podzielone. Mimo że Rossetti wiązał się potem z wieloma kobietami, a jeszcze później romansował z modelką Janet Morris, na portretach Rossettiego dominowały kolejne warianty twarzy Elizabeth Siddal. Nie mógł uwolnić się od jej fascynującej i tajemniczej urody.

Badaczka sztuki Wioleta Wenerska pisze: „Rosetti gloryfikował kobietę, wybierając kobiecy kształt jako narzędzie swoich myśli i swoich żądz, tworząc swoisty typ kobiecej urody". Ideał kobiecości Rossetti odnalazł w poemacie „Upadek Hyperiona" Johna Keatsa, który sławił w nim feminę o bladej twarzy i oczach „niezmiennie łagodnych, oślepłych na wszystko, co było dookoła". Rossetti fascynował się kobietami o marmurowej skórze, o zagadkowych melancholijnych oczach, wyrazie twarzy i ciele jakby zastygłym w bezruchu. Jego portretowane kobiety – jak pisze Wenerska – uosabiały jednocześnie boskość i czystość uczuć, niewinność, a także niszczącą namiętność.

WSPÓŁCZESNE MASKI

Wystawa o klanie Rosettich nie jest niestety wolna od nieznośnej maniery przypisywania postaciom z XIX w. dzisiejszych cech poprawności politycznej. Autorzy wystawy z uporem wciskali Christinę Rossetti w kostium protofeministki. Christina i jej starsza siostra Maria, owszem, zajmowały się walką o sprawiedliwość społeczną, ale czyniły to poprzez struktury charytatywne Kościoła anglikańskiego.

Tak samo przesadą jest przykładanie dzisiejszych standardów do częstego motywu kobiet upadłych, który pojawia się w niektórych wierszach Christiny i obrazach Daniela Dantego Rossattiego. Jego obraz „Odnaleziona" przedstawia mieszkańca wsi, który po przybyciu do miasta odnajduje swoją ukochaną jako upadłą kobietę w rynsztoku. Pełen chęci wyrwania jej z biedy pomaga jej wstać. Ona ze wstydem odwraca twarz, świadoma swojej nędzy. W tle symboliczny motyw zabłąkanego cielęcia schowanego pod siatką na wiejskim wozie. Christina i Maria Rossetti nigdy nie wyszły za mąż i w wieku dojrzałym zamieszkały we wspólnocie anglikańskich pobożnych niewiast, które m.in. zajmowały się próbami wyciągnięcia młodych dziewcząt z bagna prostytucji. Ale w tych staraniach nigdy nie było żadnego pobłażania dla swobody obyczajowej. Autorzy katalogu wystawy wyraźnie pomijają ten wątek.

NIEZROZUMIANA EPOKA

Era wiktoriańska nie doczekała się życzliwego opisu. Żyjący w drugiej połowie XX w. oficjalni piewcy tamtej epoki byli nadęci i nudni, a późniejsi krytycy tej epoki napastliwi i niesprawiedliwi. Jest paradoksem, że najlepszy pomnik wiktoriańskich cnót wystawiła autorka popularnych kryminałów Agata Christie. Dobrym kluczem do zrozumienia wyobraźni ludzi z tamtych czasów są też obrazy prerafaelitów. Tłumaczą one, jak ówczesne pokolenia starały się wracać do źródeł chrześcijaństwa po libertynizmie epoki oświecenia. Dlatego warto zadać sobie trud, aby obejrzeć najlepsze dzieła prerafaelitów, rozsiane po brytyjskich i amerykańskich kolekcjach. A już zebranie wszystkich dzieł Daniela Dantego Rossettiego w jednym miejscu to prawdziwa gratka. Jeszcze do końca stycznia obejrzeć je można w amerykańskim Wilmington. Ludzie dla bardziej błahych powodów potrafią przelatywać Atlantyk. Naprawdę warto.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

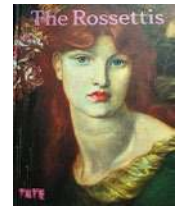

Wystawę zorganizowaną przez Tate Britain wraz z Delavare Art Museum w Wilmington w USA można oglądać do 28 stycznia 2024 r. Szczegóły na: https://delart.org.

eprasa.pl e333bdb72c

Kolejny powrót Mrożka?

W ostatnich sezonach jednym z domów Mrożka jest warszawski Teatr Polski FOT. KAROLINA JÓŹWIAK

Grzegorz Kondrasiuk

W ubiegłym roku ukazała się pierwsza (!) biografia Sławomira Mrożka napisana przez Annę Nasiłowską, jego dramaty są stale obecne w teatrach, a na temat znaczenia i interpretacji dorobku słynnego pisarza, dramaturga, rysownika organizuje się sesje naukowe. Cytując klasyka, wieści o śmierci Mrożka są przesadzone

Przypomnę, prawie w każdym tekście temu autorowi poświęconym cytuje się lekceważącą opinię pewnej reżyserki o tym, że dramaty Mrożka się zestarzały, ponieważ są napisane pełnymi zdaniami. Szczera to była opinia, choć wypowiedziana mimochodem. Pozbawiona kontekstu stała się popularna, bo dobrze oddaje kłopot, który z pisarzem mają nie tylko najnowszy polski teatr, tzw. postdramatyczny, lecz także ogólny stan humanistyki czy debaty publicznej. Najlepsze dzieła Mrożka są wielowarstwowe, spójne i precyzyjne, w dodatku świetnie napisane, dlatego nie poddają się fragmentacji, remiksowaniu, „przejmowaniu" i nadpisywaniu własnych treści. Mrożek to nie tylko pełne zdania, lecz także zapisany w nich ironiczny, zdystansowany stosunek do świata, ostrożność w stosunku do zbiorowych uniesień i ideologii nimi sterujących, to głębia filozoficzna kryjąca się pod lekką, często lakoniczną formą. A skoro rozwój literackiego słowa pisanego oraz sztuki scenicznej poszedł w przeciwnym kierunku, w stronę rozlewności, bełkotliwości i ulegania ideologiom, to nie ma się co dziwić wskazanym powyżej kłopotom. Do tego wszystkiego dezaktualizacja twórczości naszego autora – nie odkrywam tu Ameryki – jest częścią szerszego procesu zaniku czy abdykacji warstwy inteligenckiej.

A jednak nie ogłaszałbym definitywnego zamilknięcia dla współczesnej kultury twórczości Mrożka. Czyli kolejny powrót? A może Mrożek nigdy nie odchodził, tylko po prostu został skazany na defensywę, ale po partyzancku, trochę z ukrycia? Po kilku wizytach w teatrze oraz po lekturze książki Anny Nasiłowskiej myślę, że on ciągle pracuje. Nie ma dziś pozycji pisarza, któremu organizowano w apogeum popularności festiwale, którego sztuki były w żelaznym repertuarze wszystkich szanujących się teatrów, który był (co przypomniała Nasiłowska) obwożony po krakowskim rynku na drewnianym koniu ciągniętym przez traktor. Już nie jest kolejnym polskim wieszczem, choćby i miałby to być niedoszły noblista i geniusz w dziedzinie groteskowej satyry czy epistolografii. I dobrze! Powoli ulatują z jego sztuk aktualne konteksty, a ponieważ opierają się one na wzorcach przypowieści filozoficznych, to ładnie się starzeją, właściwie od początku miały w sobie gotowość do uniwersalizacji.

Każdemu, kto chciałby sprawdzić na własną rękę prawdziwość powyższego stwierdzenia, polecam zajmującą lekturę książki „Mrożek. Biografia" oraz wizytę na ostatnich mrożkowych premierach. Praca Nasiłowskiej była już recenzowana, m.in. piórem Krzysztofa Masłonia, na łamach „Do Rzeczy" (nr 42/2023). Jeśli za kryterium dobrej książki biograficznej uznamy to, że w trakcie lektury coraz bardziej zaczynamy rozumieć głównego bohatera, ale za to z każdą stroną przestajemy go lubić, to jest to biografia udana. Autorka nie czyniła łatwych koncesji na rzecz brązownictwa swojego bohatera, podając do wiadomości różne, mało chwalebne fakty z dziedziny jego życia prywatnego. Co ciekawe, wyznaczyła sobie granicę informacyjną, chroniąc wrażliwość żyjących świadków wydarzeń. Pogodzenie tych sprzecznych tendencji wydaje się trudne, a jednak – jak się okazało – jest możliwe.

Warto uczynić kilka wskazań teatralnych, zastrzegając sobie prawo do ich niekompletności. W ostatnich sezonach jednym z domów Mrożka jest warszawski Teatr Polski, do którego dołączył świeżo przeobrażony w instytucję jeszcze za kadencji Piotra Glińskiego Teatr Klasyki Polskiej. W Mrożka teatralnym „życiu po życiu" najciekawszy i wciąż niewyczerpany jest wątek właśnie tej gotowości do uniwersalizacji. W warszawskim Teatrze Polskim Wawrzyniec Kostrzewski wystawił „Tango". Spektakl ma ponad rok, a reżyser, unikając wszelkich łatwych aktualizacji politycznych, uniknął zarazem niespodziewanej dezaktualizacji. Do tego „Tanga", nieco zbyt grzecznego i zachowawczego, choć przecież komunikatywnego, chcę jeszcze wrócić w osobnej recenzji. Natomiast Teatr Klasyki Polskiej ma w swoim repertuarze udaną realizację „Vatzlava" (o którym pisałem tuż po premierze) i „Ambasadora" (wizyta w podziemiach warszawskiego kościoła Wszystkich Świętych, gdzie gościnnie ten teatr gra, wciąż przede mną). Najkrótszy wniosek z tych teatralnych spotkań – Mrożek jest wtedy drapieżny, kiedy wydarzenia za naszymi oknami komentuje nie bezpośrednio, ale za to swoimi pełnymi zdaniami. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

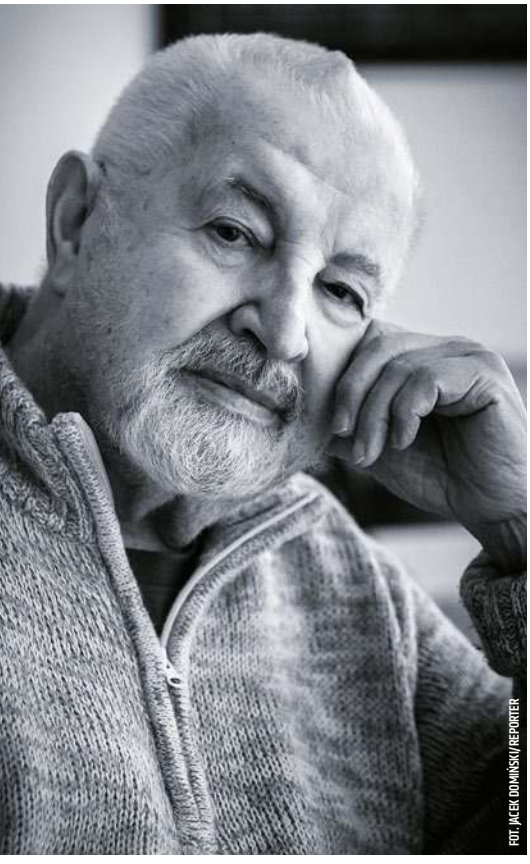
FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Lekcje pana Janusza

Piotr Gociek

Zmarł Janusz Majewski, reżyser, który wszedł do historii polskiego kina filmami „Zaklęte rewiry", „Lekcja martwego języka" czy „C.K. Dezerterzy"

Łatwo było kochać rozmowy z Januszem Majewskim, bo on uwielbiał gadać i był wybornym rozmówcą. Poznałem go późno, bo w roku 1998, kiedy kręcił w Krakowie „Złoto dezerterów". Był już wtedy legendą polskiego kina, a ja szwendającym się mu po planie autorem programu filmowego RMF FM „Do kina czy na film". Daleko nie miałem, bo część zdjęć kręcono na Kopcu Kościuszki, rzut beretem od mojego pokoju w radiu.

Widywaliśmy się potem dość często przy okazji rozmaitych festiwali, premier jego filmów i książek. Pamiętam, jak po premierze filmu „Po sezonie" oraz autobiografii „Ostatni klaps" mówił, że właściwie to się już żegna i z pisaniem, i z myśleniem o nowych filmach. Na szczęście zmienił zdanie i w kolejnych latach dał nam „Małą maturę", „Ekscentryków" czy „Czarnego mercedesa" plus kilka filmów dokumentalnych i spektakli telewizji. Jasne, nie były to już dzieła na miarę „Zaklętych rewirów" czy „Lekcji martwego języka", ale „Mała matura 1947" znajdzie miejsce, moim zdaniem, w dziesiątce najlepszych dokonań Majewskiego.

„Ostatni klaps", czyli „Pamiętnik moich filmów", to swoją drogą jedna z najzabawniejszych książek, które ukazały się w Polsce w XXI stuleciu. Trudno nie śmiać się w głos, czytając wspominki reżysera czy to z niespodziewanej wizyty Kirka Douglasa w łódzkiej filmówce, czy z zakazanych atrakcji podczas kręcenia jednego z filmów u progu lat 80., kiedy to niespodziewanie zakwaterowano Majewskiego w prywatnym gniazdku miłosnym kaliskiego kacyka PZPR. Lud strajkował, ale w buduarze sekretarza komitetu wojewódzkiego paliły się czerwone burdelowe lampki, w lodówce czekały kanapeczki z kawiorem, w barku zaś – ocean wódeczki czystej, koniaków i whisky tudzież Sowietskoje Szampanskoje w dużych ilościach. „Zadzwoniłem po chłopaków z ekipy: zeżarliśmy kanapki i wypili parę połówek, a nawet porwani ideą międzynarodowej, proletariackiej solidarności i na cześć bratniej partii KPZR sporządziliśmy w wazonie do kwiatów koktajl Ognie Moskwy (pół litra wódki na butelkę Sowietskoje)" – zapisał Majewski. Następnego dnia przekwaterowano go do zwykłego hotelowego pokoju.

NAJLEPSZY FILM MAJEWSKIEGO

„Ostatni klaps" nie był wyjątkiem. Oprócz znaczących filmów Janusz Majewski zostawił po sobie sporo ciekawych książek. Pisanie było dla niego czymś naturalnym, „było częścią zawodu reżysera: pisałem scenariusze, sztuki telewizyjne, dialogi" – wyjaśniał we wstępie do tomu „Ekshibicjonista", który zawierał „opowiadania, które mogły się stać scenariuszami, lecz z tego zrezygnowałem, opowiadania, które się do tego nie nadawały, miniatury, które bawiły mnie samego". Ujmując prościej, był kapitalnym gawędziarzem, storytellerem, a forma (scenariusz, sztuka, opowiadanie, powieść, długa rozmowa) okazywała się drugorzędna. Ze wszystkim świetnie sobie radził.

Jeszcze jako nastolatek obejrzałem pewnego dnia powtórkę telewizyjną „Zaklętych rewirów" (1975). Brawurowa ekranizacja powieści Henryka Worcella to chyba najlepszy film Majewskiego, a role młodziutkiego Marka Kondrata i niezawodnego jak zawsze Romana Wilhelmiego przeszły do historii polskiego kina. Tak jak zapisywały się w niej inne filmy Majewskiego: niejednoznaczna i intrygująca „Zazdrość i medycyna" wedle powieści Michała Choromańskiego czy sugestywna i pełna goryczy „Lekcja martwego języka" (1979) wedle prozy

eprasa.pl e333bdb72c

Andrzeja Kuśniewicza, ze świetną rolą Olgierda Łukaszewicza.

To lata 70. A gdy cofnąć się do wcześniejszej dekady, odnotować trzeba serię niezmiernie popularnych krótszych form inspirowanych rozmaitymi typami opowieści fantastycznych. „Wierny robot" (1961) na podstawie opowiadania Stanisława Lema, „Awatar, czyli zamiana dusz" (1964) na podstawie opowiadania Teophile'a Gautiera, „Ja gorę!" (1967) podług noweli Henryka Rzewuskiego (najbardziej udany film z telewizyjnej serii „Opowieści niezwykłe"). Ukoronowaniem tych fascynacji Majewskiego fantastyką i grozą był kinowy „Lokis" (1970), czyli ekranizacja słynnej, klasycznej powiastki Prospera Mérimée.

ZASZUFLADKOWANY

Do fachu filmowego trafił późno. Tak pracowite dla niego lata 60. XX w. (nakręcił wtedy także sporo cenionych dokumentów) to przecież już czwarta dekada życia reżysera. Wcześniej była łódzka filmówka, ale najpierw Majewski miał być architektem (skończył studia na Politechnice Krakowskiej). Za to kiedy już do łódzkiej uczelni trafił, to wskoczył w sam środek twórczego zamieszania: błaznował i prowokował z Romanem Polańskim, brylował w SPATiF i restauracji Malinowa łódzkiego hotelu Grand, prowadził bujne życie towarzyskie. Wszyscy wszystkich znają: Wajda, Komeda, Hłasko. Jeszcze przed dyplomem w filmówce Majewski poślubił Zofię Nasierowską, cenioną autorkę fotografii artystycznej. Początkowo w ogóle nie chciała go znać, bo miał opinię playboya. Ich małżeństwo przetrwało pół wieku (Nasierowska zmarła w roku 2011), a salon Majewskich przeszedł do legendy PRL, niezależnie od tego, czy było to maleńkie mieszkanie na warszawskiej Tamce czy dom na Żoliborzu, czy dekady później pensjonat na Mazurach, zwany przez przyjezdnych „Niepublicznym Zespołem Komfortowej Odnowy Ciała i Ducha".

Kręcący filmy i piszący książki przez ponad pięć dekad Janusz Majewski żegnany był w dniu śmierci przez Jacka Bromskiego słowami: „Odszedł ostatni z wielkich reżyserów polskich, takich jak Andrzej Wajda, Jerzy Kawalerowicz, Jerzy Antczak". Ale wspomnijmy, że ulubieńcem krytyków nie był nigdy. Owszem, przy okazji pojedynczych przedsięwzięć bywał chwalony – za humor i prowadzenie obsady w telewizyjnych krótkich formach, za wybitne osiągnięcie, którym były „Zaklęte rewiry". Otrzymywał u kresu życia nagrody za całokształt twórczości, ale wcześniej zaszufladkowano go szybko jako specjalistę od kina retro oraz twórcę kina gatunków, zarzucając czasem, że kręci pastisze kina przedwojennego. Skoro kino gatunków, to gorsze, skoro filmy popularne (a filmy Majewskiego były niezmiernie popularne), to znaczy, że schlebiają tandetnym gustom – do dziś niejeden krytyk stosuje takie kryteria. „C.K. Dezerterów" obejrzało w kinach 7,5 mln Polaków. Kto pisze dzieje polskiego ekranowego kryminału czy dramatu sądowego, nie może pominąć „Zbrodniarza, który ukradł zbrodnię" (1969) i „Sprawy Gorgonowej" (1977).

ŚWIADEK KOŃCA ŚWIATA

W nieustannym zerkaniu Majewskiego wstecz – ku Polsce przedwojennej, a nawet ku kresowi belle époque, którym była pierwsza wojna światowa – można jednak dostrzec coś ważniejszego. Spójrzmy na biografię reżysera: lwowiak, urodzony w 1931 r. Dekadę młodszy od Lema, ale gdy przychodzą Niemcy i Sowieci, jest już w tym wieku, kiedy wszystko się dostrzega, wiele rozumie i niczego nie zapomina. Widzi koniec świata. Niewiele brakowało, a cała rodzina opuściłaby Polskę drogą na Zaleszczyki. Podczas wojny ojciec służy w Armii Krajowej. Czy można się dziwić, że do akcji podziemnego ruchu oporu wraca Majewski u kresu życia w powieściach i filmie? „Mała matura 1947", o której wiele lat później opowie w filmie, to jego matura, to dzieje rocznika Majewskiego pod nową okupacją – wciąż sowiecką, ale już w kraju rządzonym przez polskich komunistów. Śmiem twierdzić, że wszystko to, co wydarzyło się w życiu Majewskiego, nim trafił na studia, uformowało go jako człowieka w sposób decydujący (jak chyba większość z nas); to, co przyszło potem, to już tylko nauka kolejnych fachów. O Lwowie do końca życia mówił Majewski: „utracona ojczyzna".

Był kapitalnym gawędziarzem, storytellerem, a forma (scenariusz, sztuka, opowiadanie, powieść, długa rozmowa) okazywała się drugorzędna. Ze wszystkim świetnie sobie radził

Czy te wybory były eskapizmem? Nie sądzę. Dużo te filmy mówiły o lękach i nadziejach Polaków. Być może największym pechem Majewskiego było to, że nigdy nie pozował na wielkiego artystę kierowanego niewidzialnymi dla innych natchnieniami. Był świetnym narratorem, warstwa wizualna jego filmów była gładka, estetyka przemyślana, ale nigdy nie narzucająca się – łatwo zlekceważyć takie zalety, nie wiedząc, jak ciężko trzeba pracować, by taki efekt osiągnąć. „Nie wierzę w filmy dla garstki krytyków i znajomych" – mówił Majewski Barbarze Hollender w książce „Od Wajdy do Komasy". „Zawsze starałem się swoje robić tak, aby widz zapomniał o krześle, na którym siedzi, nawet jeśli jest ono niewygodne".

Moje najwspanialsze wspomnienie związane z filmami Majewskiego to chwila, kiedy wychodziłem z kina po seansie „C.K. Dezerterów" i czułem euforię. Nie byłem w tym uczuciu osamotniony. Był rok 1986, ponure czasy Jaruzelskiego i braku nadziei na lepszą przyszłość. Oglądaliśmy ten film większą grupą, przy okazji jakiejś imprezy miłośników fantastyki w Warszawie, byli wtedy chyba z nami pisarze Marek Baraniecki i Marek Oramus, a także redaktor i wyborny znawca literatury Marek S. Nowowiejski. Jeden z nich, nie pamiętam kto, powiedział z szerokim śmiechem: „Oto wspaniały film o tym, jak upada imperium". Kapitalna farsa Majewskiego, o tym, że gnębione narody zawsze znajdą sposób, by się dogadać i razem okpić tyrana, dawała nam wszystkim niespodziewaną nadzieję, choć nic nie wskazywało jeszcze na to, by imperium sowieckie miało się wkrótce rozsypać. Za tę nadzieję, za tamtą chwilę jestem i będę zawsze Januszowi Majewskiemu wdzięczny. Tak jak za wiele innych znakomitych filmów, bez których dzieje polskiego kina i telewizji byłyby smutniejsze i uboższe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Śmierć bogaczom!

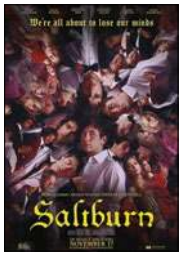

★★★★☆☆

REŻ. EMERALD FENNELL „SALTBURN" WIELKA BRYTANIA 2023, AMAZON PRIME

wyst. Barry Keoghan, Jacob Elordi, Rosamund Pike

Ach, bogacze! Nie dość, że mają pieniądze, to jeszcze nie wiedzą, jak ich używać! Spójrzmy na rodzinę Cattonów z filmu „Saltburn": mieszkają w olbrzymim zamku, między „kiepskim Rubensem" na ścianie a oryginalnymi łożami Henryka VIII (i innych Henryków), posiadają służbę, fortunę i są bardzo nieciekawi. No, może z wyjątkiem młodego Felixa, którego kochają wszyscy wokół, włącznie z naszym bohaterem, ubogim Oliverem. A rzecz zaczyna się w Oksfordzie, gdzie piwo i wódeczka leją się strumieniami, a w przerwach między zgłębianiem sekretów zapomnianych poetów można zgłębiać obyczaje intymne koleżanek i kolegów.

Felixa gra Jacob Elordi, a zafascynowanego nim Olivera – Barry Keoghan, piekielnie utalentowany młody aktor, którego mogliśmy podziwiać w „Duchach Inisherin" oraz „Zabiciu świętego jelenia". Ten ostatni film był na pewno jedną z inspiracji dla nakręcenia „Saltburn, tyle że Yorgos Lanthimos dawał nam antyczny dramat zemsty, podczas gdy Emerald Fennell (autorka filmu „Obiecująca. Młoda. Kobieta") proponuje wariację na temat znany z klasycznej powieści Patricii Highsmith (oraz jej ekranizacji) „Utalentowany pan Ripley". Inne tropy też są oczywiste, w pewnym momencie poznając codzienność życia bogaczy, oczarowany Oliver mówi: „Jak bym był w powieści Evelyna Waugh". W odpowiedzi słyszy, że autor „Znowu w Brideshead" był bliskim znajomym rodziny Cottonów. Ale „Saltburn" to opowieść przepełniona jadem, gdy porównać ją z książkami brytyjskiego klasyka.

Komu powinniśmy kibicować? Nawet ci, którzy są tu krzywdzeni, wydają się pustawi i niemądrzy. Ale od kiedy to czyjaś głupota ma być zezwoleniem na to, by się nad nim znęcać? Oliver nie jest tym, za kogo się podaje, a jego intencje są mroczne. Fascynacja miesza się z zazdrością, zazdrość z nienawiścią, choć sam Oliver najczęściej mówi o miłości. Proszę jednak uważnie śledzić znaczenie aktów seksualnych w tym filmie – to, co ma być wyrazem fascynacji, jest w istocie przemocą, niczym gwałt dokonywany przez triumfującego żołdaka na mieszkańcach podbijanego kraju. Ostrze satyry wymierzono niby w bogaczy, ale Oliver nie jest społecznym rewolucjonistą, lecz egoistą, chciałby być taki jak ci, którymi pogardza i którym zazdrości. Może więc winne jest samo istnienie bogactwa? Zatruwa duszę, bo jest? Nawet jeśli – to co w zamian? ©℗

NOWE SERIALE: „JUŻ MNIE NIE OSZUKASZ"

Podboju Netflixa przez Harlana Cobena ciąg dalszy – tym razem brytyjska ekranizacja powieści z 2016 r. (u nas wydanej rok później). Czy to możliwe, by zamordowany mąż Mayi nadal żył? A nawet jeśli, to dlaczego miałby włamywać się do własnego dawnego domu? Warto zwrócić uwagę na Richarda Armitage w roli męża, a na drugim planie zaskakuje Joanna Lumley, którą pamiętamy z komediowej perełki „Absolutely Fabulous". ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***miniserial „Już mnie nie oszukasz" („Fool Me Once"), Wielka Brytania 2023***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 4* ***„Detektyw" („True Detective")****, USA 2024*
- *sezon 1* ***„Bracia Sun" („The Brothers Sun")****, USA 2024*
- *sezon 1* ***„Ted"****, USA 2023*
- *reż. Gareth Edwards* ***„Twórca" („The Creator")****, USA 2023*

eprasa.pl e333bdb72c

Zmarnowany heroizm?

KINO

Kochamy straceńców. Jednym z nich był François-Athanase de Charette, który najpierw (jak Kościuszko) walczył o wolną Amerykę, a potem – z identycznym zapałem – wojował z rewolucyjnym francuskim rządem. Okazał się wodzem charyzmatycznym, więc lgnęli do niego nie tylko pogrobowcy ancien regime'u, lecz także wieśniacy i temperamentne amazonki. Rojalistów niosła wiara w słuszność ich sprawy, ale wojny domowe zawsze są krwawe. Film dedykowano 40 tys. ofiar pacyfikacji Wandei. Nie ulega wątpliwości, że „wolność", którą paryscy fanatycy chcieli narzucić rodakom, tak naprawdę była maską nowego despotyzmu. Ekranowy Charette miewa chwile słabości, czasem można odnieść wrażenie, że bardziej troszczy się o swój wizerunek niż o pokonanie „błękitnych". W sukces powstania nie wierzy, zdaje sobie sprawę, że biegu historii odwrócić nie zdoła. Przeciwnik jest podstępny i pozbawiony zasad, Burboni boją się postawić stopę na francuskiej ziemi, wybierając wygodne życie emigrantów. Charette, coraz bardziej osamotniony, zmierza ku przeznaczeniu. Jak na ironię, monarchia wkrótce wróci – w osobie Napoleona – a po jego upadku na bagnetach obcych armii. Mimo rwanej narracji i budżetowych ograniczeń, widocznych w scenach batalistycznych, warto ten film obejrzeć i zapamiętać.

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. PAUL MIGNOT, VINCENT MOTTEZ
„WANDEA. ZWYCIĘSTWO ALBO ŚMIERĆ" („VAINCRE OU MOURIR")
FRANCJA 2022

wyst. Hugo Becker, Rod Paradot, Gilles Cohen

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZAWÓD: REPORTERKA

tv

„Dziewczyna Piętaszek" nie ma nic wspólnego z Robinsonem Crusoe. To dziennikarka, która rozwiodła się z redaktorem naczelnym gazety, bo praca była dla niego najważniejsza. Teraz chce się związać z mężczyzną statecznym, ale z uzależnienia od adrenaliny, nieodłącznej towarzyszki reportera, wyleczyć się jest trudno. Film Hawksa to klasyczna screwball comedy, w której zwrotom akcji towarzyszą potoki słów. Żaden lektor nie nadąży, zwłaszcza że ekranowi adwersarze wciąż się przekrzykują (i palą jak smoki). Russell, czterokrotnie nominowana do Oscara, jest tu świetna, lecz rządzi jej partner – „uroczy na swój ohydny sposób" Grant. Urodził się 120 lat temu. Nie zwlekał, jak o cztery lata starszy Bodo, z przeprowadzką do Hollywood, i dobrze na tym wyszedł. „Dziewczyna Piętaszek" zestarzała się tylko w jednym aspekcie: gdy święciła triumfy na ekranach, politycy bali się pismaków. Dziś jest odwrotnie. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. HOWARD HAWKS
„DZIEWCZYNA PIĘTASZEK" („HIS GIRL FRIDAY")
USA 1940

wyst. Cary Grant, Rosalind Russell, Ralph Bellamy

NOC KOMETY

KINO

Islandii, podobnie jak Rosji, rozumem nie ogarniesz. Może dlatego bohater filmu Hilmara Oddssona nadał psu imię Breżniew. A to tylko zwiastun serii dziwacznych zdarzeń. Apodyktyczna matka Jóna chciała być pochowana w rodzinnych stronach, czyli na drugim końcu wyspy. Syn, spełniając jej życzenie, pakuje zwłoki do zdezelowanego auta i wyrusza w podróż, która zdaje się nie mieć końca. Samotność wyostrza zmysły. Mamy rok 1980, islandzka autostrada w konfrontacji z PRL-owską gierkówką przegrywa przez nokaut, w dodatku Jón zbacza z głównej trasy. Pstryka fotki, wdaje się w interakcje z przypadkowo spotkanymi ludźmi. Rozmawia z Breżniewem, zrzędliwą nieboszczką i widmami wyłaniającymi się z porannej mgły. Potrzebuje czasu, by oswoić się z życiem, śmiercią i samym sobą. Czarny humor, ascetyczno-ekscentryczna formuła plus szczypta poezji – oto firmowe danie nordyckiego kina. Smacznego! ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆

REŻ. HILMAR ODDSSON
„MATKA SIEDZI Z TYŁU" („Á FERÐ MEÐ MÖMMU")
PROD. ISLANDIA/ ESTONIA 2022

wyst. Þröstur Leó Gunnarsson, Kristbjörg Kjeld, Hera Hilmar

GRA TYGODNIA: „HOUSE FLIPPER 2"

Kupić ruderę, odpicować ją i sprzedać z zyskiem. Brzmi jak niezły plan. Ale nie jest to taka łatwa forsa, jak mogłoby się wydawać. Trzeba zakasać rękawy i dla maksymalizacji zysku zająć się remontami samodzielnie. Gra polskiego studia Frozen District to kontynuacja produkcji, w której wcielamy się z jednej strony w inwestora, a z drugiej w budowlańca, który potrafi odczarować każdą ruinę. Znów chwytamy za znane z części pierwszej narzędzia, ale są i nowe mechaniki. Na razie do sprawdzenia tylko na PC, konsolowcy muszą poczekać. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *symulacja, ekonomiczna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Frozen District*

eprasa.pl e333bdb72c

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Matko, czy mi wybaczysz?

W styczniu 1964 r. do Warszawy przyjechała Marlena Dietrich. Zainteresowanie występami wielkiej gwiazdy kina i estrady było tak duże, że oprócz planowanych koncertów 18 i 19 stycznia [dwa dziennie] dodatkowo udostępniono jej jeszcze Salę Kongresową w Pałacu Kultury i Nauki następnego dnia. W sumie więc sześciokrotnie pokazała się wtedy warszawskiej publiczności, zachwycając ją takimi swoimi przebojami jak „Ich bin die fesche Lola" czy „Where Have All the Fowers Gone". Nie mogło też zabraknąć, naturalnie, piosenki „Falling in Love Again", w której kompozytor Burt Bucharach towarzyszył artystce na scenie. Marlena zwracała się do słuchaczy po francusku, publika zrewanżowała się jej, gremialnie odśpiewując „Sto lat" – po polsku.

Jako tzw. support występował podczas tych koncertów zespół Niebiesko-Czarni. Przysłuchując się bigbeatowym produkcjom, Marlena Dietrich zwróciła uwagę na piosenkę „Czy mnie jeszcze pamiętasz". Zachwyciła się nią, błyskawicznie dokonała transakcji zakupu praw do jej nagrania, co umożliwiło zarejestrowanie na płycie tego utworu jeszcze w tym samym roku, z własnym tekstem, z akompaniamentem gitary i akordeonu. Całą tę sprawę przypomniał ostatnio Stanisław Danielewicz w obszernej, ciekawej książce o pionierskich latach polskiego big-beatu [jak w PRL nazywano muzykę rockową]: „Big-beatowy atak. Lata 60. w Trójmieście".

„Pytanie »matko, czy mi wybaczysz?« wyartykułowane na koncertach w Niemczech z piękną muzyką Wydrzyckiego [prawdziwe nazwisko Niemena – przyp. K.M.] – pisze Stanisław Danielewicz – pomogło piosenkarce przezwyciężyć wieloletni ostracyzm ze strony niemieckiej publiczności, która długo nie chciała jej wybaczyć »zdrady«, czyli współpracy z amerykańską armią w czasie drugiej wojny światowej.

Dziś, gdy coraz częściej w niektórych mediach (i nie tylko) przedstawia się Niemców z lat 1933–1945 jako »ofiary nazistów', które to ofiary na szczęście zostały wreszcie wyzwolone przez Amerykanów i Sowietów w 1945 r., mam mocne ciśnienie, by przypomnieć właśnie ową historię Marleny Dietrich, z finalnym udziałem polskiego przeboju. Rzekome »ofiary nazistów« żywiołowo dawały bowiem do zrozumienia Marlenie Dietrich na jej koncertach w Niemczech po wojnie, co myślą o jej wspieraniu głosem i talentem Amerykanów w czasie wojny – obrzucając aktorkę zgniłymi jajami. Do licha, dlaczego wielka aktorka musiała owe »ofiary« prosić o wybaczenie (które niechętnie, ale zostało jej w końcu przyznane po nagraniu piosenki Niemena)? Ciekawe, czy gdyby nie spotkała w Warszawie Niemena i nie usłyszała jego piosenki, udałoby się jej przezwyciężyć nienawiść Niemców do »zdrajczyń«?".

To „przezwyciężenie" było bolesne. Jeszcze po śmierci artystki w 1992 r. nie brakowało dowodów na to, że wielu jej rodaków za swoje przyjęło, widać, słowa Hitlera, który nazwał ją „hieną". W przeciwnym razie na grobie Marleny Dietrich w Berlinie nie pojawiłby się wymowny napis: „Tu leży dziwka w futrze". Dopiero w jej 100. rocznicę urodzin, w roku 2002, burmistrz Berlina zdobył się wreszcie na słowa przeprosin, przyznając, że za życia nie została przez Niemców doceniona. Można powiedzieć, że lepiej późno niż wcale.

Propaganda III Rzeszy zrobiła jednak swoje, obsadzając Marie Magdalene [tak naprawdę miała na imię – przyp. K.M.] w roli „czarnego luda". Po tym, jak zrzekła się obywatelstwa niemieckiego i przyjęła amerykańskie, stała się uosobieniem narodowego zaprzaństwa, choć znacznie wcześniej bardzo negatywnie odnosiła się do nazistowskich rządów. Artystka poszła zresztą na całość. Wstąpiła do amerykańskiego wojska, skąd wyszła w stopniu kapitana, wystąpiła w filmie „Za wami chłopcy", dedykowanym żołnierzom US Army, jeździła po alianckich bazach w Europie, niezmiennie wzruszając słuchaczy wykonaniem sławnej „Lili Marleen". Francuski rząd uhonorował ją potem komandorią Legii Honorowej.

Jeśli wierzyć koledze Niemena z Niebiesko-Czarnych, zmarłemu niedawno Wojciechowi Kordzie, Niemen otrzymał za „Czy mnie jeszcze pamiętasz" 400 dol. Nie ma się z czego śmiać, to wtedy były w Polsce duże pieniądze. A do tego dochodził przecież honor, że tak wielka gwiazda, pamiętna z filmów „Błękitny anioł" czy „Maroko", absolutnej klasyki kina, nagrała piosenkę autorstwa nikomu wtedy nieznanego polskiego artysty.

Z niemałym wzruszeniem sięgnąłem teraz po płytę z nagraniem „Mutter, hast du mir vergeben?". W tej kupionej od Niemena piosence Marlena Dietrich śpiewała:

Heimat, hast du mir vergeben?
Heimat, denkst du noch daran?
Heimat, hast du mir vergeben,
was ich dir angetan? ©℗

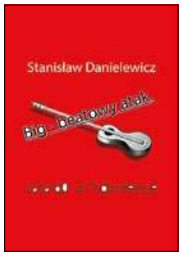

★★★★☆

STANISŁAW DANIELEWICZ „BIG-BEATOWY ATAK. LATA 60. W TRÓJMIEŚCIE"
PKB GROT, BYDGOSZCZ 2023

eprasa.pl e333bdb72c

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pan pisarz

Lepszy ode mnie – mówił kiedyś Stephen King o Danie Simmonsie – tylko brakuje mu pewności siebie". Święta prawda, widać to zwłaszcza po latach, kiedy odkrywamy, że King stał się mistrzem w kopiowaniu samego siebie, a Dan Simmons próbuje zaskakiwać każdą książką. Nie zawsze mu się udaje, ale zazwyczaj – tak. Niezależnie od tego, czy zaproponuje space operę (cykl „Hyperion"), opowieść o indiańskich duchach („Czarne Góry"), parodię opowieści o Sherlocku Holmesie („Piąty kier") czy horror o lodowym piekle („Terror"), zawsze próbuje zaskoczyć i zawsze robi to po swojemu.

„Modlitwy do rozbitych kamieni" to obszerny tom, w którym zmieściły się trzy zbiorki opowiadań Simmonsa, wydawane oryginalnie w latach 1990–2003. Poligon doświadczalny pisarza, raz coś wypali, raz nie, ale znaleźć tu możemy teksty, które zostają w pamięci na długo. Niesamowita jest nowela „Wielki kochanek", która zamyka tom: rzecz o poecie, śmierci i pierwszej wojnie światowej. Mądra jest „Śmierć centaura", jedno z najwcześniejszych opowiadań Simmonsa. Znane z „Nowej Fantastyki" opowiadanie „Pod prąd Styksu" dostajemy w nowym przekładzie i pod zmienionym tytułem. Wszystkiego nie wyliczę. Bo jakże tu zmieścić po dwa słowa o kilkudziesięciu opowiadaniach?

Jednocześnie zaznaczyć należy dwie rzeczy. Nie jest to idealne wprowadzenie do światów Simmonsa – jeśli ktoś nie znał dotąd jego twórczości, to powinien na początek zanurkować w którąś z jego najlepszych powieści („Pieśń bogini Kali", „Hyperion", „Letnia noc"). Wybór jest szeroki, lektura zajmująca. Zbiór jego krótkich form zadowoli przede wszystkim tych, którzy już jego pisarstwo polubili. Druga rzecz – widać wyraźnie, że Simmons jest urodzonym epikiem, że dusi się nieco, gdy przychodzi mu zamknąć całą historię w opowiadaniu.

Pierwsze 13 tekstów opatrzono autorskimi wstępami, których zawartość mnóstwo mówi o tym, jak Simmons postrzega literaturę i proces pisania – zgadzam się z większością jego obserwacji. A jego pisanie nieustannie mnie ciekawi, może dlatego, że nie jest to twórca, który wszedł do świata fantastyki z bagażem typowego fana, lecz z solidną edukacją literacką. Dla konstrukcji jego światów spuścizna Homera, Szekspira, Keatsa czy Chaucera ważniejsza jest od spuścizny Wellsa czy Asimova. Wielu mogłoby się od niego uczyć. ©℗

★★★★☆☆

DAN SIMMONS „MODLITWY DO ROZBITYCH KAMIENI"
MAG 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Świetnie napisana historia Ukrainy, w której znany lwowski historyk wykazuje dodatkowo większe zrozumienie fenomenu I Rzeczypospolitej od niejednego polskiego ojkofoba z tytułem naukowym.

JAROSŁAW HRYCAK „UKRAINA" MIĘDZYNARODOWE CENTRUM KULTURY

W drugim tomie „Historii i kultury krajów Trójmorza" autor prowadzi nas od wybuchu drugiej wojny światowej, przez komunizm, do współczesności. Pytanie tylko, czy wynik ostatnich wyborów nie pogrzebał tej inicjatywy.

WOJCIECH ROSZKOWSKI „ORZEŁ, LEW I KRZYŻ", TOM 2 BIAŁY KRUK

Od tego się zaczęło: klasyczna pozycja otwierająca erę kryminału noir (wersję kinową nakręcił John Huston z Bogartem w roli głównej), teraz w nowym przekładzie Tomasza S. Gałązki.

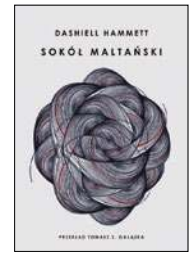

DASHIEL HAMMETT „SOKÓŁ MALTAŃSKI" ARTRAGE

Tolkienolog Brian Sibley skompilował z materiałów pozostawionych przez Tolkiena dzieje Drugiej Ery Śródziemia. Wspaniałe ilustracje, historia zajmująca, a efekt dużo lepszy od serialu „Pierścienie Władzy". ©℗

recenzuje Piotr Gociek

J.R.R. TOLKIEN „UPADEK NUMENORU" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „1629"

Gratka dla miłośników komiksu historycznego (zwłaszcza marynistycznego). Inspirowana prawdziwą historią opowieść o statku kupieckiej Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej i jego fatalnym rejsie. Tom otwiera większą całość, więc najgorsze dopiero przed nami (i załogą „Dżakarty"), ale już widać, że jest to opowieść imponująca detalem i naładowana emocjami. ©℗ ***Piotr Gociek***

XAVIER DORISON, THIMOTHEE MONTAIGNE „1629" EGMONT 2023

eprasa.pl e333bdb72c

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Nowosielski w kontekście

Na początku ubiegłego roku minęło 100 lat od narodzin Jerzego Nowosielskiego. Ostatnią bodaj wystawą zorganizowaną z tej okazji jest „Sztuka widzenia. Nowosielski i inni".

„Sztuka Jerzego Nowosielskiego stanowi jedyną w swoim rodzaju syntezę fascynacji sztuką bizantyjską, w szczególności ikonopisarstwem, z duchem awangardy. Artysta [...] wypracował swój indywidualny styl, formalnie czerpiąc z surrealizmu i abstrakcjonizmu, na poziomie znaczeń zaś odwołując się przede wszystkim do uniwersalnej ludzkiej tęsknoty za metafizyką" – piszą kuratorzy.

Ekspozycja podzielona na cztery kręgi narracyjne – surrealizm, cielesność, eschatologia oraz abstrakcja – osadza twórczość Nowosielskiego w kontekście sztuki polskiej drugiej połowy XX w., prezentując rysunki, cytaty wypowiedzi i zachowane materiały filmowe dotyczące Nowosielskiego z pracami takich twórców jak m.in. Wojciech Fangor, Stefan Gierowski, Władysław Hasior, Maria Jarema, Jadwiga Sawicka, Teresa Pągowska. ©℗

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

GDZIE? *Zamek Królewski w Warszawie*
KIEDY? *do 3 marca*

FOT. MUZEUM ŚLĄSKIE W KATOWICACH

PARYŻ CHOPINA

Kiedy w roku 1849 umierał Fryderyk Chopin, fotografia dopiero zdobywała popularność, nie zachowało się zatem zbyt wiele widoków stolicy Francji takiej, jaką była, gdy jej chodnikami chadzał polski kompozytor. Wystawa „Fotoplastykon – Paryż Chopina" prezentuje zdjęcia XIX-wiecznego Paryża wykonane przez Édouarda Denisa Baldusa i Alberta Mansuya. Robi to za pomocą fotografii stereoskopowych. Fotoplastykony szczyt swojej popularności przeżywały na początku XX w., przegrały w zderzeniu z kinematografem. ©℗

GDZIE? *Muzeum Śląskie w Katowicach*
KIEDY? *do 3 marca*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Samotność rockmana

W ubiegłym roku minęło 10 lat od śmierci Marka Jackowskiego, założyciela grupy Maanam. Był postacią wyjątkową na naszej scenie rockowej, ale nawet jego fani zapewne nie znali wielu szczegółów z jego życia, które teraz ujawnia Anna Kamińska.

Autorka specjalizuje się w biografiach, których ma już w dorobku pięć (m.in. Wandy Rutkiewicz i Marka Kotańskiego). Kamińska ma nie tylko świetny warsztat, lecz także duszę dziennikarza śledczego i wrodzoną pracowitość. Dzięki temu przewertowała przedwojenne i komunistyczne archiwa oraz rozmawiała z blisko 50 osobami. Jako pierwsza opisała dzieje rodziny Jackowskich, Warmiaków, na których losy mieli wpływ zarówno naziści, jak i komuniści.

Obraz Marka Jackowskiego opisany przez Kamińską jest wielowymiarowy. Autorka, nie stroniąc od trudnych tematów (długoletnia choroba alkoholowa, trudne relacje z kobietami), przedstawia historię artysty samotnika, który współpracował z Grechutą, założył Osjan i stał się centralną postacią bumu rockowego lat 80. Biografia wypełniona wielkimi wzlotami i upadkami doskonale nadaje się na film.

Niestety, autorka nie za bardzo orientuje się w samej muzyce rockowej. Stąd mylnie plasuje Maanam wśród wykonawców punkowo-nowofalowych i nie poświęca większej uwagi twórczości muzycznej bohatera. ©℗

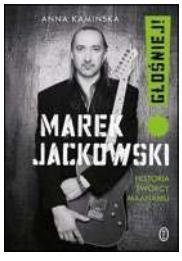

★★★★★☆

ANNA KAMIŃSKA „MAREK JACKOWSKI – GŁOŚNIEJ!" WYDAWNICTWO LITERACKIE

★★★★★☆

AMBROSE AKINMUSIRE „OWL SONG" NONESUCH

Amerykański trębacz wraz z gitarzystą Billem Frisellem i perkusistą Herlinem Rileyem nagrał senny, wielce urokliwy album. Czysto brzmiąca trąbka idealnie współgra z folkową gitarą, a ręczna perkusja doskonale buduje przestrzeń. Uroczysta intymność.

★★★★★☆

THERION „LEVIATHAN III" NAPALM RECORDS

Finałowy akt trylogii szwedzkich pionierów symfonicznego metalu. Na części pierwszej grupa powróciła do death i doom metalu. Na drugiej wykorzystała operowe chóry i progresywne brzmienia. Trójka jest najbardziej muzycznie różnorodna i wagnerowsko wzniosła. Dla koneserów.

eprasa.pl e333bdb72c

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Kapitan Kloss, czyli Mikulski

Serial „Stawka większa niż życie" zrobił furorę w PRL. Po ćwierćwieczu solidnego ogłupiania społeczeństwa, praktycznie pozbawionego solidnych elit własnych, do głosu pod koniec lat 60. ubiegłego wieku łatwo dochodziła socjalistyczna „sztuka" będąca narzędziem skutecznej propagandy.

Lenin już w 1922 r. zauważył, że „ze wszystkich sztuk najważniejszy jest dla nas film". Wypowiedział te słowa do komisarza sowieckiej oświaty Anatolija Łunaczarskiego w 1922 r. A był to w strukturach komunistycznej władzy nie byle kto. Sam Lejb Dawidowicz Trocki uważał, że Łunaczarski jest „bolszewikiem wśród intelektualistów i inteligentem wśród bolszewików". Film był doskonałym narzędziem propagandy dla ciemnych mas.

Towarzysz Stanisław Mikulski (prawie 40 lat w PZPR, w tym na lukratywnych stanowiskach) nadawał się do roli sowieckiego agenta wywiadu jak mało kto. Pełniący w „Stawce…" obowiązki polskiego patrioty miał bowiem odpowiednią przeszłość, nienaganną i bez zarzutu z punktu widzenia komunistycznych propagandystów. Nie była to zatem jakaś tam rola w teatrze/filmie, którą mógł odegrać prawie każdy. Miał w sobie doświadczenie i zaangażowanie, które gwarantowały, że nie ześlizgnie się z czasem na „wrogie pozycje" i przyniesie wstyd ludowej ojczyźnie.

Mikulski urodził się 1 maja 1929 r. w Łodzi, w rodzinie tkaczy na Bałutach. Po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. drogi kariery dla wydwiżeńców („awansu społecznego") były szeroko otwarte, ponieważ ktoś musiał zastąpić polskie elity. Tak też było z przyszłym aktorem. Jego ojciec Jan wiosną 1945 r. został szefem wyszkolenia w Kompanii Operacyjnej Komendy Wojewódzkiej MO w Łodzi. Stanisław został młodocianym (16-letnim) funkcjonariuszem – milicjantem, przy ojcu było mu łatwiej. Kompania Operacyjna była wówczas przeznaczona do działań operacyjnych, ale nie przeciwko marginesowi społecznemu – bandytom i złodziejom, bo przecież ówczesny wróg klasowy był najważniejszy.

Kompania była rzucana do walki wszędzie tam, gdzie istniało jakiekolwiek zagrożenie dla władzy komunistycznej. Operowała zatem na terenie województw: łódzkiego, warszawskiego, a nawet białostockiego. O tym znaczącym, dwuletnim epizodzie późniejszy kpt. Kloss wymownie milczał, bo faktycznie nie było się czym chwalić. Nie można go tłumaczyć, że był młody i nie wiedział, co robi. Cała jego późniejsza kariera brała się stamtąd. Był funkiem komunistycznym, w ORMO był dowódcą kompanii.

Jego zamiłowanie do komuny nie przeminęło po 1989 r. Odwiedzał Jaruzelskiego, składając mu poddańcze hołdy. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Trzy debiuty Bodo

Przyszły gwiazdor dorastał w artystycznej atmosferze. Od najmłodszych lat regularnie oglądał filmy, dużo czasu spędzał też za kulisami teatralnymi. Niebawem, mając 10 lat, stanął po raz pierwszy na scenie kabaretu ojca (Urania w Łodzi) i wystąpił w roli kowboja, wzbudzając aplauz widowni.

Chłopca zafascynowała scena, jednak rodzice niechętnie patrzyli na jego zainteresowania. Chcieli „zrobić z niego użytecznego członka społeczeństwa", co oznaczało, że miał zdobyć poważny zawód. Niestety, młody Bogdan nie mieścił się w ramach standardowej edukacji: w szkole handlowej nie sprostał matematyce, nie miał pamięci do formułek prawnych, nie nadawał się również na lekarza, bo mdlał na widok krwi. A gdy zdesperowani rodzice uznali, że powinien spróbować swoich sił w kolejnictwie, miał już serdecznie dość tych edukacyjnych eksperymentów. Spakował się i bez zbędnych pożegnań wyjechał do Poznania.

W Poznaniu trafił do teatru Apollo, w którym dostał posadę biletera. Niedługo później, bo 11 stycznia 1917 r., zadebiutował na scenie, choć prawdopodobnie tylko w charakterze statysty. Następnie wrócił do Łodzi, gdzie już jako aktor znalazł się w zespole jednego z tamtejszych teatrów, później występował również w Lublinie.

Po powrocie do Łodzi nie odnowił kontaktów z rodziną, w pełni ciesząc się dopiero co zdobytą niezależnością. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że prawdziwą karierę może zrobić tylko w Warszawie, bo tam były największe pieniądze i możliwości. Trafił tam do teatrzyku letniego w Dolinie Szwajcarskiej. Występował tam w repertuarze, który trudno uznać za wyrafinowany, skoro śpiewał taką piosenkę:

Ja jestem strażak,
Jakich tu mało,
Sikawkę pierwszorzędną mam…

Dostrzegł go jednak autor tekstów Artur Tur i uznał, że jest coś intrygującego w młodym debiutancie. Poszukiwał właśnie śpiewającego aktora na scenę kabaretu Sfinks, toteż niezwłocznie zaproponował mu angaż. Przygotował też dla niego recytację pt. „Zmysłowe akordy", która mogła stać się dla początkującego aktora przepustką do estradowej kariery. Kandydat na gwiazdora zadecydował jednak inaczej. Utwór przyjął, ale nie zapłacił za niego, a w zamian pojechał z nim do Łodzi, by tam szlifować swój artystyczny wizerunek.

Dzięki temu już wkrótce był przygotowany do powrotu na sceny stołeczne. Wtedy też przyjął pseudonim artystyczny Eugeniusz Bodo, pod którym miał przejść do historii. A Tur się na niego wcale nie obraził, gdyż młody aktor był niezrównanym kompanem i „przebywanie w jego towarzystwie było prawdziwą rozkoszą"… ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

Paweł Chmielewski

Ogromne wyzwania dla Kościoła w Polsce

Kościół katolicki w Polsce staje w 2024 r. przed niezwykle poważnymi wyzwaniami. Musi odeprzeć światopoglądową lewicową nawałę polskiego rządu, obronić swoją niezależność finansową, przemyśleć system katechezy szkolnej i odnaleźć się w coraz trudniejszej sytuacji panującej w światowym katolicyzmie, którą wywołują nowe, radykalne decyzje papieża Franciszka. Wszystkie te problemy spadną na barki nowych władz Konferencji Episkopatu

Rządy Donalda Tuska postawiły przed Konferencją Episkopatu Polski konkretne trudności, począwszy od tych najważniejszych: dotyczących katolickich podstaw funkcjonowania polskiego społeczeństwa. Niestety, w pierwszym starciu biskupi ponieśli sromotną klęskę, a nawet jeszcze gorzej – w ogóle nie podnieśli rękawicy.

Nowa większość parlamentarna już wczesną jesienią zapowiedziała przygotowanie ustawy o finansowaniu z budżetu państwa procedury in vitro. Kiedy takie plany prezentowano w roku 2015, biskupi byli bardzo aktywni, zabierając publicznie głos i wydając różnorodne oświadczenia. Tym razem przed sejmowym głosowaniem nie zająknęli się na ten temat ani słowem. 29 listopada ustawa przeszła, uzyskując poparcie nie tylko KO, Lewicy i Trzeciej Drogi/PSL, lecz także części polityków PiS. Niektórzy z nich byli całkowicie przekonani, że metoda in vitro jest dopuszczana przez Kościół. Tak naprawdę jest dokładnie odwrotnie: politycy, którzy ją popierają, nie powinni nawet przystępować do Komunii Świętej, co ogłosiła jeszcze w 2015 r. Rada Prawna Episkopatu, idąc tu wiernie za nauczaniem Stolicy Apostolskiej. Nie-

eprasa.pl e333bdb72c

FOT. ADOBE STOCK

świadomość jednak nie dziwi, bo teraz nikt im o tym nie przypomniał. Dopiero po przejściu ustawy przez parlament obudził się abp Stanisław Gądecki i wystosował krótki apel do prezydenta Andrzeja Dudy o niepodpisywanie ustawy. Duda zlekceważył ten odosobniony oraz spóźniony głos i propozycję większości sejmowej zaakceptował. Biskupi ponarzekali, skrytykowali – i tyle. W efekcie wszyscy Polacy będą się teraz składać na selekcję ludzkich zarodków oraz mrożenie tych niechcianych w ciekłym azocie.

Mam nadzieję, że bardziej aktywną postawę Konferencja Episkopatu wykaże w sprawie związków partnerskich, które chce zalegalizować nowa koalicja. „Ministra równości" Katarzyna Kotula zapowiada prezentację projektu ustawy wiosną tego roku. Oporu wewnątrz koalicji rządowej chyba nie będzie, bo PSL zadeklarowało, że nie ma zastrzeżeń wobec tych planów. Tymczasem zgodnie z systematycznym nauczaniem Kościoła na ten temat, rozwijanym już od 1975 r., legalizacja związków partnerskich – a zatem również związków jednopłciowych – jest głęboko niewłaściwa. Nie tylko dlatego, że chodzi o ułatwienie budowania grzesznych relacji intymnych, lecz także ze względu na wpływ takiej instytucji na całokształt życia państwowego. Legalizacja związków partnerskich wprowadza de facto nową definicję rodziny, co przełoży się też na edukację szkolną. Wszystkie polskie dzieci będą niejako obligatoryjnie dowiadywać się, jakoby wspólnota quasi-małżeńska dwóch panów czy dwóch pań była czymś normalnym. To w oczywisty sposób deprawuje myślenie całego społeczeństwa.

Niestety, w dzisiejszym myśleniu kierownictwa Stolicy Apostolskiej zdaje się dominować myślenie, jakoby związki partnerskie były w pełni dopuszczalne, jeśli tylko nie nazywa się ich małżeństwem. Jeszcze do niedawna Watykan zdecydowanie odrzucał takie uproszczenie: przed związkami przestrzegali zarówno Jan Paweł II, jak i Benedykt XVI. Kościół, krytykując propozycje rządu Tuska, będzie musiał sięgać do tego nieco już starszego, ale sprawdzonego i logicznie uporządkowanego nauczania.

250 MLN ZŁ ROCZNIE

W tym momencie duża część Kościoła hierarchicznego skupia jednak swoją uwagę na innym problemie: finansach. Rządowa koalicja myśli o likwidacji Funduszu Kościelnego. Chodzi o w sumie ok. 250 mln zł rocznie będących de facto odszkodowaniem za mienie zagrabione Kościołowi po 1945 r. Biskupi są gotowi do rezygnacji z Funduszu, ale oczekują jakichś alternatyw. Trwają obecnie zaawansowane rozmowy na ten temat.

Niestety, istnieje ogromne prawdopodobieństwo popełnienia poważnego błędu. W Polsce lansowany jest szczególnie tzw. włoski system państwowego finansowania Kościoła. Polega na dobrowolnym odpisie podatkowym na rzecz Kościoła (we Włoszech to „otto per mille", czyli 0,8 proc.). Biskupom taki model się podoba, bo zapewnia stabilność: we Włoszech to ponad 1 mld euro rocznie. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że ten system uzależnia Kościół od dobrej woli władz państwowych. Krótkofalowo daje zyski, ale długoterminowo pozwala na prosty szantaż: jeżeli biskupi nie będą posłuszni państwu, to państwo może system łatwo zmienić w ten sposób, że dochody gwałtownie spadną.

Bardzo wiele krytyki w Polsce kieruje się przeciwko niemieckiemu modelowi finansowania Kościoła. W Niemczech obowiązuje słynny Kirchensteuer; w powszechnej opinii sprawia on, że biskupi pozwalają się traktować do pewnego stopnia jak funkcjonariusze państwowi. Problem w tym, że Kirchensteuer… polega w swojej istocie na tym samym, co model włoski. Państwo niemieckie nie daje Kościołowi żadnych pieniędzy: to Kościół na podstawie umowy „wynajmuje" państwowe organy podatkowe do zebrania dla siebie pieniędzy od katolików. Włoski model odpisu podatkowego jest tym samym: Kościół „wykorzystuje" państwowe organy do zdobywania pieniędzy. Ani w Niemczech, ani we Włoszech bez państwa by to nie funkcjonowało. Różnica polega tylko na wysokości kwot.

Jeżeli w Polsce zostanie przyjęty włoski model, to będzie to oznaczać w dłuższej perspektywie niepotrzebne samoograniczenie Kościoła, co – biorąc pod uwagę modelową ideologię polityczną Unii Europejskiej – wywoła bez cienia wątpliwości złe konsekwencje. O wiele zdrowszy jest model francuski albo amerykański – to znaczy uzależnienie finansów Kościoła wyłącznie od wiernych. Prywatne datki, darowizny, taca: zapewnia to mniej stabilne środki, ale daje większą niezależność. Jeżeli hierarchowie w Polsce zdecydują się myśleć długofalowo i będą chcieli bronić swobody Kościoła i jego zdolność do realnego samostanowienia, to postawią na wiernych, nie na państwowy aparat podatkowy.

RELIGIA W SZKOŁACH

Kolejnym problemem jest obecność katechezy w szkołach. Panują w tej kwestii dwa do pewnego stopnia błędne przekonania. Po pierwsze, uważa się, że artykuł 12. konkordatu gwarantuje nauczanie religii w szkole. Rzeczywiście, czytamy tam, że szkoły publiczne „organizują zgodnie z wolą zainteresowanych naukę religii w ramach planu zajęć szkolnych".

eprasa.pl e333bdb72c

„Nauka religii" niekoniecznie musi być jednak tożsama z katechezą. Katecheza w sensie ścisłym to religijna formacja zakładająca wiarę katechizowanego. Naukę religii można interpretować jako naukę zasad religii. Tak jest zresztą w wielu krajach Unii Europejskiej, gdzie w szkołach dzieci są „informowane" o religii, ale niekoniecznie „katechizowane". Nawet jeżeli możemy zakładać, że sygnatariusze konkordatu mieli na myśli ten stan rzeczy, który rzeczywiście w Polsce obowiązuje, to z powoływaniem się na jakoby żelazne gwarancje konkordatowe dla obecnego modelu religii w szkole należy uważać.

Po drugie, część biskupów zdaje się sądzić, że nauczanie religii w szkole jest owocne. Statystyki pokazują jednak, że rodzice chętnie wypisują dzieci z tych lekcji, a młodzież ucieka z nich sama, do tego stopnia, że w wielu szkołach dużych miast na religię chodzi zdecydowana mniejszość uczniów. To „głosowanie nogami" trzeba potraktować poważnie. Osoby, które przeszły cały kurs lekcji religii w szkole, są mało zaangażowane religijnie i skłonne do praktycznego ateizmu. To pokazuje, że szkolna katecheza odnosi bardzo mizerny skutek. Niewątpliwie pozwala części uczniów na zachowanie jakiegoś kontaktu z Kościołem, którego bez niej mogliby być pozbawieni.

Przez ponad 30 lat religia w szkole przyniosła jednak zarazem bardzo poważną stratę: w Polsce bardzo słabo rozwinęła się prywatna edukacja katolicka. Po co budować katolickie szkoły, skoro publiczna placówka nosi imię św. Jana Pawła II, a uczniowie chodzą na katechezę?

Nie chcę przesądzać, ale wiele wskazuje na to, że ewentualne wycofanie katechezy ze szkół mogłoby stać się katalizatorem rozwoju prywatnej edukacji katolickiej. Już dziś w wielu miastach Polski powstają mikroszkoły, funkcjonujące często w oparciu o edukację domową, które oferują uczniom naukę większości albo wszystkich przedmiotów i silną tożsamość religijną. Biorąc pod uwagę postępującą laicyzację polskich elit politycznych, uważam, że rozwój prywatnej edukacji katolickiej powinien być dla wszystkich zaangażowanych katolików, z duchowieństwem na czele, absolutnym priorytetem. Utrzymanie katechezy szkolnej będzie ten rozwój utrudniać, tak jak utrudniało przez ostatnie ponad 30 lat.

Możemy wiele zyskać, budując niezależne finansowo kościelne struktury

Na tym nie koniec wyzwań, przed którymi stają właśnie polscy biskupi. Coraz bardziej napięta sytuacja panuje w samym Kościele katolickim, a to za sprawą papieża Franciszka i jego najbliższego otoczenia. Niezwykle problematyczna i naprawdę utrudniająca biskupom życie jest zwłaszcza postać kard. Victora Manuela Fernándeza, od września 2023 r. prefekta najważniejszego urzędu doktrynalnego Kościoła, Dykasterii Nauki Wiary. Czytelnicy „Do Rzeczy" pamiętają, że 18 grudnia 2023 r. tenże kardynał ogłosił niesławną deklarację doktrynalną „Fiducia supplicans" o błogosławieniu par homoseksualnych i tzw. par nieregularnych. Wywołał tym dokumentem kryzys, którego nie było jeszcze nigdy w całej dwutysiącletniej historii Kościoła. To pierwszy przypadek w dziejach, kiedy bardzo liczna grupa episkopatów po prostu odmówiła stosowania watykańskiego dokumentu. Zrobili to również biskupi europejscy, m.in. Węgrzy i Ukraińcy, a także 10 biskupów z francuskiej prowincji kościelnej Rennes. Polscy biskupi zdobyli się tylko na komunikat rzecznika, w którym odrzucono możliwość błogosławienia par jednopłciowych. Rzecznik błędnie stwierdził jednak, jakoby takiej możliwości „Fiducia supplicans" nie wprowadzała. Jest odwrotnie i kard. Fernández otwarcie to przyznaje. Co więcej, w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym" od tego oświadczenia odciął się prymas Polski abp Wojciech Polak. Komunikat reprezentował najprawdopodobniej tylko część Episkopatu, z abp. Stanisławem Gądeckim na czele.

Problem w tym, że w tym roku metropolita Poznania przechodzi na emeryturę i Polska doczeka się nowego szefa Episkopatu. Ten będzie miał za zadanie podjąć próbę wypracowania jakiejś wspólnej linii polskich biskupów nie tylko wobec rządu Tuska, lecz także wobec Franciszka i Fernándeza. Nie będzie to łatwe, bo nie tylko prymas Polski nie zgadza się z „konserwatywną" linią abp. Gądeckiego czy metropolity Krakowa abp. Marka Jędraszewskiego. Tymczasem problemów będzie coraz więcej, a błogosławienie związków homoseksualnych to tylko wierzchołek góry lodowej. Przykład: w październiku 2023 r. ten sam Fernández wezwał wszystkie episkopaty na świecie do wydania wytycznych, które umożliwią udzielanie Komunii Świętej rozwodnikom w powtórnych związkach, nawet jeżeli żyją oni niewstrzemięźliwie. Tymczasem polski Episkopat w 2018 r. wydał wytyczne, które tego zakazują… Na dłuższą metę to sytuacja nie do utrzymania i któraś ze stron będzie musiała ustąpić.

O podziały będzie łatwo, a stawka jest wielka. Jesienią tego roku zakończy się globalny proces synodalny, a jednym z jego owoców ma być ustanowienie ogólnoeuropejskiego ciała kościelnego, pod przemożnym wpływem liberalnych biskupów z zachodniej Europy. Jeżeli kierownictwo Episkopatu Polski nie będzie się tym planom aktywnie sprzeciwiać albo jeżeli nie wymusi takiej struktury tego ciała, która zapewni Kościołowi w naszym kraju pełną swobodę działania, to będziemy poddani bardzo silnym zewnętrznym wpływom.

We wszystkich tych wyzwaniach można kierować się dwiema pryncypialnymi wartościami: niezależnością i wiernością wobec nauczania Kościoła. Postawa części biskupów amerykańskich czy francuskich pokazuje, że nawet w nieprzychylnej rzeczywistości politycznej i państwowej można zachować tożsamość, ważąc się na – kiedy trzeba – ostrą krytykę władz państwowych oraz mocną postawę wobec przekraczających właściwe granice nacisków z Watykanu. Potrzebne są jednak determinacja i świadomość, że z górą 30-letnia epoka względnego spokoju minęła bezpowrotnie. Teraz – właśnie teraz – wykuwa się kształt polskiego katolicyzmu na kolejnych kilka dziesięcioleci. Możemy łatwo wszystko przegrać, uzależniając się od państwa oraz poddając unijnemu mainstreamowi kościelnemu; możemy wiele zyskać, budując niezależne finansowo kościelne struktury, świadome polskiej historii, kultury i wyjątkowego przywiązania do niezmienności fundamentalnych elementów nauki Kościoła. Trzeba tę bitwę poprowadzić roztropnie i zarazem bardzo odważnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl e333bdb72c

Dystrybucja autorytetu

Jerzy Karwelis

W czasie pandemii to rektorzy medycznych uniwersytetów naciskali, by obowiązkowo szczepić personel medyczny. Tylko żaden z nich dziś nie potrafi podać, na jakich naukowych podstawach oparli swoją uchwałę

Jak mówił kiedyś nowo odgrzany poseł zwycięskiej opozycji – „ryba psuje się od góry". To prawda, choć to powiedzenie nie tak brzmi, co nie może dziwić w przypadku osoby utrzymującej istnienie święta „Sześciu Króli". Jednak jest w tym, jak w każdym lapsusie, ziarnko prawdy. Dziś z czasów covidowych wypadają różne rzeczy z pandemicznej szafy, które pokazują nam, co się podskórnie działo, jak podejmowane były ważne decyzje i – co najważniejsze – że system wtedy tak działający w nienaruszony sposób doczekał czasów obecnej „nowej normalności".

PIRAMIDALNE AUTORYTETY?

Mieliśmy za COVID-19 do czynienia z piramidą dystrybucji autorytetu. Nauka, niemogąca dowieść swych tez pandemicznych, podpierała się pokracznymi konstrukcjami wsparcia autorytetem znanych osób czy instytucji.

Szło się na skróty – kto tam będzie spanikowanemu ludowi tłumaczył zawiłości, ten i tak nie słucha, nie zrozumie i trzeba dać sygnał od depozytariusza zawierzenia, by się reszta słuchała, bo przecież autorytet wie lepiej. Można pójść tą piramidą do góry, od lekarzy rodzinnych powtarzających telewizyjne bzdury, z małym przystankiem na jandowskich celebrytów, dziennikarzy propagandystów sanitaryzmu, w końcu lądując na szacownych profesorskich głowach. Trzeba jednak przyznać, że takie ciało, jak kolegium rektorów uczelni medycznych, to chyba wierzchołek tego rodzaju piramidy. W końcu to u nich pracują inni profesorowie, sami sobie wybierają własnych rektorów pracodawców, a więc nie może to być byle kto. I taki zbiór, jak Konferencja Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych (KRAUM), to jest top of the top. Członkami tej szacownej organizacji są rektorzy poszczególnych uniwersytetów medycznych: prof. Marcin Gruchała – przewodniczący, prof. Kornelia Kędziora-Kornatowska, prof. Andrzej Tykarski, prof. Adam Krętowski, prof. Tomasz Szczepański, prof. Tomasz Grodzicki, prof. Wojciech Załuska, prof. Radzisław Kordek, prof. Sergiusz Nawrocki, prof. Bogusław Machaliński, prof. Zbigniew Gaciąg, prof. Ryszard Gellert, prof. Piotr Ponikowski oraz inni z uczelni stowarzyszonych.

Można zatem uznać, że stamtąd biło źródło wiedzy covidowej, podkręcanej dodatkowo postawą takich ultrasów jak prof. Simon czy szef Rady przy premierze, pan prof. Horban.

Konferencja ma zajmować się głównie jakością kształcenia medyków, choć nie tylko, ale w COVID wyszła przed szereg i namaściła szczepionkowy sanitaryzm, choć wcale nie była to jej rola. Widocznie ktoś rektorów o to poprosił, chyba że sami chcieli się wykazać własną nadgorliwością w sprawie.

Jest 12 sierpnia 2021 r., COVID szaleje (głównie w mediach), szczepionki zaczynają wchodzić na pełnej petardzie, ale pozostaje kwestia ich obowiązkowości, czyli kto musi się zaszczepić. Mamy do czynienia z kazuistyczną grą w głupa, kiedy to Ministerstwo Zdrowia utrzymuje, że jest różnica między obowiązkiem szczepień a przymusem szczepiennym. Ten pierwszy to nakaz, którego niewykonanie podlega karze (np. w naszym przypadku niemożność podjęcia pracy), a przymus miałby polegać na tym, że siłą się zaszczepia wyznaczonych, z czego (ludzkie paniska) ministerstwo wielkodusznie zrezygnowało, choć taki przymus to złamanie kodeksu norymberskiego i nikt tu nikomu łaski nie robił.

I wtedy pojawiają się rektorzy, którzy pod przewodnictwem prof. Marcina Gruchały w ramach KRAUM podejmują uchwałę 20/2021 postulującą wprowadzenie obowiązku szczepień przeciwko COVID wśród wszystkich pracowników medycznych, studentów i doktorantów oraz pracowników ochrony zdrowia. Cel jest teoretycznie szczytny – żaden pracownik zdrowia nie może stwarzać niebezpieczeństwa dla pacjenta, a niezaszczepiony może go zakazić. Przewodniczący prof. Gruchała oraz pozostali rektorzy podejmują być może najważniejszą decyzję w życiu. Będzie dotyczyła kilkuset tysięcy osób. Może być istotna dla ich zdrowia i życia.

Decyzja nie dotyczy tylko służby zdrowia. Po jej podjęciu w kolejce ustawieni są nauczyciele i służby mundurowe z podobnymi obowiązkami. No bo jak lekarze robią sobie takie rzeczy, to pewnie oni tam lepiej wiedzą. Sankcje za niezaszczepienie są różnorodne, bo te są oddane w ręce szefów poszczególnych ludzi – ordynatorów, dyrektorów szkół czy dowódców. I spektrum jest duże – od wywalenia z pracy do przystopowania kariery z sekowaniem dokształcania się włącznie. Tak więc decyzja rektorów

eprasa.pl e333bdb72c

uczelni medycznych miała swoje szerokie konsekwencje.

ZWYKŁY OBYWATEL PYTA

Działania rektorów wyrażone w uchwale podlegają rygorom o informacji publicznej. Wspomniana uchwała jest z tego powodu opatrzona uzasadnieniem, co stanowi podstawę do zapytania – kto ją podjął i w oparciu o jakie przesłanki. I tu pojawia się Zatroskany Obywatel, występujący pod nazwiskiem Sławomir Sala. Ten, powołując się na prawo dostępu do informacji publicznej, wysyła wiele zapytań. Najpierw do każdego z członków KRAUM, który głosował za podjęciem tej uchwały, by dowiedzieć się, na jakiej naukowej podstawie oparte były uchwała oraz uzasadnienie, w którym pojawiły się twierdzenia, takie jak np.: „Wysoka skuteczność szczepień przeciwko zakażeniu SARS-CoV-2 nie budzi dziś najmniejszych wątpliwości, została potwierdzona w wieloośrodkowych randomizowanych badaniach klinicznych i obserwacyjnych na całym świecie", „poziom bezpieczeństwa tych szczepień nie różni się istotnie od dotychczasowych szczepień obowiązkowych, prowadzonych w Polsce od dziesięcioleci" czy że „są to jedne z najlepiej przebadanych szczepionek będących w obrocie".

Rektorzy wiją się, unikając odpowiedzi. Powołują się na to, że to jest według niektórych kwestia pytania o podstawy decyzji, a nie informacja publiczna, która dotyczy tylko faktów; pojawiają się też odesłania „do kolegi", jak uczynił prof. Zbigniew Gaciąg, rektor uczelni warszawskiej, czyli że Konferencja to ciało kolegialne (jak widać, anonimizujące), jest reprezentowane przez jego przewodniczącego, prof. Marcina Gruchałę, rektora Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, a więc z takimi rzeczami to do niego.

Rektorzy wrocławskiej uczelni medycznej, jak również poznańskiej całkowicie odmawiają odpowiedzi, twierdząc, że nie mają obowiązku odpowiadania na zadane pytania na podstawie ustawy o dostępie do informacji publicznej. Z formalnego punktu widzenia łamią ustawę. Na przykład rektor katowickiej uczelni nie zaprzecza, że głosował za uchwałą, ale odciął się od uzasadnienia i napisał: rektor ani uczelnia jako podmiot publiczny „nie umieszczali w uzasadnieniu" przywołanych w pytaniach stwierdzeń. Jednocześnie nie odpowiedział, na jakich podstawach merytorycznych oparł swoją decyzję głosowania za uchwałą.

Z kolei od Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego dowiadujemy się, że uniwersytet ani jego władze nie są w posiadaniu informacji o publikacjach będących źródłem zapisów zawartych w uzasadnieniu przedmiotowej uchwały KRAUM.

Każda odpowiedź jest tak kuriozalna, że zasługiwałaby na odrębne omówienie. A mogli Zatroskanemu Obywatelowi merytorycznie wyjaśnić podstawy podjętej decyzji. Nie wyjaśnili! Nie potrafili? Nie wiedzieli, choć podjęli uchwałę? A może takich merytorycznych podstaw nie było?

Tu odbywa się malownicza korespondencja pomiędzy Zatroskanym Obywatelem a przewodniczącym KRAUM. Rektor Gruchała najpierw zwodzi, zwleka, potem, indagowany, próbuje pozbyć się nachalnego obywatela merytoryką. I tu wpada. Przesyła w odpowiedzi kompletnie nieprzystawalną do pytań listę publikacji dotyczących COVID. Mało tego – pokazuje wykres, jako uzasadnienie podjętych decyzji, z tym że

eprasa.pl e333bdb72c

FOT. ADOBE STOCK

pokazany jako dowód wykres pochodzi z 21 września 2022 r., a decyzja podjęta podobno na jego podstawie zapadła… 12 sierpnia 2021 r., a więc według pana rektora podjęto ją na podstawie wiedzy, która została opublikowana rok później. Zresztą dotyczyła liczby publikacji, a nie zagadnień merytorycznych, o które pytał obywatel. Jest to skrajnie kompromitujące dla KRAUM i jego przewodniczącego prof. Gruchały. W ostatniej odpowiedzi rektor Gruchała napisał, że „nie posiada już dalszych informacji"!

Okazało się, że rektorzy posiadają maszynę pozwalającą przenosić się w czasie. Dlaczego więc jej nie użyli, skoro okazało się, że po ich uchwale – jak widać, polegającej na zawierzeniu autorytetom – szczepionka wcale nie ma postulowanych przymiotów, nie była dostatecznie przebadana, została wciśnięta kolanem poza procedurami, z oczywistymi negatywnymi następstwami co do jej skuteczności, a także bezpieczeństwa?

DWA PYTANIA

Skoro więc jesteśmy na topie wiedzy medycznej rektorów uniwersytetów medycznych, która nie może uzasadnić merytorycznie swych decyzji wielkiej wagi, to trzeba zadać dwa pytania: Jeśli nie oni są współodpowiedzialni za ten humbug, to kto? I drugie: Kto w takim razie decydował już nie o wiedzy, ale o narracji, że tak jest, skoro nauka dała tu tylko swój autorytet „na gębę"? No, skoro rekomendacje rektorów zamieniły się w czyn, to znaczy, że miało to jakieś znaczenie. Widać jednak, że odpowiedzialność nie tyle rozpłynęła się na wiele podmiotów, ile rozpłynęła się w stymulowanej niepamięci w ogóle. Nikt nie beknął za te harce, za miliony przeterminowanych szczepionek, najprawdopodobniej w ogóle niepotrzebnych, które lądowały w koszach, kiedy jednocześnie zamawiano następne partie.

Nikt nie odpowiedział za to, że nieprzebadany preparat podano milionom ludzi, i nikt nie odnosi się do tego, że już nawet sam producent „najlepiej przebadanej szczepionki świata" dodaje coraz to kolejne powikłania poszczepienne do swych ulotek. Tak jak nikt nie odpowiada za to, że po tym blamażu wpisuje się takie preparaty do kalendarza obowiązkowych szczepień przyklepanych nowym paszportem szczepiennym i dyktaturą sanitarną WHO.

No i pytanie trzecie: Kogo więc słuchali rektorzy, gwarantując autorytetem już nie własnej wiedzy, jak widać, ale stanowisk i uczelni, niesprawdzone naukowo tezy? Kto to mógł być? Moim zdaniem to mieszanka telewizyjnej propagandy (tak, tak – to są te naukowe argumenty), nacisków rządzących napalonych kompletnie na sanitaryzm i niedobroczynnej skłonności do wspierania sponsorów z Big Pharmy, którym każdy z rektorów i każda z ich uczelni może wiele zawdzięczać. Głównie zadecydowało o tym jednak kształtowanie powszechnie propagowanej narracji skali, że tylu ludzi, krajów, autorytetów i rządów nie może być w błędzie. Tak to jest – łajno to musi być rarytas, przecież miliony much nie mogą się mylić.

Ta historia pokazuje, jak bardzo zasadne stają się pytania o zaufanie do całego systemu opieki zdrowotnej, skoro na jego szczytach dzieją się takie rzeczy. Konieczna jest natychmiastowa, głęboka reforma tego systemu. Nie można również pozostawić kwestii osobistej odpowiedzialności ludzi, którzy sprzeniewierzyli się przysiędze Hipokratesa i elementarnej przyzwoitości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

Koledzy pana Epsteina

Prywatny odrzutowiec Jeffreya Epsteina (z prawej, obok stoi Ghislaine Maxwell) nazywano „żartobliwie" Lolita Express, co nie przeszkodziło Billowi Clintonowi (z lewej) przelecieć się nim co najmniej 26 razy, jak wynika z zachowanych, niepełnych zapewne list pasażerów

FOT. WILLIAM J. CLINTON PRESIDENTIAL LIBRARY

Dariusz Wieromiejczyk

Świat amerykańskiej polityki wydaje się ostatnio coraz mroczniejszy i mniejszy, targające nim intrygi zaś przypominać zaczynają komplikacje znane dotychczas głównie z latynoskich telenowel

Ciekawe informacje ujawnił przed tygodniem nowojorski sąd. Światło dzienne ujrzało ponad 900 stron dokumentów odnoszących się do procesu Ghislaine Maxwell. Przed dwoma laty została ona skazana na 20 lat więzienia za wiele przestępstw seksualnych, a także handel ludźmi. Pani Maxwell była wieloletnią przyjaciółką, współpracownicą i wspólniczką Jeffreya Epsteina. Ten wyjątkowo bogaty finansista stał na czele siatki pedofilskiej, wyszukującej nieletnie dziewczęta i zmuszającej je do kontaktów seksualnych z wpływowymi postaciami światowej polityki i biznesu. Samemu Epsteinowi udało się uniknąć procesu i kary. W roku 2019 miał on popełnić samobójstwo w amerykańskim więzieniu. Pomogła mu niespodziewana awaria zainstalowanych w więzieniu kamer oraz tajemniczy atak senności, któremu równocześnie ulec miało dwóch pilnujących Epsteina strażników.

W ujawnionych przez sąd dokumentach pojawiają się nazwiska polityków, celebrytów i biznesmenów. Część z nich wymieniona została w zeznaniach ofiar i świadków, inni w korespondencji osób zamieszanych w sprawę. Najbardziej znani to były amerykański prezydent Bill Clinton, członek brytyjskiej rodziny królewskiej – książę Andrzej, kilku amerykańskich polityków (głównie związanych z administracją Billa Clintona) i multimilionerów, a także Michael Jackson oraz słynny brytyjski fizyk – Stephen Hawking. Ten ostatni gościć miał na karaibskiej wyspie Epsteina, następnie zaś pojawić się w e-mailu, w którym przestępca upoważniał Ghislaine Maxwell do zapłacenia odpowiednim osobom za ukrycie uczestnictwa Hawkinga w orgiach. Przykuty do wózka uczony nie żyje od pięciu lat, jego spadkobiercy zaś nie skomentowali dotychczas sądowych rewelacji. Inną zamieszaną w skandal postacią, która może być znana polskim czytelnikom, jest słynny amerykański prawnik, wykładowca Harvardu prof. Alan Dershowitz. Pod koniec lat 80. ubiegłego wieku reprezentował on nowojorskiego rabina Aviego Weissa w sporze z kard. Józefem Glempem. Rabin poczuł się urażony słowami polskiego prymasa, wypowiedzianymi przy okazji sporu o oświęcimski klasztor Karmelitanek, i oskarżył kard. Glempa o zniesławienie.

LOLITA EXPRESS

Jedna z ofiar Epsteina zeznała przed sądem, że zmuszona została do stosunków seksualnych z prof. Dershowitzem. Później oświadczyła wprawdzie, że mogła pomylić go z kimś innym, jednak dwie pokojówki w karaibskiej rezydencji potwierdziły częste wizyty profesora Harvardu w rezydencji Epsteina i korzystanie przez niego z oferowanych tam „masaży". W udzielanych na gorąco wywiadach Alan Dershowitz nazwał oskarżenia przejawami antysemityzmu i dziełem ruchu feministycznego #MeToo. „Gdzie były te amerykańskie radykalne feministki, gdy dochodziło do gwałtów, przestępstw seksualnych i morderstw w wykonaniu Hamasu?" – pytał retorycznie prof. Dershowitz w niedawnym wywiadzie dla Fox News. „Chciałbym wiedzieć, ile z nich potępiło Hamas za

eprasa.pl e333bdb72c

gwałty i morderstwa? Ile wolało milczeć? Jak wiele osób, na podobieństwo National Lawyers Gild (amerykańskie zrzeszenie prawników), tak naprawdę aprobowało działania Hamasu?".

Związek okrutnych zbrodni popełnionych ostatnio przez Hamas z przestępstwami seksualnymi, dokonywanymi przed laty w otoczeniu amerykańskiego finansisty, nie wydaje się oczywisty.

Dziennikarze śledzący aferę Epsteina zwracają uwagę na wyjątkową liczbę „szczęśliwych trafów", które przez lata pozwalały przestępcy unikać konsekwencji swoich czynów. Nieprawdopodobny zbieg okoliczności, towarzyszących jego domniemanemu samobójstwu, wyglądać może na coś pośredniego pomiędzy cyrkową sztuczką a ledwie zawoalowaną kpiną z amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Nie był to jednak pierwszy z takich przypadków. Wiadomości o kolekcjonowaniu przez finansistę nastoletnich modelek i użyczaniu ich wysoko postawionym przyjaciołom krążyły dość swobodnie w kręgach amerykańskiej, i nie tylko, elity. Jego prywatny, wyposażony w wygodne podwójne łóżko, odrzutowiec nazywano „żartobliwie" Lolita Express, co nie przeszkodziło Billowi Clintonowi przelecieć się nim co najmniej 26 razy, jak wynika z zachowanych, niepełnych zapewne list pasażerów, do których udało się dotrzeć dziennikarzom.

Pierwsze problemy prawne, związane z zarzutami o wykorzystywanie nieletnich, spotkały Epsteina w roku 2005. Już wtedy zajmujący się sprawą policjanci skarżyli się na zaskakującą opieszałość i brak inicjatywy wykazywany przez biuro prokuratora stanowego hrabstwa Palm Beach na Florydzie. Jak ujawniło późniejsze dochodzenie, prokuratorzy zawarli z Epsteinem umowę gwarantującą mu immunitet od wszelkich dochodzeń federalnych, obejmujący także czworo wspólników oraz, co ciekawe, nieznaną liczbę niewymienionych z nazwiska „potencjalnych uczestników spisku". Umowa ta, zdaniem badających sprawę ekspertów, „faktycznie zamknęła toczone przez FBI śledztwo mające na celu odnalezienie większej liczby ofiar oraz innych wpływowych ludzi biorących udział w przestępstwach seksualnych Epsteina". Policji udało się wtedy przeszukać jedną z posiadłości Epsteina, znajdując ukryte kamery i zaawansowany technicznie sprzęt dokonujący dyskretnych nagrań. Epsteina broniły w tym czasie gwiazdy amerykańskiego sądownictwa, takie jak były prokurator generalny Kenneth Starr i znany nam już prof. Dershowitz. Aresztowany przez policję Epstein szybko wyszedł na wolność po opłaceniu 3 tys. dol. kaucji.

Dalsze postępowania sądowe także kończyły się dla Epsteina wyjątkowo szczęśliwie. W 2008 r. przyznał się on do nakłaniania do prostytucji osób poniżej 18. roku życia, za co skazano go na całe 18 miesięcy więzienia. Podczas gdy większość skazanych za podobne przestępstwa odsiaduje wyroki w zwykłym więzieniu, Epstein umieszczony został w niezamykanej celi w osobnym, nieużywanym skrzydle budynku więziennego, po trzech miesiącach „odsiadki" zaś pozwolono mu na opuszczanie więzienia w ramach „zwolnień do pracy". Zwolnienia te trwać mogły do 12 godzin dziennie, sześć dni w tygodniu. Epstein pracować miał wtedy w założonej przez siebie fundacji, wożony przez własnego szofera pomiędzy celą, miejscem pracy i niezbędnymi spotkaniami na mieście. Sam też płacił wynagrodzenie „pilnującym go" pracownikom więzienia, którzy ubrani w garnitury przyjmowali, zasiadając w recepcji biura, gości i biznesowych partnerów „więźnia". Raporty z tych wizyt zostały przez administrację zakładu karnego przypadkowo zniszczone, w ramach porządkowania dokumentacji. Po kolejnych kilku miesiącach tak restrykcyjnego reżimu pozwolono Epsteinowi odbywać karę w areszcie domowym, który często opuszczał, podróżując na Karaiby swoim prywatnym odrzutowcem.

MROCZNY ŚWIAT AMERYKAŃSKIEJ POLITYKI

Skala prowadzonej przez Epsteina działalności przestępczej nie pozwalała jednak na całkowite ignorowanie jej, nawet przy najdalej posuniętej życzliwości organów ścigania. Epsteina oskarżać zaczęły jego ofiary, sprawą interesowały się media. W trakcie jednego z postępowań sądowych, toczącego się w roku 2014, dziewczyna ukryta pod pseudonimem Jane Doe 3 zeznała pod przysięgą, że do wykorzystujących ją osób należeli „słynni amerykańscy politycy, biznesmeni, prezydenci obcych krajów, znany na świecie premier i inni światowi liderzy". Do aresztowania Epsteina pozostało jeszcze kolejnych pięć lat.

Na tajemniczy trop w sprawie Epsteina zwrócił przed kilkoma dniami uwagę amerykański portal LifesiteNews. Zacytował on twierdzenia byłego agenta Mosadu imieniem Ari Ben-Menashe, zawarte w napisanej przez niego książce „Epstein – Dead Men Tell No Names". Zgodnie z nimi zarówno Jeffrey Epstein, jak i jego wspólniczka Ghislaine Maxwell oraz jej ojciec, słynny brytyjski magnat prasowy Robert Maxwell, byli współpracownikami izraelskich organizacji wywiadowczych. Związki Roberta Maxwella z wywiadem izraelskim wykazał w książce „The Samson Option" znany dziennikarz śledczy Seymour Hersh. W roku 1994 wygrał on długotrwałą batalię sądową z należącą do Roberta Maxwella korporacją prasową Mirror Group, która zmuszona została do zapłacenia sowitego odszkodowania i opublikowania przeprosin za podważanie rzetelności dokonanych przez Hersha ustaleń. Zdaniem portalu LifesiteNews afera Epsteina dostarczyć mogła tajnym służbom ogromnych ilości materiałów przydatnych do szantażowania najważniejszych postaci światowego biznesu i polityki.

Równie intrygująca wydaje się podana przez LifesiteNews informacja, że zaufanym doradcą i powiernikiem Roberta Maxwella był przez wiele lat urodzony w Białymstoku amerykański polityk i prawnik Samuel Pisar. Miał on jako ostatni rozmawiać z Brytyjczykiem przed jego tajemniczą śmiercią. Jako najbliższy przyjaciel zmarłego odmówił za niego modlitwę kadisz w trakcie oficjalnej ceremonii pogrzebu Maxwella na Górze Oliwnej w Jerozolimie (zastępując synów zmarłego). Tenże Samuel Pisar (zmarły w roku 2015) był ojczymem aktualnego amerykańskiego sekretarza stanu, Anthony'ego Blinkena.

Konkluzja, że świat jest mały, jest w tej historii wyjątkowo na miejscu. Świat amerykańskiej polityki wydaje się ostatnio coraz mroczniejszy i mniejszy, targające nim intrygi zaś przypominać zaczynają komplikacje znane dotychczas głównie z latynoskich telenowel. Wypada mieć nadzieję, że na podobieństwo brazylijskich seriali napędzające intrygę sekrety zaczną z czasem wychodzić na jaw, a całość jakimś cudem dobrze się skończy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

Sołdaty Armii Czerwonej w 1945 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Z Andrzejem Brzezieckim, historykiem, autorem książki „Ostróda '46. Jak Polacy Sowietów gromili"
rozmawia Piotr Włoczyk

UB przeciw Armii Czerwonej

PIOTR WŁOCZYK: 15 stycznia 1946 r. doszło w Ostródzie do wydarzeń, które właściwie nie miały prawa się zdarzyć. Co sprawiło, że niemożliwe stało się możliwe?

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Zgodnie z oficjalną linią i propagandą „sojusznicy" nie mogli się w ten sposób zachować wobec siebie. Po raz kolejny okazało się jednak, że młodzi żołnierze, broń, wódka i ogólne rozprzężenie społeczne to bardzo wybuchowa mieszanka. W ten oto sposób z sołdatami Armii Czerwonej strzelali się w Ostródzie nie członkowie podziemia poakowskiego, tylko ubecy, sokiści i żołnierze Ludowego Wojska Polskiego. Symboliczne, że cała sprawa zaczęła się od napadu rabunkowego krasnoarmiejców na polskiego kolejarza Mariana Dumnego.

Napad doprowadził do całej lawiny wydarzeń, które skończyły się siedmioma trupami – zginęło dwóch Polaków i pięciu żołnierzy sowieckich. Interwencja polskich funkcjonariuszy zaczęła się od chęci obrony skrzywdzonej, nomen omen, dumy narodowej?

W akcji Polaków widać sporo antysowieckich emocji, a także pobudek patriotycznych. Rozjuszeni żołnierze Armii Czerwonej wszak wołali, że trzeba powystrzelać wszystkich Polaków.

I potem, gdy zastrzelili już interweniującego sokistę i żołnierza, inni polscy funkcjonariusze z Ostródy ruszyli na nich z okrzykami – co zapisane zostało w dokumentach ze śledztwa – że trzeba pomścić Polaków. Natomiast pod koniec tych tragicznych wydarzeń, gdy trzech żołnierzy Armii Czerwonej było katowanych na posterunku SOK, ubek kopał leżącego sołdata, krzycząc do niego: „Czy wam Stalin kazał zabijać?". Po pierwszej strzelaninie zaczęła się regularna łapanka sowieckich żołnierzy. Prawdopodobnie zresztą złapani zostali nie ci, którzy zastrzelili Polaków. Tłum chciał jednak zemsty. I faktycznie doszło do bardzo brutalnego odwetu na „sojusznikach".

Żołnierze żołnierzami, ale żeby do krasnoarmiejców strzelali ubecy, ostoja nowych komunistycznych porządków?!

Na lokalnym poziomie, jak właśnie w Ostródzie, to byli często dość przypadkowi ludzie – młodzi niewykształceni mężczyźni, którzy próbowali się jakoś urządzić w nowych warunkach. Wśród polskich bohaterów tych wydarzeń generalnie nie widać jakiegoś dużego oddania komunizmowi.

Wiemy już, co było iskrą, która doprowadziła do wybuchu. A co odgrywało tu rolę prochu?

Ostróda – w tamtym czasie wciąż nie była ustalona pisownia tej miejscowości, niektórzy mówili „Ostród" – leżała na terenach poniemieckich, które przypadły wprawdzie Polsce, ale Armia Czerwona wciąż traktowała je w znacznej mierze jak część pokonanych Niemiec. Ze wszystkimi tego konsekwencjami, czyli grabieżami, podpaleniami, gwałtami, a czasem także mordami na ludności cywilnej. Wywożono stamtąd wszystko, co Sowieci uznali za cenne – wyposażenie fabryk, bydło, tory kolejowe, ale żołnierze Armii Czerwonej wykazywali się też prywatną „inicjatywą", dbając o powiększenie własnego majątku

eprasa.pl e333bdb72c

przed powrotem do swojego kołchozu. A jeżeli nie było widoków na wzbogacenie się, to sołdaci chcieli się przynajmniej na koniec dobrze zabawić. Niestety, nierzadko taka „zabawa" odbywała się kosztem miejscowej ludności.

Polscy komuniści widzieli, że sytuacja niebezpiecznie nabrzmiewała, i w związku z tym interweniowali na Kremlu w sprawie zachowania żołnierzy Armii Czerwonej. W licznych raportach, które spływały do polskich władz komunistycznych, mowa była o gwałtach i rabunkach, a nawet morderstwach dokonywanych przede wszystkim w okolicy dworców kolejowych. To, co Sowieci wyrabiali w Ostródzie, działo się też na Dolnym Śląsku czy Pomorzu Zachodnim. W Ostródzie wielu było przesiedleńców z Wilna. Mówiono im, że zostaną osiedleni w miastach poniemieckich, które mają świetną infrastrukturę – prąd, bieżącą wodę, kanalizację. Tymczasem na miejscu okazało się, że Ostróda była kompletnie zrujnowana.

Niemcy zamienili ją w twierdzę?

Nie. Ostródę rozgrabili i spalili żołnierze sowieccy już po zajęciu miasta. Ostródę szturmowało parę czołgów, które Niemcy chcieli powstrzymać, budując barykadę z… bloków sera. Nie wiem, czy liczyli, że czołgi nie pokonają zapory, czy też wygłodniały przeciwnik rzuci się najpierw na jedzenie. W każdym razie Polacy, którzy przeniesieni zostali do Ostródy, zdawali sobie sprawę z tego, komu „zawdzięczają" taki stan miasta, co potęgowało ich negatywne nastawienie do „sojuszników". Mieszkańcy widzieli, że Sowieci wciąż traktują te tereny jako podbite. To zresztą wynikało z podejścia Stalina, który był bardzo wyrozumiały dla brutalności swoich sołdatów i pozwalał im w ten sposób wyżyć się za lata wojennych trudów. Interwencje w Moskwie na niewiele mogły się więc zdać. Mieszkańcy Ostródy mieli zatem wszelkie powody, by darzyć sołdatów Stalina głęboką niechęcią.

Jeżeli chodzi o bezpośredni kontekst wydarzeń z 15 stycznia 1946 r. w Ostródzie, to wiemy o dużym transporcie cukru z Niemiec, którego część sowieccy żołnierze sprzedali na lewo. A gdy w toku zabawy skończyły im się pieniądze z tego „biznesu", zaczęli szukać okazji do kolejnego „zarobku". Skończyło się to nieszczęsnym napadem na polskiego pracownika kolei – Mariana Dumnego.

Jak wyglądała reakcja władz?

Początkowo śledztwo prowadzili lokalni ubecy, ale szybko przyjechał do Ostródy Bonifacy Kazimierski, ubek z Olsztyna. Przesłuchania nie za dobrze mu wychodziły – wszyscy świadkowie kluczyli. Wypity poprzedniego wieczora alkohol służył im za doskonałą wymówkę. Bardzo często pojawiała się odpowiedź: „Nie pamiętam".

Śledczy chcieli najpierw to wszystko podpiąć pod sprawę polityczną – przesiedleni ludzie z Wilna, działający w rzeczywistości w antykomunistycznym podziemiu, zabili pięciu żołnierzy Armii Czerwonej. Ten wątek okazał się jednak ślepą uliczką – nie sposób było poprowadzić śledztwa w tym kierunku.

ANDRZEJ BRZEZIECKI
„OSTRÓDA '46"
ZNAK HORYZONT

Dlaczego Polacy, którzy zasiedli na ławie oskarżonych, dostali tak niskie wyroki?

Do Sowietów raczej na pewno strzelali żołnierze z 53. pułku piechoty. Po tym, gdy dwóch sołdatów zginęło w strzelaninie, trzech pojmanych zostało doprowadzonych na posterunek SOK, gdzie następnie zostali skatowani przez Polaków. Żołnierze najpewniej przerazili się i chcieli się pozbyć problemu. Wybrali jednak nie najszczęśliwszą metodę, ponieważ po prostu ich rozstrzelali. A potem jeszcze ograbili trupy. Sąd wojskowy tak sterował procesem, by na ławie oskarżonych nie znaleźli się żołnierze, tylko sokiści i jeden ubek. Jedyny żołnierz, który przyznał się do zabicia sołdata, uciekł z aresztu UB i władze szukały go przez następne 45 lat.

Wysokość wyroków to ciekawa sprawa, bo w tamtym okresie obowiązywał już przecież dekret o nadzwyczajnych środkach przy odbudowie państwa. Oskarżeni powinni więc właściwie dostać karę śmierci. Doszło tam zapewne do niepisanego układu, że prawdziwi winni – polscy żołnierze – nie będą ukarani, a ci, którzy znaleźli się na ławie oskarżonych, dostaną niewielkie wyroki.

W książce cytuję pismo w sprawie doboru obrońców i ławników. Pojawia się tam zdanie, że mają to być oficerowie „inteligentni". Możemy podejrzewać, że w ten sposób określono zapotrzebowanie na ludzi, którzy będą rozumieli, w jakim kierunku ma pójść proces.

Jakim cudem podejrzany uciekł z aresztu UB?

Żołnierz, który został finalnie oskarżony o zabójstwo, tak naprawdę nie uciekł. Został po prostu wypuszczony, wraz z kilkoma innymi podejrzanymi, przez miejscowych ubeków z Ostródy, którzy twierdzili potem, że ludzie ci zwyczajnie uciekli w nocy. Chyba wzięła tu górę pewna solidarność – ubecy pilnujący aresztowanych przecież też brali udział w zajściach i postanowili zostawić otwarte okno oraz odwrócić wzrok w odpowiednim momencie.

Jak na to wszystko zapatrywał się „sojusznik"?

Polakom zależało, żeby cały proces „skręcić" i wyciszyć sprawę, ale faktem jest, że również Sowieci nie upominali się za bardzo o swoich zabitych. Wiedzieli przecież dokładnie, że ich żołnierze nie byli w całym tym zajściu niewinni. Zresztą nawet jednego zabitego sołdata nie udało im się zidentyfikować. Sami Sowieci nie byli w stanie doliczyć się potem w okolicznych jednostkach wszystkich swoich żołnierzy!

Ile było wówczas takich Ostród?

Wydarzenia z 15 stycznia 1946 r. nie były ewenementem. To oczywiście maleńki epizod w historii Polski, zwłaszcza na tle niedawnej wojny światowej, ale dla mnie ma on uniwersalny wymiar. Na zasadzie pars pro toto pokazuje realia życia na tzw. Ziemiach Odzyskanych, które już wtedy prasa nazywała Dzikim Zachodem.

Do podobnej sytuacji doszło m.in. na Dolnym Śląsku. NWKD odstawiło do aresztu polskich żołnierzy, którzy zabili sowieckich sołdatów. Potem NKWD zapytało Polaków, czy podejrzani zostali osądzeni. W odpowiedzi poinformowano ich, że aresztanci... uciekli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Andrzej Brzeziecki jest historykiem, dziennikarzem, autorem książki „Ostróda '46. Jak Polacy Sowietów gromili".

eprasa.pl e333bdb72c

Legendowanie Wałęsy?

Czy debata Wałęsa – Miodowicz była zwycięstwem Solidarności czy samego Lecha Wałęsy? Jak ją oceniać po latach? Poniżej list naszego czytelnika odnoszący się do artykułu Grzegorza Majchrzaka i odpowiedź autora

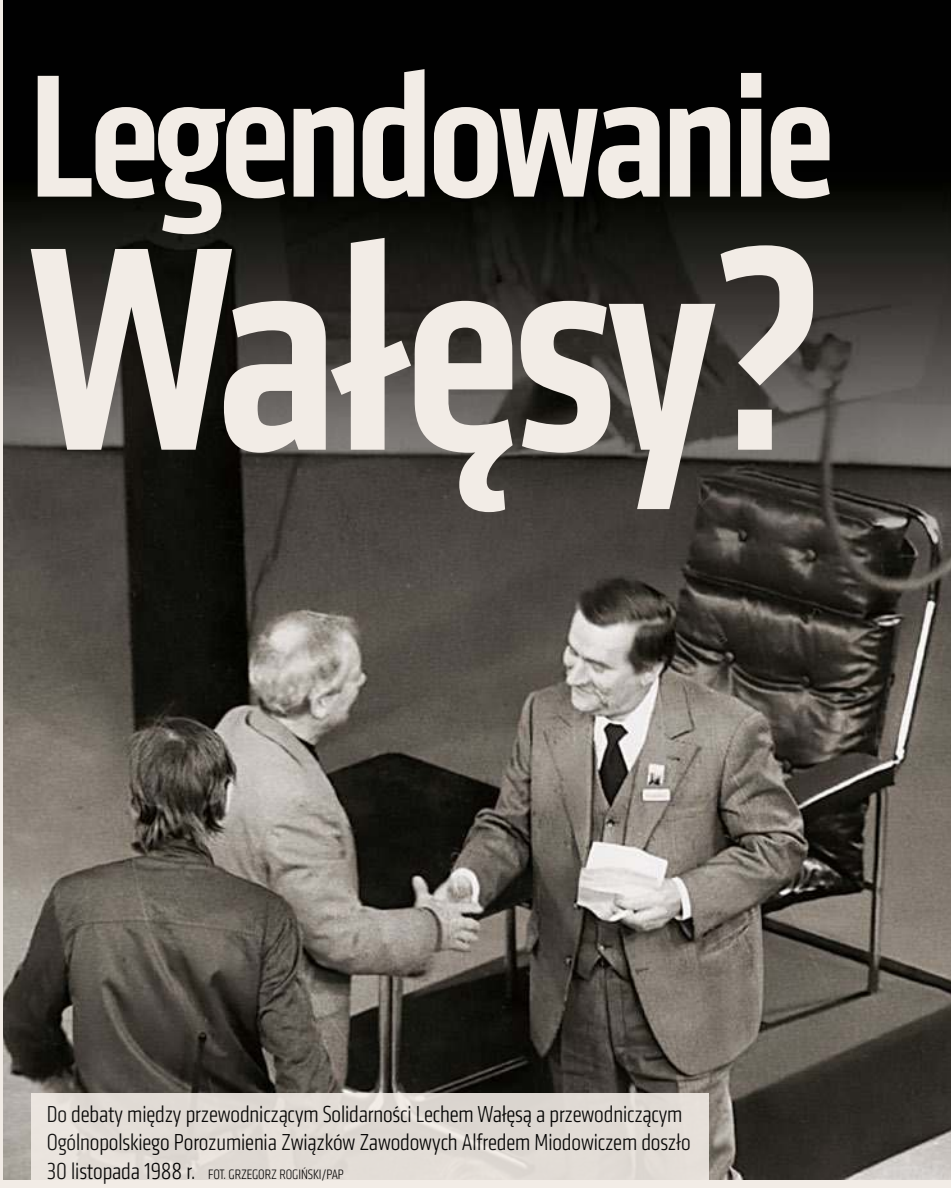

Do debaty między przewodniczącym Solidarności Lechem Wałęsą a przewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych Alfredem Miodowiczem doszło 30 listopada 1988 r. FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/PAP

W artykule pt. „Bezprecedensowy nokaut" („Do Rzeczy" nr 49/2023), poświęconym przełomowej debacie pomiędzy Lechem Wałęsą a Alfredem Miodowiczem (30 listopada 1988 r.), zabrakło niestety zarówno szerszej perspektywy, jak i oczywistych wniosków, które historyk powinien sformułować na podstawie analizy źródeł. Mówiąc o szerszej perspektywie, mam na myśli wydarzenia poprzedzające debatę i następujące po niej. Konkretnie w maju i sierpniu 1988 r. miały miejsce strajki, które nie doprowadziły do przełomu, podobnie jak toczące się rozmowy między „głównodowodzącym" Czesławem Kiszczakiem a Lechem Wałęsą. Celem tych strajków i prowadzonych rozmów nie miało być wyeliminowanie Wałęsy z gry politycznej, ale wprost przeciwnie – nawiązanie z nim współpracy czy też wypracowanie jakiegoś kompromisu z częścią opozycyjnego obozu Solidarności. Gdyby komuniści dążyli do wyeliminowania Wałęsy, nie umożliwiliby mu udziału w debacie, czyli dostępu do dziesiątków milionów Polaków. Następstwem debaty było przełamanie oporu części aparatu władzy, umocnienie autorytetu Wałęsy w społeczeństwie i rozpoczęcie obrad słynnego Okrągłego Stołu. Celem debaty było wypromowanie Wałęsy, a nie jego skompromitowanie.

Artykuł Grzegorza Majchrzaka rzetelnie przedstawia fakty i dlatego, chcąc nie chcąc, ukazuje np. stoicki spokój, z jakim Mieczysław Rakowski relacjonował przebieg debaty, który ujawnił, zdaniem samego Rakowskiego, „miażdżącą przewagę Wałęsy". Z drugiej strony sceny politycznej również była pełna świadomość, o co chodzi w tej debacie, o czym świadczy np. wypowiedź Bronisława Geremka, który oświadczył, że najważniejszym celem debaty było przekazanie informacji na Zachód, że część opozycji skupiona wokół Wałęsy jest zdolna pełnić rolę „czynnika stabilizującego". Obie strony spokojnie przygotowywały się do zawarcia kompromisu (ponad głowami radykalnej opozycji i sporej części społeczeństwa) i debata była ważnym elementem tego procesu podziału władzy i stref wpływów.

Niestety, autor artykułu w końcowych wnioskach formułuje w większości nieprawdziwe wnioski, które 30 lat temu sformułowano na użytek opinii publicznej, jakoby zorganizowanie debaty było „błędem" i okazało się „wielkim zwycięstwem" Solidarności, a przede wszystkim Lecha Wałęsy. Tylko to ostatnie stwierdzenie odpowiada prawdzie, natomiast z perspektywy 30 lat wydaje się oczywiste, że debata była elementem procesu celowego i świadomego kształtowania nowego podziału władzy w Polsce pomiędzy częścią komunistów a częścią opozycji. Procesu przeprowadzonego bez większych błędów. Procesu przeprowadzonego kosztem dezintegracji Solidarności. Procesu, który musimy w końcu zrozumieć i opisać, jeśli chcemy zrozumieć, w jakim miejscu znajdujemy się obecnie.

Z poważaniem
Wojciech Turek
Gdańsk

OD AUTORA

Cieszę się, że Pan Wojciech Turek uznał, że w swoim tekście o debacie Wałęsa – Miodowicz rzetelnie przedstawiłem fakty. Trudno mi się jednak zgodzić z jego krytyką moich wniosków, a przynajmniej ich części.

Nie do końca zresztą wiem, co według mojego adwersarza mają mieć wspólnego strajki z maja i sierpnia 1988 r. z nawiązaniem – w domyśle przez władze PRL – współpracy z Lechem Wałęsą czy wypra-

eprasa.pl e333bdb72c

cowaniem jakiegoś kompromisu z częścią opozycji. Czyżby pan Turek uważał, że były one dziełem ekipy Jaruzelskiego? Te – tak na marginesie – powszechnie przez historyków lekceważone protesty poskutkowały zaawansowanymi przygotowaniami do stanu wyjątkowego. Tak na marginesie: w przypadku szczególnie tych sierpniowych nader widoczny jest konflikt między „starymi", których reprezentantem był Wałęsa, a „młodymi". Nie były one z pewnością na rękę władzy. Ta miała do wyboru albo sięgnąć – po raz kolejny – po rozwiązanie siłowe, albo zacząć rozmowy z opozycją, do czego – mimo prowadzonych od pewnego czasu przymiarek – jakoś się nie kwapiła.

Zachowała się niezwykle ciekawa prognoza Wojciecha Garstki ze stycznia 1988 r. Garstka był kierownikiem Grupy Operacyjno-Sztabowej w Sekretariacie Szefa Służby Bezpieczeństwa, która przygotowywała analizy dla władz. W prognozie tej ostrzegał m.in., że nieśmiałe reformy gospodarcze zakończą się niepowodzeniem. Najciekawsze wydają się jednak inne jego spostrzeżenia: „Rosną bowiem roczniki – a może powiedzmy nawet pokolenie – ludzi, dla których lata 1980 i 1981 to historia. Historię tę w dodatku nie zawsze myśmy im napisali. Po drugie – istnieje poziom frustracji, przy której byle powód wyzwala agresję w znacznej skali. Agresja ta będzie wtedy na poły ślepa, a na poły wymierzona w »najbliższych winnych« – czyli w ekipę władzy. Jej fala może także zmyć wczorajszych liderów kontestacji, z którymi gotowi być może bylibyśmy prowadzić cienkie gry. Pojawią się nowi trybuni i demagodzy, zdezaktualizują się nasze dotychczasowe metody i taktyka rozgrywki (w tym polityczno-propagandowej) – nie uda się więc drugi raz wygrać".

Co ciekawe, tydzień po jej przygotowaniu Wojciech Garstka przestał kierować tą grupą i „awansował" na rzecznika prasowego MSW. Widać jego wnioski nie spodobały się rządzącym. Mój adwersarz zapewne uzna je za potwierdzenie swoich opinii, dla mnie jednak jest to raczej sygnał, że władze PRL nie dojrzały jeszcze wówczas do rozmów z opozycją. Tym, co je do tego skłoniło, była oczywiście gospodarka, znajdująca się na krawędzi załamania. Doskonale dylemat, przed którymi stanęły, opisał w jednym ze swoich artykułów Piotr Gontarczyk – były nim gwałtowne obniżenie poziomu życia Polaków, które oznaczałoby wybuch strajków i protestów mogących doprowadzić – jak de facto w sierpniu 1980 r. – do upadku rządzącej ekipy, albo próba dogadania się z osłabioną opozycją (oczywiście tą częścią, która zechce rozmawiać) i podzielenie się odpowiedzialnością, ale nie władzą! Powtórzę: niewątpliwie strajki z maja i sierpnia 1988 r. skłaniały do szukania takiego kompromisu, mimo prężenia muskułów przez ekipę Jaruzelskiego i brutalnej pacyfikacji strajku w Hucie im. Lenina na początku maja.

Wracając do debaty, była oczywiście ona przede wszystkim wielkim zwycięstwem samego Wałęsy, a także – tu się nie zgadzamy – Solidarności. Warto w tym miejscu przypomnieć, że jeszcze pod koniec lipca 1988 r. rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban mówił: „Ruch »Solidarność« trwale należy do przeszłości". W tym czasie sądy zresztą konsekwentnie odrzucały kolejne wnioski o jej rejestracje w poszczególnych zakładach pracy. Kompromitacja Alfreda Miodowicza – którą była debata – była też kompromitacją głoszonej przez lidera OPZZ zasady „jeden związek zawodowy w jednym zakładzie pracy". Tak na marginesie: bezapelacyjnym zwycięzcą debaty został Wałęsa, ale przed nią nie było to wcale takie pewne. Nie wszyscy zresztą ludzie związani z opozycją przyjęli ją entuzjastycznie. I tak np. „niektórzy adwokaci" – jak to określiło MSW – „znani z opozycyjnych postaw" uznali, że jest ona dla Wałęsy „kolosalnym ryzykiem", natomiast „niezależnie od wyniku" stanowi szansę dla Miodowicza, gdyż „cała Polska dowie się, że jest równorzędnym partnerem dla L. Wałęsy". Obawiali się oni również, że szef OPZZ w przeciwieństwie do lidera Solidarności będzie „wiedział doskonale, o czym rozmawiać".

Tym bardziej że odbywała się ona na warunkach Alfreda Miodowicza. O ile Jacek Kuroń, Adam Michnik i Janusz Onyszkiewicz proponowali, aby odbyła się ona w Sali BHP Stoczni Gdańskiej, w której w sierpniu 1980 r. podpisano porozumienie gdańskie, o tyle Jan Bogutyn (w imieniu OPZZ) opowiadał się za studiem telewizyjnym i to „ze względów oczywistych nie krakowskim i nie gdańskim". O ile strona solidarnościowa chciała udziału w niej widzów – początkowo robotników gdańskich, a następnie tej samej liczby gości zaproszonych przez obu uczestników debaty, o tyle stanowisko Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych było sztywne – żadnej publiczności. W obu kwestiach przedstawiciele Wałęsy ustąpili. Nie trzeba chyba dodawać, że Miodowicz grał znaczonymi kartami – władza za pośrednictwem Służby Bezpieczeństwa bacznie śledziła przygotowania Lecha Wałęsy i jego otoczenia. Alfreda Miodowicza starano się do niej przygotować, ale zgubiła go pewność siebie. Zapewne nie bez znaczenia było też niedocenianie Wałęsy, powszechnie lekceważonego przez ludzi władzy.

Na koniec co do „procesu celowego i świadomego kształtowania nowego podziału władzy w Polsce pomiędzy częścią komunistów a częścią opozycji. Procesu, przeprowadzonego bez większych błędów. Procesu przeprowadzonego kosztem dezintegracji »Solidarności«" trudno nie zgodzić się z tym, że do niego doszło. Pomijając jednak to, o czym pisałem, że nie taki był cel władz PRL, wspomniana dezintegracja nie miała miejsca pod koniec lat 80. Ona zaczęła się po 13 grudnia 1981 r. – jak pisał w poufnej korespondencji Jerzy Urban – celem stanu wojennego była „atomizacja społeczeństwa". Solidarność po 13 grudnia nie była już zjednoczoną wielomilionową organizacją, lecz szeregiem słabnących z kolejnymi latami organizacji. Od początku zresztą stanu wojennego podzieloną w co najmniej kilku regionach (m.in. Szczecinie czy Łodzi). Na dodatek od czerwca 1982 r. działała – głównie na Dolnym Śląsku – Solidarność Walcząca. Ten podział zresztą przeniósł się na szczebel ogólnopolski – w kwietniu 1987 r. (w reakcji na powołanie przez Lecha Wałęsę Tymczasowej Rady NSZZ „Solidarność") powstała Grupa Robocza Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność". Jak zatem widać, trudno mówić o jedności w opozycji solidarnościowej na długo przed debatą.

To zaś, gdzie jesteśmy obecnie – po ponad ćwierć wieku od debaty i blisko 25 latach od wyborów czerwcowych – wynika z naszych wyborów. Jak to w demokracji – raz lepszych, raz gorszych…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl e333bdb72c

„Ukraiński

Maciej Pieczyński

Na froncie bez zmian. Żadna ze stron nie jest w stanie odnieść ostatecznego zwycięstwa. Ukraińcom lepiej wychodzi zabijanie Rosjan i ich kolaborantów w Rosji i na terenach okupowanych niż odzyskiwanie utraconych ziem

W ostatnim czasie kontrowersje wywołał atak Ukraińców na rosyjski Biełgorod. To przygraniczne miasto jest celem Kijowa już od pierwszych miesięcy wojny. Z reguły jednak bombardowane były obiekty militarne. Dochodziło też do brawurowych tzw. rajdów biełgorodzkich. Rosyjskie oddziały, walczące po stronie Kijowa, przekraczały granicę państwa agresora, przejściowo zajmując kilka mniejszych przygranicznych miejscowości. W kontekście tych wydarzeń mówiło się o kompromitacji Moskwy, która dała się zaskoczyć na własnym terytorium. Ewentualnie – o groźbie eskalacji konfliktu, do której jednak nie doszło.

Ukraińcy, atakując wroga na jego własnym terytorium, ostatecznie złamali pewne tabu. Dowiedli, że atak na Rosję w Rosji nie skutkuje automatycznie użyciem przez Putina broni jądrowej i rozpętaniem trzeciej wojny światowej. Jednak 30 grudnia 2023 r. w obwodzie biełgorodzkim zostało złamane inne tabu. I tym razem efekty wizerunkowe są negatywne nie dla Moskwy, tylko dla Kijowa. W wyniku ukraińskiego ostrzału centrum Biełgorodu 14 osób zginęło, a 108 zostało rannych. Wszyscy zabici i ranni to cywile. W kolejnych dniach ataki były ponawiane. Ukraińcy zrobili w zasadzie to samo co Rosjanie. Czyli najpierw ostrzelali teren wroga, mając świadomość, że zginą cywile. Następnie stwierdzili, że ich celem były obiekty militarne. Winą za śmierć cywilów obarczyli natomiast obronę przeciwlotniczą wroga.

Gdy Rosja dawała się zaskoczyć na własnym terytorium, cierpiał jej wizerunek potężnego imperium, które kontroluje każdy metr swojej strefy wpływów. Gdy Ukraina zabija cywilów, cierpi jej wizerunek niewinnej ofiary, która tylko się broni przed agresją. A to na pewno nie pomoże jej w utrzymaniu topniejącego wsparcia ze strony Zachodu. Ponadto trzeba pamiętać, kto tę wojnę rozpętał. Atak na Biełgorod to odwet za o wiele częstsze i bardziej zmasowane, trwające od początku wojny, ostrzały ukraińskich miast.

LUDZIE DO ZADAŃ SPECJALNYCH

Rosjanie nie mogą czuć się bezpiecznie na własnym terytorium nie tylko z powodu ostrzałów, lecz także z uwagi na zamachy przeprowadzane przez ukraińskie służby specjalne, szkolone przez Amerykanów. Choć Waszyngton powstrzymuje Ukraińców przed nadmierną eskalacją konfliktu, to jednak od dawna wspiera Kijów w walce z agresorem. Również, choć w ograniczonym zakresie, na terenie agresora. Już na początku hybrydowego etapu wojny Amerykanie zaczęli inwestować w rozwój wywiadu nad Dnieprem. Od 2015 r. wydali dziesiątki milionów dolarów, aby wyszkolić ukraińskie służby specjalne do skutecznej walki z Rosją. Tak wynika z ustaleń „The Washington Post", opublikowanych jesienią ubiegłego roku. Wysoko postawiony urzędnik CIA w rozmowie z gazetą stwierdził, że na Ukrainie powstaje nowa grupa wywiadowcza, przypominająca izraelski Mosad.

To, że Amerykanie pomagają Ukraińcom budować służby specjalne, nie oznacza, iż Kijów w tej sferze stosuje się do wszystkich wskazówek potężnego sojusznika. Jeśli wierzyć medialnym doniesieniom, to Waszyngton nie był zaangażowany w te operacje, których celem była fizyczna likwidacja konkretnych osób. Amerykanie nie chcieli być posądzeni o współudział. Nie o wszystkich akcjach Amerykanie byli informowani. Te działania Kijowa mogą stanowić problem na drodze do integracji z NATO i Unią Europejską. Zabijanie bez

eprasa.pl e333bdb72c

Mosad”

2 kwietnia 2023 r. znany bloger wojenny i propagandysta kremlowski Władlen Tatarski zginął w zamachu dokonanym w jednej z petersburskich kawiarni FOT. AP/EAST NEWS

sądu nawet najbardziej splamionych krwią zbrodniarzy zapewne wielu na Zachodzie tylko zniechęci do popierania Ukrainy. Dla Kijowa jednak wciąż priorytetem jest walka z agresorem. Podejmowana czasem również metodami agresora.

O „ukraińskim Mosadzie” na samej Ukrainie mówiło się już przed publikacją „The Washington Post”. I to mówiło się z nieskrywaną satysfakcją. Generał Kyryło Budanow, pytany o słynną izraelską służbę, już latem ubiegłego roku stwierdził, że Ukraina teraz zajmuje się likwidacją wrogów. Nie potrzebuje tworzyć własnego Mosadu, bo taki już istnieje. Jest nim HUR, czyli Ukraiński Wywiad Wojskowy, na którego czele stoi właśnie Budanow. Inne źródła sugerują, że odpowiednikiem Mosadu jest raczej Służba Bezpieczeństwa Ukrainy. Niezależnie od tego, która ze służb zasługuje na to miano, niepodważalnym faktem jest to, że Kijów zaczął skutecznie robić to, z czego zasłynęła izraelska służba wywiadowcza. Czyli zabijać swoich wrogów poza terytorium przez siebie kontrolowanym. Może się wydawać, że Ukraińcy nawet lepiej sobie radzą na terenie wroga niż na swoim własnym. Zamachy na pojedyncze osoby czy ostrzały rosyjskich miast okazały się dużo bardziej skuteczne i spektakularne niż regularne działania na froncie, gdzie hucznie zapowiadana kontrofensywa w zasadzie nawet nie wystartowała, a obie strony okopały się na swoich pozycjach.

GŁOŚNE ZAMACHY

Najprawdopodobniej to właśnie „ukraiński Mosad” stał za głośnym zabójstwem Darii Duginy. Dwudziestodziewięciolatka była nie tylko córką sławnego ojca – znanego geopolityka, ideologa rosyjskiego imperializmu. Sama też angażowała się w działalność propagandową. Była publicystyką kremlowskich i prokremlowskich mediów. Zginęła w sierpniu 2022 r. w samochodzie pułapce podczas powrotu z festiwalu Tradycja, organizowanego w podmoskiewskim Zacharowie przez środowiska prowojenne. Miał z nią jechać ojciec, ale podobno w ostatniej chwili się rozmyślił. Nie wiadomo, czy celem ataku była Dugina, Dugin czy może oboje.

Rosjanie błyskawicznie oskarżyli o zamach Ukraińców. Wtedy jeszcze na Zachodzie panowała proukraińska poprawność polityczna. W zabójstwie antyukraińskiej propagandystki doszukiwano się ręki Moskwy. Miały to być albo wymierzona w wizerunek Kijowa prowokacja, albo sztucznie stworzony pretekst do represji wobec przeciwników Putina, albo efekt wewnętrznych walk między basztami Kremla. Tymczasem ponad rok po tym wydarzeniu „The Washington Post” obwieścił, że zamachu dokonała SBU. Gdy tuż po śmierci Duginy Rosjanie ogłosili, że bombę podłożyła na rozkaz SBU związana z pułkiem „Azow” Natalia Wowk, Kijów kategorycznie zaprzeczył, a Ukraińcy tę wersję wyśmiali jako kolejne kłamstwo Kremla.

Ponad rok później amerykańskie medium właściwie potwierdziło rosyjską narrację, w tym nawet nazwisko sprawcy. Zgodnie z tą wersją w lipcu 2022 r. 42-letnia Natalia Wowk wraz z 12-letną córką miała przyjechać do Rosji z Estonii. Bombę przemyciła w klatce dla kota, w zagraconym samochodzie, którego pogranicznikom nie chciało się szczegółowo sprawdzać. W Moskwie zamieszkała na tym samym osiedlu co Dugina. Obserwowała przyszłą ofiarę przez kilka tygodni. Następnie umieściła pod jej autem ładunek i wyjechała z powrotem do Estonii, już ze zmienionymi tablicami rejestracyjnymi. Ustaleń amerykańskich mediów już Ukraińcy nie wyśmiali. Tym razem Kijów nie potwierdził, ale też nie zaprzeczył. Odmówił komentarza.

2 kwietnia 2023 r. znany bloger wojenny i propagandysta kremlowski Władlen Tatarski spotkał się ze swoimi czytelnikami w jednej z petersburskich kawiarni. W pewnym momencie jedna z uczestniczek spotkania wręczyła mu prezent – złotą statuetkę. Umieszczony w niej ładunek po chwili eksplodował. Tatarski zginął na miejscu. Trzydzieści dwie osoby zostały ranne. Ten zamach, podobnie jak zabójstwo Duginy, był początkowo rozpatrywany jako efekt wewnątrzrosyjskich porachunków. Szczególnie że kawiarnia

eprasa.pl e333bdb72c

należała do Jewgienija Prigożyna. Spekulowano, że to ostrzeżenie dla założyciela Grupy Wagnera, który już wówczas ostro krytykował rosyjskie władze wojskowe. Znów pierwszą reakcją było poszukiwanie sprawców na Kremlu albo wokół Kremla.

Z perspektywy czasu można śmiało ocenić, że tego typu podejrzenia w dużej mierze miały charakter życzeniowy. Po pierwsze, Dugina i Tatarski byli propagandystami, ale jednocześnie cywilami. Nawoływali de facto do zabijania Ukraińców, Ukraińcy mieli więc powody, by ich za to ukarać. Jednak zamach na cywila, choćby tak mocno zaangażowanego w wojnę agresywną, budzi etyczne wątpliwości, stąd też lepiej szukać winnych wśród przedstawicieli państwa agresora niż państwa ofiary. Ponadto potwierdzenie tych spekulacji oznaczałoby, że Rosjanie zabijają siebie nawzajem. To z kolei pozwalałoby łudzić się, że w najbliższym czasie możliwe są wojna domowa, przewrót pałacowy albo nawet rewolucja w Rosji.

W maju 2023 r. w wybuchu samochodu pułapki ranny został Zachar Prilepin. Jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy rosyjskich, a zarazem jeden z najbardziej rozpoznawalnych propagandystów „specoperacji". Po inwazji na Ukrainę zaciągnął się do Rosgwardii i pojechał na front. Zamachu dokonano, gdy jechał z Donbasu do Moskwy. Po drodze zatrzymał się we wsi Pionierskoje, gdzie mieszkają jego krewni. Wysiadła tam jego córka, która towarzyszyła ojcu w podróży. Bomba eksplodowała, gdy tylko Prilepin wyruszył w dalszą drogę. Wybuch rozerwał samochód na pół. Siedzący za kierownicą ochroniarz pisarza zginął na miejscu. Prilepin cudem przeżył. Trafił do szpitala. Początkowo pojawiały się pogłoski, że stracił obie nogi. Później okazało się, że są „tylko" złamane. Tym razem Kijów niemal wprost przyznał się do zamachu. Biuro prasowe SBU oznajmiło, że oficjalnie nie może ani potwierdzić ani zaprzeczyć, że służba miała związek z próbą likwidacji Prilepina. „Śmierć jest jedyną perspektywą, jaką możemy zaproponować okupantom" – czytamy w opublikowanym wówczas oświadczeniu.

Już nazajutrz niedoszła ofiara opisała w mediach społecznościowych całą sytuację. Według relacji propagandysty bomba wybuchła pod kołem od strony pasażera. Miał być jeszcze drugi ładunek, ale zamachowiec przestraszył się i już po pierwszej eksplozji uciekł. Tak przynajmniej twierdził Prilepin, powołując się na to, co miał usłyszeć od służb. „Straciłem przytomność na trzy minuty, potem się ocknąłem i podczołgałem się do wybitej szyby" – relacjonował. Od razu do samochodu podbiegli okoliczni mieszkańcy. Pomogli rannemu wydostać się z auta. Sąsiadka zaaplikowała mu zastrzyk przeciwbólowy. 9 maja, trzy dni po zamachu, Prilepin złożył „przyjaciołom i rodakom" życzenia z okazji Dnia Zwycięstwa. Kolejne trzy dni później media w Rosji poinformowały, że właśnie ukazała się najnowsza książka pisarza – zbiór, antyukraińskich, rzecz jasna, esejów na temat „specoperacji" pt. Koordynata Z.

Według amerykańskich mediów w ciągu 20 miesięcy ukraińskie służby specjalne przeprowadziły dziesiątki skutecznych zamachów na kolaborantów, zdrajców, rosyjskich oficerów i urzędników na terenach okupowanych

ŚMIERĆ KOLABORANTOM

Kijów na cel wziął nie tylko propagandystów, lecz także dowódców wojskowych. Na początku stycznia Siły Zbrojne Ukrainy zbombardowały podziemny bunkier rosyjskiego dowództwa na Krymie. Pojawiły się niepotwierdzone informacje, jakoby podczas ostrzału zginął gen. Gieasimow. To nie pierwszy raz, gdy rosyjski szef sztabu jest celem Kijowa. Już pod koniec 2022 r. „New York Times", powołując się na swoje źródła, informował, że Stany Zjednoczone próbowały przeszkodzić Ukraińcom w dokonaniu zamachy na Gierasimowa. W kwietniu 2022 r. Amerykanie mieli dowiedzieć się, że na front z inspekcją wybiera się szef sztabu generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Nie podzielili się tą informacją z Ukraińcami w obawie, że ci zorganizują zamach, co mogłoby grozić eskalacją konfliktu. I wciągnięciem do wojny Stanów Zjednoczonych. Kijów jednak sam dowiedział się o wizytacji i zaplanował atak. Gdy Amerykanie poprosili Ukraińców o wstrzymanie akcji, okazało się, że już za późno, bo atak właśnie się rozpoczął. Zginęły dziesiątki Rosjan, ale Gierasimow przeżył.

Mniej szczęścia miał Stanisław Rżycki, były kapitan łodzi podwodnej „Krasnodar", wchodzącej w skład Floty Czarnomorskiej. W 2016 r. zamieszkał na okupowanym Krymie. W lipcu 2022 r. rosyjskie okręty wojenne ostrzelały Winnicę – miasto na centralnej Ukrainie. W ataku zginęło 27 mieszkańców. Według ukraińskich dziennikarzy w ostrzale brał udział „Krasnodar" pod dowództwem Rżyckiego. Ta informacja nie została do końca potwierdzona. Rosyjskie media twierdzą nawet, że Rżycki zwolnił odszedł z wojska jeszcze przed „specoperacją". W czerwcu 2023 r. został zastrzelony podczas joggingu w parku w rosyjskim mieście Krasnodar, w którego administracji wówczas pracował. Sprawcy wyśledzili go prawdopodobnie poprzez aplikację dla biegaczy. Zdarzenia nie zarejestrowała żadna kamera. Do tego zamachu Ukraińcy się nie przyznali, sugerując, że śladu należy szukać w Rosji. Zdaniem amerykańskich mediów Rżycki to kolejna ofiara „ukraińskiego Mosadu".

Na rozkaz Kijowa likwidowani byli też zdrajcy i kolaboranci. 6 grudnia 2023 r. pod Moskwą został zastrzelony Ilja Kywa, prorosyjski polityk ukraiński, który po inwazji uciekł do Rosji. Stał się następnie jedną z twarzy kremlowskiej propagandy, publicznie nawołując do okupacji Ukrainy. Media nad Dnieprem informowały, że za zamachem stoi SBU. „Taki los spotka innych zdrajców Ukrainy, a także marionetki reżimu Putina" – oświadczył rzecznik prasowy HUR Andrij Jusow, potwierdzając, że Kywa został „zlikwidowany". Miesiąc wcześniej w samochodzie pułapce na terenie okupowanego Ługańska zginął Michaił Filiponenko, były szef „milicji ludowej" samozwańczej Ługańskiej Republiki Ludowej, oskarżany o znęcanie się nad ukraińskimi jeńcami wojennymi. Do zamachu przyznał się HUR.

Według amerykańskich mediów w ciągu 20 miesięcy pełnoskalowej wojny, ukraińskie służby specjalne przeprowadziły dziesiątki skutecznych zamachów na kolaborantów, zdrajców, rosyjskich oficerów i urzędników na terenach okupowanych. A także w samej Rosji. Na razie „ukraiński Mosad" nie składa broni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

Armagedon na granicy

Olivier Bault

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia zapowiedział koniec z zawracaniem nielegalnych migrantów na granicy. Do czego to może doprowadzić, pokazuje sytuacja z USA. Tylko w grudniu południową granicę przekroczyło nielegalnie 302 tys. migrantów, najwięcej w historii. W ostatnim kwartale 2023 r. takich przypadków nielegalnego przekroczenia granicy było aż 785 tys.

Za czasów prezydenta Donalda Trumpa, poza słynną rozbudową „muru" wzdłuż 3145 km granicy z Meksykiem, wprowadzono w USA (od stycznia 2019 r.) politykę, zgodnie z którą migrant chcący złożyć wniosek o azyl w USA musiał pozostać w Meksyku do czasu rozpatrywania jego sprawy. Joe Biden nazwał tę politykę „nieludzką" – podobnie jak marszałek Hołownia twierdzi, że pushbacki są „niehumanitarne" – i odwołał ją w pierwszym dniu urzędowania w styczniu 2021 r. Zrezygnował także z dalszej rozbudowy bariery na granicy. Od czerwca 2023 r., wraz z oficjalnym zakończeniem stanu epidemii, zaprzestano także wszelkiego rodzaju pushbacków. Administracja Bidena chciała położyć kres tej polityce już wiosną 2022 r., argumentując, że jest nieefektywna i już nieuzasadniona względami sanitarnymi, ale na wniosek kilku republikańskich prokuratorów stanowych sąd federalny utrzymał ją w mocy jeszcze przez rok.

Wzrost liczby prób przekroczeń granicy był zauważalny od początku prezydentury Bidena i został prawdopodobnie wywołany wcześniejszymi wypowiedziami nowego prezydenta i ludzi z jego obozu, które wytworzyły powszechne przekonanie wśród osób zamierzających wyemigrować do USA, że granica będzie teraz otwarta i nikt ich do domu nie odeśle.

SZEROKIE OTWARCIE

Choć teoretycznie administracja Joe Bidena miała bronić granic lepiej, robiąc to w sposób bardziej humanitarny, to fakty pokazują, że południowa granica USA faktycznie jest szeroko otwarta, pomimo różnych przeszkód i zasieków istniejących na wielu jej odcinkach. W grudniu granicę Meksyku ze Stanami Zjednoczonymi nielegalnie przekraczało średnio ok. 10 tys. migrantów dziennie. Ogólna liczba 302 tys. nielegalnych imigrantów podana przez straż graniczną to tylko ci, którzy zostali zatrzymani (i najczęściej wypuszczeni). O części migrantów wiadomo jedynie z obrazów rejestrowanych przez kamery lub nie wiadomo o nich nic, gdyż żadnego przedstawiciela amerykańskich służb granicznych na swojej drodze nie spotkali. Zdarza się nawet, że kamery rejestrują przejście uzbrojonego migranta, a służby nie są w stanie interweniować z powodu braku wystarczających zasobów. Przez tydzień poprzedzający święta Bożego Narodzenia amerykańska straż graniczna zatrzymała ponad 22 tys. nielegalnych imigrantów tylko w sektorze Del Rio w Teksasie, a jednocześnie wiedziała o 1,6 tys. osób, których zatrzymać się nie udało. Do tych liczb należy dodać zarejestrowanych na długości całej granicy południowej. Tylko w grudniu ponad 50 tys. migrantów próbowało dostać się do USA „po dobroci", zgłaszając się w wyznaczonych punktach granicznych, aby złożyć wniosek o azyl. W sumie w 2023 r. granicę Meksyku ze Stanami Zjednoczonymi nielegalnie przekroczyło ok. 3,3 mln migrantów.

W czasie całej prezydentury Joe Bidena południową granicę nielegalnie przekroczyło już ponad 6 mln migrantów pochodzących z 160 krajów. Nie jest bowiem prawdą, że wszyscy próbujący dostać się nielegalnie z Meksyku do USA pochodzą z Ameryki Południowej i Środkowej. Stanowią oni większość, ale napływają również np. Rosjanie, Ukraińcy, Chińczycy, Hindusi, Afrykanie i ludzie z Bliskiego Wschodu. Przy tym liczba deportacji nielegalnych imigrantów spadła do 72,177 w roku fiskalnym 2022 (od października 2021 r. do września 2022 r.), co stanowi jedną czwartą ogólnej liczby deportacji w roku 2019, ostatnim roku przedpandemicznym za czasów prezydentury Trumpa.

Z tych, którzy zostają zatrzymywani po nielegalnym przekroczeniu granicy, większość puszczana jest wolno, przy czym otrzymują oni wezwanie do stawienia się w sądzie za kilka lat (w skrajnych przypadkach nawet za dziewięć lat) ze względu na natłok takich spraw. Od początku 2021 r. służby amerykańskie wypuściły na terenie USA już ponad 3 mln wcześniej zatrzymanych nielegalnych imigrantów. Nawet w tak ogromnym kraju liczącym ok. 335 mln mieszkańców nie jest to bez znaczenia. Kiedy Joe Biden został prezydentem USA, urząd do spraw imigracji (Immigration and Customs Enforcement) wiedział o 2,4 mln migrantów przebywających na terenie USA po nielegalnym przekroczeniu granicy.

eprasa.pl e333bdb72c

USA przeżywa najgorszy kryzys migracyjny w historii

FOT. BRANDON BELL/GETTY IMAGES

Dziś liczba ta sięga 5,7 mln. Dla porównania: co roku w USA przybywa ok. 1 mln nowych mieszkańców na drodze legalnej imigracji.

Liczba wniosków o azyl oczekujących w kolejce do rozpatrzenia przez sądy amerykańskie zwiększyła się w związku z rekordowym napływem ludzi o ponad 1 mln w przeciągu roku, osiągając zawrotną liczbę 3 mln w listopadzie 2023 r. wobec 1,9 mln we wrześniu 2022 r. Pomimo zwiększenia o ponad 300 liczby sędziów przydzielonych do tego rodzaju spraw decyzją administracji Bidena na jednego takiego sędziego przypadało pod koniec roku przeciętnie ponad 4 tys. spraw. W październiku ubiegłego roku sędziów rozpatrujących wnioski o azyl było 734, a w 2020 r., kiedy prezydentem Stanów Zjednoczonych był jeszcze Donald Trump – 217.

W tym roku rząd federalny zamierza zatrudnić kolejnych 150 sędziów do rozpatrywania spraw migracyjnych, ale to i tak nie wystarczy. Według instytucji badawczej Congressional Research Service amerykańskiego Kongresu nawet jeśli zwiększono by liczbę sędziów rozpatrujących sprawy nielegalnych imigrantów do 1350, to nadrobienie zaległości zajęłoby 10 lat.

Według wewnętrznych danych Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (Homeland Security Department, DHS, czyli amerykańskiego ministerstwa spraw wewnętrznych) przytoczonych na portalu przychylnej demokratom telewizji CBS News „prawie 60 proc. wszystkich migrantów, których napotkała straż graniczna U.S. Border Patrol, w grudniu przedostało się nielegalnie do Stanów Zjednoczonych w odległych sektorach Tucson w Arizonie i Del Rio w Teksasie, gdzie urzędnicy rejestrowali od 2 do 3 tys. nielegalnych przekroczeń każdego dnia [...]. Małe społeczności przygraniczne USA, takie jak Eagle Pass w Teksasie, Jacumba Hot Springs w Kalifornii i Lukeville w Arizonie, nagle stały się głównymi punktami tranzytowymi, w których każdego dnia tysiące migrantów nielegalnie przedostają się do kraju, pomimo zwojów drutu kolczastego lub federalnych murów granicznych na ich drodze. Napływ nielegalnych imigrantów nadwyrężył lokalne i federalne zasoby w tych odległych regionach, skłaniając lokalnych i stanowych urzędników do zwrócenia się o większe wsparcie federalne".

Gazeta „The Hill" podaje, że razem miejscowości Eagle Pass i Del Rio w Teksasie liczą 63 433 mieszkańców, a przewinęło się przez nie przez pierwszych 11 miesięcy roku fiskalnego 2023 r. (od października 2022 r. do września 2023 r.) 347 572 nielegalnych imigrantów. „Eagle Pass ma jeden mały szpital ze 101 łóżkami, który miesięcznie musi pokrywać koszty opieki nad migrantami w wysokości 100 tys. dol. nierefundowane przez rząd federalny" – pisze „The Hill". Migranci przechodzą przez prywatne posiadłości i zostawiają na swojej drodze tony śmieci, co przypomina doświadczenie węgierskich miejscowości położonych na granicy z Serbią latem 2015 r. – w czasie wielkiego europejskiego kryzysu migracyjnego na trasie bałkańskiej.

Część tych nielegalnych imigrantów udaje się dalej do wielkich miast, takich jak Denver, Chicago czy Nowy Jork. Miasto Nowy Jork zamieszkane przez 8,3 mln ludzi przyjęło już prawie 120 tys. dodatkowych migrantów od wiosny 2022 r. Burmistrz Nowego Jorku, demokrata Eric Adams, wystosował we wrześniu ub.r. dramatyczny apel o pomoc do władz federalnych, twierdząc: „Nigdy wcześniej w moim życiu nie miałem do czynienia z problemem, którego końca nie widziałem, a końca tego problemu nie widzę. Problem ten zniszczy miasto Nowy Jork".

Sam republikański gubernator Teksasu wysyła całe autobusy czy samoloty wypełnione migrantami do miast rządzonych przez „dobrodusznych" demokratów, jak np. właśnie Nowy Jork czy Chicago, Washington, Philadelphia i Los Angeles. Na krytykę ze strony burmistrzów tych miast, mówiących, iż masowy napływ bezrobotnych, bezdomnych imigrantów przekracza ich możliwości przyjmowania, gubernator Greg Abott odpowiada: „Głównym importerem migrantów do Nowego Jorku nie jest Teksas, ale Joe Biden". Dlatego też Abott w jednym przypadku zorganizował transport migrantów do rezydencji wi-

eprasa.pl e333bdb72c

ceprezydentowej Kamili Harris. Pomysł być może wart zapamiętywania i naśladowania, jeśli kolejne sygnały polskiej gościnności i polskiego humanitaryzmu wysyłane w świat przez marszałka Hołownię oraz premiera Donalda Tuska – poprzez zgodę na nowy unijny mechanizm relokacji migrantów – zaowocują zalewem nielegalnych imigrantów na granicy Polski z Białorusią (lub z południa w ramach relokacji).

W grudniu Teksas przyjął nową ustawę, która ma wejść w życie na początku marca i która ma umożliwić stosowanie kary więzienia za przestępstwo nielegalnego przekroczenia granicy wobec migranta, który odmówi natychmiastowego powrotu na meksykańską stronę. O ile pierwsza próba przekroczenia granicy podlegałaby karze pół roku pozbawienia wolności, o tyle kolejna próba mogłaby skończyć się wyrokiem do 20 lat więzienia. Jednak amerykańskie i teksańskie organizacje lewicowe zaskarżyły tę ustawę do sądu i nie wiadomo jeszcze, jakie będą jej losy.

W ostatnich dniach grudnia administracja Bidena ostrzegła również władze Teksasu, że rząd federalny poda władze stanowe do sądu, jeśli będą zatrzymywać i deportować nielegalnych imigrantów.

TERRORYŚCI I PRZESTĘPCY

Tylko w listopadzie ubiegłego roku w 17 przypadkach amerykańskie służby napotkały, przy próbach nielegalnego przekroczenia południowej granicy, osoby wpisane na listę potencjalnych terrorystów. W tzw. roku fiskalnym 2023 takich osób było 169. To nie tylko więcej niż poprzedni rekord z roku fiskalnego 2022 (98 osób), lecz także więcej niż przez ostatnich sześć lat fiskalnych razem wziętych.

Jak można było przeczytać w opublikowanym we wrześniu raporcie Departamentu ds. Bezpieczeństwa Wewnętrznego (Department of Homeland Security) rządu federalnego, „osoby mające powiązania z terroryzmem są zainteresowane korzystaniem z istniejących tras podróży i liberalnego otoczenia", a „terroryści i przestępcy mogą wykorzystać zwiększony przepływ ludzi i coraz bardziej złożoną sytuację w zakresie bezpieczeństwa, aby dostać się do Stanów Zjednoczonych".

Niektórzy eksperci twierdzą, że nie powinno się już zadawać pytania, „czy" dojdzie w USA do ataków terrorystycznych na wielką skalę, jak te z 11 września 2001 r., ale „kiedy" to się stanie.

Terroryzm i rosnąca przestępczość to niejedyne problemy związane z masowym napływem nielegalnych imigrantów. Pierwszą przyczyną śmierci w grupie wiekowej 18–45 lat w Stanach Zjednoczonych jest od kilku lat zażywanie jako narkotyku silnie uzależniającego środka przeciwbólowego o nazwie fentanyl (środek przeciwbólowy używany do znieczuleń). Jego składniki są często sprowadzane z Chin i przetwarzane przez meksykańskie kartele. Potem przemysłowo przemyca się go przez południową granicę Stanów Zjednoczonych. Mieszany z innymi związkami zamienia ludzi w zombi, a bardzo łatwo go przedawkować. Według oficjalnych danych amerykańskiej administracji 107 735 Amerykanów zmarło w okresie od sierpnia 2021 r. do sierpnia 2022 r. z powodu zatruć narkotykami, przy czym 66 proc. tych zgonów nastąpiło w wyniku zażywania syntetycznych opioidów, takich jak fentanyl. Gdy codziennie granicę przekracza nielegalnie ok. 10 tys. ludzi, nie sposób kontrolować napływu nielegalnych, niebezpiecznych substancji na amerykański rynek.

Do wyborów prezydenckich zostało tylko 11 miesięcy, tymczasem kolejne badania wskazują na spadek popularności Bidena, m.in. z powodu jego polityki imigracyjnej. Na przykład badanie Monmouth University z połowy grudnia pokazuje, że 61 proc. Amerykanów ma złe zdanie na temat osiągnięć amerykańskiego prezydenta (34 proc. ma pozytywne zdanie). Natomiast jeśli chodzi o jego politykę imigracyjną, to aż 69 proc. badanych ocenia ją źle (w tym połowa wyborców Partii Demokratycznej), a zatem więcej niż jego działania w sferze walki z inflacją czy ze zmianami klimatu. „Kraj jest już przepełniony" – powiedział w ostatnim dniu roku w telewizji CBS republikański senator Lindsey Graham.

Jednocześnie obiecał, że republikanie w Kongresie zgodzą się na wysyłanie dalszej pomocy Ukrainie, jeśli Biały Dom zaakceptuje zmianę polityki Stanów Zjednoczonych w sferze imigracji i ochrony granic. W momencie pisania tego tekstu spór, ciągnący się od wielu tygodni, wciąż trwał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

Niemcy, Rosja dwa bratanki

Jan Bogatko z Berlina

To tylko z pozoru zagadka. Skąd się bierze wzajemna miłość niemiecko-rosyjska? Czy ona naprawdę istnieje? Jeśliby odpowiedzieć na to pytanie twierdząco, to rodzi się następne: Czy to jest miłość czy to jest kochanie? Czy zjawisko to ma charakter tylko regionalny czy raczej ogólnoniemiecki? Jak głęboko sięga ono historycznie i środowiskowo?

W Urzędzie Kanclerskim w Berlinie na biurku kanclerz Angeli Merkel stał miedzioryt carycy Katarzyny II, zwanej w Niemczech Wielką. Mówiono, że konterfekt niemieckiej księżniczki na rosyjskim tronie był podarunkiem od Władimira Putina, prezydenta Rosji. Wymowa polityczna prezentu wydaje się oczywista. Prasa w Niemczech pisała wówczas o „pokrewnych duszach” obu pań, tej z Berlina i tej z Moskwy, nie precyzując dokładniej – a szkoda – tego pokrewieństwa.

Angela Merkel była oczarowana pułkownikiem KGB z Drezna za czasów sowieckich. Mogła z nim swobodnie rozmawiać w języku Goethego, a ściślej Honeckera. A język przecież ułatwia komunikację.

OD POCZDAMU

Rosja, budzące się imperium, i Prusy, powstająca potęga na kontynencie, w czasach carycy Katarzyny II i króla w Prusiech (a niebawem już króla Prus) Fryderyka II z powodów geografii politycznej zapałały do siebie wzajemnym uczuciem, którego zwiastuny pojawiły się już znacznie wcześniej, o czym świadczy tajny protokół prusko-rosyjski dotyczący Polski z Poczdamu. Konwencja rosyjsko-pruska z 17 lutego 1720 r. stanowi, że Rosja i Prusy wspólnie decydować będą o Polsce. Była to odpowiedź na umowę wiedeńską z 1719 r., w której Saksonia, Austria i Anglia deklarowały utrzymanie niezależności Rzeczypospolitej. Rosja i Prusy opowiedziały się za utrzymaniem takiego ustroju Polski, który gwarantował niemoc państwa i ułatwiał ingerencję zewnętrzną oraz przeciwstawianie się wszelkim próbom reform w państwie polskim (podobnie do aktualnej sytuacji, w której znajduje się Polska). Konwencja rosyjsko-pruska w Poczdamie to początek późniejszego, trwającego do dziś romansu niemiecko-rosyjskiego.

Aby liaison prusko-rosyjskie stało się głębszym uczuciem na kolejne dekady, Prusy, księstwo lenne powstałe z woli króla Polski Zygmunta Starego na gruzach oszczędzonego po bitwie pod Grunwaldem przez Władysława Jagiełłę państwa krzyżackiego, musiały najpierw przekształcić się w Niemcy. Prusy stawały się tymczasem pokojowo lub zbrojnie na obszarze kultury niemieckiej siłą wiodącą: one to – była kolonia na ziemi Prusów, byłe lenno korony polskiej – grały

eprasa.pl e333bdb72c

teraz pierwsze skrzypce w grzmiącym na politycznej scenie concerto tedesco. Wreszcie w Nowy Rok, 1 stycznia 1871 r., powstało cesarstwo niemieckie (zwane II Rzeszą). 18 stycznia 1871 r. w Sali Lustrzanej pałacu w Wersalu król Prus Wilhelm I ozdobił skroń koroną cesarza. Do cesarstwa przyłączono Alzację i Lotaryngię, podporządkowując je bezpośrednio nowemu władcy. Powstałe nie bez udziału Ottona von Bismarcka nowe imperium przetrwało do końca pierwszej wojny światowej, uważanej przez konserwatywnych (i nie tylko) niemieckich (i nie tylko) historyków za kardynalny błąd, do którego Bismarck, architekt przyjaźni niemiecko-rosyjskiej, zapewne nigdy by nie dopuścił. Niemcy po zjednoczeniu i koronacji Wilhelma I w Wersalu zyskały nową pewność siebie, jakiej dotąd w dziejach raczej nie znały. Ten fenomen powtórzył się po zjednoczeniu Niemiec 3 października 1990 r.

A przecież jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku Niemcy, mieszkający w bogatej i dzięki amerykańskiemu parasolowi demokratycznej Republice Federalnej Niemiec, uważali NRD („DDR” – jak pisali lekceważąco, zawsze w cudzysłowie, o sowieckiej strefie okupacyjnej) za obce państwo! Zwyczaj ten zarzuciły znane ze swej wrażliwości zachodnioniemieckie media dopiero w przededniu upadku „pierwszego pokojowego państwa niemieckiego robotników i chłopów”. Mimo prosowieckich tzw. marszów wielkanocnych, których celem było jednostronne rozbrojenie Niemiec, a w zasadzie Zachodu. Mimo przypadków ledwie ukrywanego zachwytu nad działaniem Frakcji Armii Czerwonej (RAF) – bojówki terrorystycznej, utrzymywanej przez Sowiety za pośrednictwem NRD-owskich aktywistów). Niemcy to był Zachód, reszta – to Rosja.

Zresztą sam Konrad Adenauer, patrząc na wschodni brzeg Renu, mówił – dzisiaj się mówi, że żartem – „to Syberia”. RFN tu, NRD tam, ale dla niemieckiej polityki w Bonn Rosja nadal była tytularnym sąsiadem Niemiec. Bardzo wyraźnie dochodziło to do głosu w sytuacjach konfliktowych, jak np. podczas karnawału Solidarności w Polsce i ogłoszenia przez Wojciecha Jaruzelskiego stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Fakt ten wywołał uczucie ulgi w Bonn. I znowu „porządek panuje w Warszawie”!

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

Niemcy panicznie bały się naruszenia wypracowanej z takim trudem zasady „pokojowego współżycia” z Rosją

PANICZNY STRACH

To nie przesada. Niemcy panicznie bały się naruszenia wypracowanej z takim trudem zasady „pokojowego współżycia” z Rosją. Drażnienie niedźwiedzia mogłoby zaszkodzić kruchym regułom gry obowiązującym w relacjach między Bonn a Moskwą i Warszawą. Tymczasem dla zdecydowanej większości ówczesnych niemieckich polityków (w RFN!) i intelektualistów Polacy to beztalencia organizacyjne, którzy są z realiami na bakier i żyją mitami. Niewiele się ta ocena zmieniła od czasów Fryderyka II, nazywanego w Polsce dziś „Wielkim”.

To rasistowskie spojrzenie na Polskę kultywował socjalistyczny (SPD) kanclerz Niemiec z tych lat, Helmut Schmidt. W rozmowie z sekretarzem stanu USA Alexandrem Haigiem, przeprowadzonej wówczas na temat stanu wojennego w Polsce, Schmidt wyraził wątpliwości co do „zdolności organizacyjnych narodu polskiego, ze względu na jego inklinacje do romantyzmu”. Zorganizowanie przez „beztalencia organizacyjne” 10-milionowego ruchu Solidarności, który w efekcie doprowadził do załamania się systemu sowieckiego w Europie (lecz nie do upadku komunizmu) i umożliwił zjednoczenie Niemiec, uszło najwyraźniej uwagi wybitnego męża Realpolitik. Niemcy Zachodnie wspierały finansowo NRD i PRL, co wynikało z umów dwustronnych, a z perspektywy Bonn było wyrazem „dobrosąsiedzkich relacji” z Sowietami.

Wprowadzenie stanu wojennego w Polsce nie spowodowało wzrostu napięć w stosunkach Niemiec Zachodnich z NRD i z Sowietami. Wręcz przeciwnie, kanclerz Niemiec ogłosił jedynie, że problemy w Polsce muszą zostać rozwiązane „bez mieszania się kogokolwiek z zewnątrz”. To znaczy, że Polskę należy zostawić na pastwę Sowietów.

TEMAT TABU

Układ Ribbentrop-Mołotow (a w zasadzie pakt Hitler-Stalin) był latami tematem tabu. Szczególnie w sowieckiej Polsce. Zwłaszcza w kwestii tzw. protokołu dodatkowego. Jego ogólna treść znana była według różnych źródeł zachodnim wywiadom, ale nie podzieliły

eprasa.pl e333bdb72c

się one posiadaną wiedzą z Polską. Nigdy się nie dowiemy, jakie mogłyby być reakcje Warszawy na ten fakt. Artykuły zamieszczone w prasie nowych sojuszników w Moskwie i w Berlinie podnosiły wysoko sztandar braterstwa broni, przypominając wspólne lata antypolskiej i przynoszącej sojusznikom namacalne korzyści polityki Niemiec i Rosji.

Jedno uchodzi za pewne: bez układu III Rzesza-Sowiety Hitler nie napadłby na Polskę. Przekonywał mnie o tym na zamku Kreuzberg Philipp von Boeselager, pułkownik Wehrmachtu należący do elity oficerskiej w ówczesnym Berlinie, uczestnik (wraz ze swym bratem, Georgiem) sprzysiężenia przeciwko Hitlerowi z 20 lipca 1944 r. Rosjanie i Niemcy padali sobie w ramiona po pobiciu Polski. Zdjęcia bratających się żołnierzy Armii Czerwonej i Wehrmachtu z podbitego Brześcia nad Bugiem poszły w świat. W Niemczech wydano okolicznościową książeczkę z nową mapą podzielonych między III Rzeszę i ZSRS ziem polskich (Bibliographisches Institut AG, Leipzig). A na niej widniała linia demarkacyjna z 22 września 1939 r. Po stronie ukraińskiej pozostawiała ona nie tylko Lwów, lecz także Lublin; Warszawa – Praga to z kolei Białoruś, tak jak Brześć nad Bugiem. Ostateczny przebieg granicy przyjaźni między Niemcami i Rosją, skorygowany na rzecz III Rzeszy, był w końcu nieco inny. Wreszcie Niemcy skapitulowały, a Rosja, współautor wybuchu najstraszniejszej wojny XX w., wyszła z niej jako zwycięzca.

Ale – co bardzo zastanawiające – nadal pozostała… sąsiadem Niemiec, mimo że między Rosją a Niemcami leży Polska. Ale z kim graniczą Niemcy? Może też z kim chcą, jak w tym mało dowcipnym wicu o Rosji? Na szczęście nie brak Niemców, którzy się z tego rzekomego „niemiecko-rosyjskiego sąsiedztwa” śmieją. No, może poza Manuelą Schwesig z SPD, premierem Meklemburgii-Pomorza Przedniego i prezydentem Bundesratu (Izby Landów) od listopada 2023 r., orędowniczki realizacji kontrowersyjnego projektu Gazpromu Nord Stream 2. „Niemcy patrzą na wschód: legenda o Rosji, naszym sąsiedzie – pisał w listopadzie 2014 r. komentator berlińskiej gazety „Tagesspiegel”, Christoph von Marschall – wielu Niemców uważa Rosję za naszego sąsiada i partnera. Z tej perspektywy irytujące nas obawy Polaków, Bałtów i Ukraińców są najwidoczniej drugorzędne”.

Bez Polski nie można rozmawiać o Europie Środka, zwanej przez sympatyków imperializmu Wschodnią

Komentator berlińskiego dziennika zwraca uwagę na zagadki, które zadają Niemcy swym sąsiadom. Czasem – pisze Marshall – wydają się oni surowi i dokładni, czasem romantyczni. „Z Berlina do Dublina jest 1700 kilometrów. Po drodze trzeba przekroczyć trzy granice. Ilu Niemców wpadnie na pomysł, żeby nazwać Irlandczyków naszymi sąsiadami?”. Rosyjski sąsiad to wspomnienie historii sprzed roku 1914. Wspomnienie wspólnej granicy, której Niemcy z Irlandią nigdy nie posiadały. Przyznanie się do tego jest trudne i zapewne bolesne.

TAJNY TELEKS

Jednak o mały włos legenda o „rosyjskim sąsiedzie” (wprawdzie na krótko) mogła stać się faktem. Magazyn „Der Spiegel” donosił o ofercie Sowietów, która dopiero teraz, z 20-letnim opóźnieniem, została upubliczniona. Niemiecki tygodnik utrzymuje, że 2 lipca 1990 r. do ambasady Niemiec w Moskwie nadszedł tajny teleks. Generał major Geli Batenin (ekspert wojskowy KC KPZR) – jak podaje „Spiegel” – zaoferował Niemcom podjęcie rokowań na temat statusu północnych Prus Wschodnich” (Polsce po drugiej wojnie światowej przyznano tylko część południową dawnego polskiego lenna Prus Książęcych). Niemcy mieli zaniechać podjęcia rozmów z obawy przed zaszkodzeniem negocjacjom zjednoczeniowym. Kanclerz Helmut Kohl nie odpowiedział na sowiecką ofertę i w ten sposób Sowiety (które wówczas jeszcze istniały) nie uzyskały znów granicy z Niemcami.

Kwestia rzekomego „sąsiedztwa niemiecko-rosyjskiego” wypłynęła także podczas sporu między sympatyczką Władimira Putina, znaną i przez wielu w Niemczech lubianą dziennikarką, byłą korespondentką stacji telewizyjnej ARD w Moskwie Gabriele Krone-Schmalz a Franziską Davies, historykiem Europy Wschodniej. Druga z pań nazwała pierwszą „dezinformatorką” (chodziło o wykład na temat Rosji), co skończyło się procesem, który nie okazał się raczej szczęśliwy dla gwiazdy niemieckiej telewizji. Warto przypomnieć w tym miejscu rozmowę z Davies na łamach berlińskiej, lewicowej i niesprzyjającej raczej Polsce gazety Tageszeitung:

„TAZ: Pani Davies, w ostatnich dekadach niemiecka polityka wobec Rosji charakteryzowała się przede wszystkim uwzględnianiem jej interesów. Obawy dotyczące bezpieczeństwa ze strony państw sąsiedzkich, takich jak Ukraina czy kraje bałtyckie, okazały się nieistotne [TAZ pomija Polskę, jak to ma w zwyczaju – przyp. J.B.]. Czy jako historyk może to pani wytłumaczyć?

Franziska Davies: Czyta się nawet takie rzeczy jak »nasi rosyjscy sąsiedzi«. Rosja nie jest naszym sąsiadem. Ale tak było. A dokładniej – Imperium Rosyjskie od czasów rozbiorów Polski pod koniec XVIII w. Cały XIX w. charakteryzował się tym, że cesarstwa rosyjskie i niemieckie były dwiema potęgami imperialnymi w Europie Wschodniej, które nie unikały konfliktów, ale uznawały się za równe sobie mocarstwa. Łączyła ich polityka antypolska, gdyż w ich interesie było to, aby Polska nie odzyskała już własnego państwa. Pewną kontynuację tej tradycji widać w pakcie Hitlera ze Stalinem z sierpnia 1939 r.”.

Ta wypowiedź musiała dać „Tageszeitung” wiele do myślenia. Bez Polski nie można rozmawiać o Europie Środka, zwanej przez sympatyków imperializmu Wschodnią. Jasne, to też spadek po „dobrym sąsiedztwie” Niemiec i Rosji. Wschodnia, czyli rosyjska. Wschodnia, czyli sowiecka. Wschodnia, czyli blok wschodni. Nikt nie wpadnie na pomysł, by umieścić w Europie Wschodniej Finlandię czy Grecję. Takim samym wyrazem imperializmu jest określanie Litwy, Łotwy czy Estonii jako „kraje bałtyckie”. To dawna rosyjska pribałtyka! Taki nadmorski przywiślański kraj. Bo krajami bałtyckimi są i Finlandia, i Polska, a także Szwecja czy po części Niemcy.

Dyskusja o bratankach dopiero się rozpoczyna.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

FOT. STEVE GRANITZ/FILMMAGIC/GETTY IMAGES

KOMISJA LICZY NA GWIAZDĘ MUZYKI

Wiceszef Komisji Europejskiej Margaritis Schinas poinformował, że poprosił o pomoc w podniesieniu frekwencji wyborczej w wyborach do Parlamentu Europejskiego, które odbędą się w czerwcu. O pomoc zwrócił się do Taylor Swift. Bo gwiazda amerykańskiej muzyki w ubiegłym roku na Instagramie, gdzie obserwuje ją 270 mln osób, zachęciła fanów, by brali udział w wyborach prezydenckich w USA.

NIEMCY POPIERAJĄ POLSKI RZĄD

W Polsce trochę problemów. Na przykład sąd nie wpisał nowych władz TVP do rejestru, więc okazało się, że przejęcie mediów publicznych nie za bardzo było do tej pory praworządne. Niemcom się to jednak podoba. Manfred Weber, szef Europejskiej Partii Ludowej w europarlamencie, oświadczył: „W pełni popieramy działania nowego, proeuropejskiego rządu, dążące do zakończenia kryzysu praworządności". Kto by tam się przejmował. Niemcy popierają.

BREIVIK POZYWA NORWEGIĘ

Andreas Breivik, który jako zamachowiec w 2011 r. odebrał życie 77 osobom, odbywa karę 21 lat więzienia – bo to najwyższy wyrok, jaki przewiduje norweskie prawo – w luksusowych warunkach. Co jakiś czas ma jednak uwagi, np. nie podobała mu się przestarzała konsola do gier. Tym razem pozwał państwo za to, że nie ma kontaktu z innymi osadzonymi. Jego zdaniem to naruszenie praw człowieka.

SKAZANY ZA POLUBIENIE WPISU

Jauhien Achremienka, szef wydziału sportu i turystyki komitetu wykonawczego rejonu żłobińskiego na Białorusi, polubił w mediach społecznościowych zdjęcie, na którym funkcjonariuszom KGB złożono prześmiewcze życzenia z okazji „Dnia Niekompetencji". Został skazany za to, że pomagał w ten sposób poszerzać grono odbiorców „treści ekstremistycznych".

ZAMASKOWANI W TELEWIZJI

W ekwadorskiej telewizji jest ciekawiej niż w polskim TVP. U nas tylko dwaj prezesi naraz uważają, że rządzą, a w Ekwadorze do studia TC Television weszli zamaskowani bandyci z pistoletami i postrzelali na wizji, po czym ogłosili, żeby „nie zadzierać z mafią". W tym kraju z więzienia zbiegł właśnie najgroźniejszy osadzony José Adolfo Macías Villamar ps. Fito. Szukają go setki policjantów, a prezydent wprowadził stan wyjątkowy. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Historyczny bój o Amerykę

Pierwsza runda prawyborów w amerykańskim stanie Iowa, w poniedziałek 15 stycznia, rozpocznie nowy rozdział w jednej z najdroższych i najważniejszych kampanii wyborczych w historii USA.

W wyścigu o republikańską nominację wciąż bezkonkurencyjnie prowadzi Donald Trump, który – według wszystkich sondaży – w prawyborach w Iowa powinien odnieść wyraźne zwycięstwo. Do ostatnich dni o drugie miejsce w Iowa zacięcie walczyło dwoje kandydatów: elokwentny, opanowany i... piekielnie nudny gubernator Florydy Ron DeSantis oraz dużo bardziej od niego charyzmatyczna była ambasador USA przy ONZ Nikki Haley. Niewykluczone, że wkrótce połączą oni siły. Haley – która w New Hampshire jest już tylko kilka punktów procentowych za Trumpem – nie wyklucza bowiem, że DeSantis mógłby zostać jej kandydatem na wiceprezydenta.

Wynik wyborów w USA od dawna jest istotny dla całego świata. Tak było choćby w latach 2020, 2016 czy 2012 – gdy zmiany w Białym Domu wpływały istotnie na układ sił w Europie czy na Bliskim Wschodzie. Dawno już stawka wyborów w USA nie była jednak dla losów świata tak wysoka jak w tym roku. W listopadzie na ich wyniki czekać będą zarówno kluczowi politycy w Polsce, Niemczech, we Francji, na Węgrzech, Ukrainie czy Tajwanie, jak i przywódcy Rosji, Chin i Iranu. Na razie perspektywa powrotu Trumpa do Białego Domu wydaje się bardzo prawdopodobna. Były prezydent w ogólnokrajowym sondażu Reutersa i Ipsosu miał poparcie na poziomie 49 proc., tymczasem na drugą w tym wyścigu Nikki Haley chciało głosować zaledwie 12 proc. republikańskich wyborców, a na DeSantisa 11 proc.

eprasa.pl e333bdb72c

Chińskie BYD wyprzedziło Teslę

Wang Chuanfu firmę BYD założył w 1995 r.

FOT. AP/NG HAN GUAN/EAST NEWS

Jacek Przybylski

Chiński miliarder to nowa gwiazda globalnej motoryzacji. Wang Chuanfu jest bowiem autorem sukcesu firmy BYD, która zepchnęła z pierwszego miejsca podium amerykańską Teslę pod wodzą Elona Muska

Mniej mów, więcej pracuj – to dewiza chińskiego menedżera, którą zdradził w wywiadzie dla bliskowschodniego wydania magazynu „Forbes" już pod koniec 2022 r. Wang Chuanfu pod tym względem stanowi całkowicie przeciwieństwo amerykańskiego ekscentrycznego miliardera. Jego cicha praca sprawiła, że samochody BYD już w pierwszej połowie 2022 r. sprzedawały się lepiej niż Tesla (BYD sprzedało wówczas 641 tys. sprzedanych aut elektrycznych i hybrydowych, a Tesla jedynie 564 tys.). W ostatnim kwartale 2023 r. chińska spółka BYD z siedzibą w Shenzhen stała się zaś największym na świecie producentem aut elektrycznych. Pod względem liczby sprzedanych aut całkowicie elektrycznych Chińczycy wyprzedzili tym samym wieloletniego króla elektryków, czyli kierowaną przez Elona Muska Teslę.

CHIŃSKI SEN

Urodzony w roku 1966 Wang Chuanfu – który jako nastolatek stracił rodziców i wychował się pod opieką starszego rodzeństwa – studiował metalurgię i chemię fizyczną na Central South University. Ukończył także Pekiński Instytut Metali Nieżelaznych. Pochodzący z rodziny ubogich farmerów chemik przez kilka lat pracował w państwowych instytutach badawczych. I chociaż państwowy etat mógłby mu zapewnić bezpieczną posadę na całe życie, to młody Wang Chuanfu chciał od życia czegoś więcej.

W 1995 r. przeniósł się do Shenzhen – gdzie władze w Pekinie uruchomiły pierwszą specjalną strefę ekonomiczną – i założył firmę BYD. Spółka swą nazwę wzięła od pierwszych liter słów Build Your Dreams (Twórz swoje sny). Miał

eprasa.pl e333bdb72c

wówczas zaledwie 29 lat, zatrudniał 20 pracowników i dysponował kapitałem założycielskim w wysokości 2,5 mln juanów (równowartość 1,379 mln zł). Trzeba przyznać: chiński menedżer bardzo szybko spełnił swoje marzenia. Spółka, która zajmowała się początkowo tylko produkcją akumulatorów do telefonów komórkowych, w 1997 r. sprzedawała już baterie o łącznej wartości 100 mln juanów rocznie.

BYD był tańszy niż konkurencja, gdyż zamiast inwestować w linie produkcyjne pełne nowoczesnych robotów, na pierwszym etapie rozwoju wykorzystał najpotężniejsze zasoby Chin: tanią siłę roboczą. Kryzys finansowy w końcu XX w. sprawił, że wielu konkurentów musiało ogłosić bankructwo. Tymczasem bazująca na niewielkich kosztach działalności firma BYD szybko się rozrastała, stając się międzynarodowym gigantem. W 2002 r. BYD debiutowała na giełdzie papierów wartościowych w Hongkongu, a w roku 2003 spółka zdobyła pierwsze miejsce na podium wśród producentów akumulatorów niklowo-kadmowych (NiCD), używanych wówczas powszechnie w telefonach komórkowych.

Wang Chuanfu z firmy zatrudniającej 20 osób zrobił globalną potęgę z ponad 500 tys. pracowników

„WYPRODUKOWANO W CHINACH"

Aspirację założyciela – który pomimo olbrzymiego sukcesu nadal jadał w firmowej stołówce i mieszkał w należącym do BYD kompleksie mieszkaniowym – były jednak jeszcze większe. W 2003 r. Wang Chuanfu kupił więc za 269 mln juanów niewielką, podupadającą państwową chińską firmę motoryzacyjną Qinchuan Automobile. Już dwa lata później firma BYD zaczęła oferować kilka modeli samochodów, a w grudniu 2008 r. wprowadziła na chiński rynek hybrydę F3DM, stanowiącą tańszą alternatywę dla modeli japońskich marek. Do inwestycji w swoją firmę przekonał międzynarodowych analityków, a także zachodnich inwestorów, w tym przedstawicieli słynnego funduszu inwestycyjnego Berkshire Hathaway, kierowanego przez legendarnego Warrena Buffeta. Wang Chuanfu obiecywał, że jest w stanie utrzymać wysokie tempo rozwoju swojej firmy. I już w pierwszej dekadzie obecnego wieku głośno zapowiadał, że BYD stanie się największym producentem samochodów do roku 2025.

NIEZNANY KRÓL MOTORYZACJI

Cel osiągnął nieco szybciej, niż zakładał, choć w 2011 r. Elon Musk wyśmiał publicznie modele produkowane przez BYD i stwierdził, że chińska spółka nie stanowi dla kierowanej przez niego Tesli żadnego zagrożenia. „Widzieliście ich samochody?" – drwił wówczas założyciel Tesli. „Nie sądzę, by były szczególnie atrakcyjne, również technologia nie jest na zbyt wysokim poziomie. A BYD jako firma ma dość poważne problemy w rodzimych Chinach" – dodał Musk w wywiadzie dla Bloomberga, radząc szefom

REKLAMA

KSIĄŻKA DOSTĘPNA W KSIĘGARNIACH!

WYDAWNICTWO RM

Stawiam w tej książce tezę, że główne zasady, na których oparta była myśl prawicowa czy konserwatywna, w ostatnich latach uległy znaczącej erozji. Prawica (nie tylko zresztą ona) znalazła się w sytuacji, w której to, co stanowiło o jej tożsamości, wyparowało, podobnie jak cały stary porządek świata. Owszem, można iść do muzeum, zobaczyć, jak kiedyś wyglądały mieszkania, domy, stroje, ale potem wychodzimy na ulicę – i wszystko jest inne, nowe, nie przypomina niczego, co znali nasi dziadkowie. A wraz z rewolucją technologiczną zmiany nieustannie przyspieszają.

– autor książki, Michał Szułdrzyński

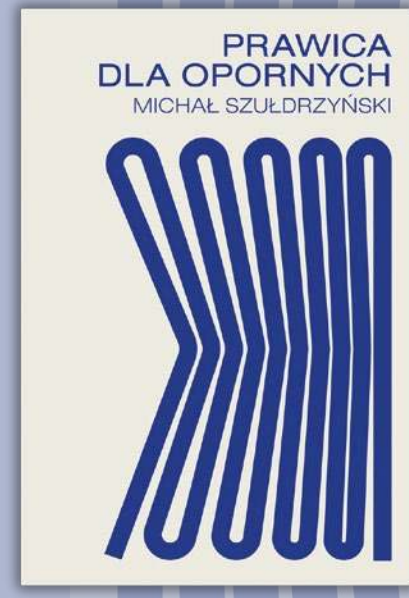

WWW.RM.COM.PL

eprasa.pl e333bdb72c

konkurencyjnej spółki, aby skupili się na przetrwaniu na chińskim rynku.

Tymczasem BYD nie tylko przetrwała, lecz także już w 2013 r. była 10. największym producentem samochodów osobowych na chińskim rynku ze sprzedażą wynoszącą ponad pół miliona rocznie. Od 2015 r. spółka dominowała już na chińskim rynku.

W marcu 2020 r. chińscy inżynierowie opracowali akumulator znany jako Blade Battery, z długimi ogniwami LFP pełniącymi rolę szkieletu. Nowe rozwiązanie miało na celu zmniejszenie obaw dotyczących bezpieczeństwa akumulatorów stosowanych w pojazdach elektrycznych. Szybko baterie tego typu pojawiły się nie tylko w modelach BYD, lecz także w elektrykach produkowanych przez różne marki z całego świata (baterie od BYD kupowali m.in. tacy giganci jak Toyota czy Tesla). Wang Chuanfu najwyraźniej wyciągnął również wnioski z krytyki Elona Muska i poza rozwojem nowoczesnych technologii używanych w akumulatorach zainwestował również we wzornictwo oraz w jakość sprzedawanych samochodów. Dzięki temu – jak zauważył portal CNBC – chińska spółka, która w 2020 r. sprzedała na świecie 131 tys. całkowicie elektrycznych samochodów, w roku 2023 zdołała podnieść wielkość sprzedaży do 1,57 mln (sic!) egzemplarzy e-aut. Jednocześnie firma BYD nadal ma w ofercie samochody hybrydowe (PHEV). W 2023 r. spółka pochwaliła się, że jako pierwsza na świecie przekroczyła próg 5 mln sztuk wyprodukowanych samochodów elektrycznych. Wang Chuanfu stworzył tym samym z BYD spółkę zatrudniającą ponad 130 tys. pracowników.

Recepta na sukces? Jak zauważył portal Economic Times, chiński potentat motoryzacyjny ma możliwość oferowania tańszych niż konkurencja pojazdów elektrycznych, ponieważ sam wytwarza większość używanych w produkcji komponentów. Taka polityka pozwala firmie oferować szeroką gamę pojazdów w niskich cenach i wchodzenie na nowe rynki zbytu pod przekornym hasłem reklamowym: „Największy producent samochodów, o którym nigdy nie słyszałeś". Najtańszy model tej firmy oferowany w Chinach kosztuje równowartość ok. 40 tys. zł, podczas gdy Tesla Model 3 jest trzykrotnie droższa.

1,57 mln

TYLE EGZEMPLARZY AUT ELEKTRYCZNYCH SPRZEDAŁA W 2023 R. CHIŃSKA BYD

Spółka zarządzana przez Wanga Chuanfu konsekwentnie z roku na rok nie tylko zwiększa produkcję oraz sprzedaż, lecz także konsekwentnie osiąga coraz wyższe zyski.

ZŁOTO XXI WIEKU

Chiny to największy rynek samochodów elektrycznych. Chiński elektryczny smok coraz śmielej rozpycha się również na innych kontynentach. BYD sprzedaje swoje samochody zarówno w Azji (w południowo-zachodniej części tego kontynentu ma ponad 40 proc. udziału w rynku e-aut), jak i w Afryce oraz Europie. Według raportu EV Volumes udział BYD w globalnym rynku samochodów hybrydowych w pierwszych trzech kwartałach 2023 r. wyniósł 21,9 proc. (rok wcześniej było to 17,3 proc.), a w światowym rynku aut całkowicie elektrycznych (BEVs) wyniósł 15,9 proc. (wzrost z 11,9 proc. rok wcześniej).

Według europejskich urzędników ogromny sukces BYD i innych chińskich firm wynika nie tylko z przyjętych strategii biznesowych, lecz także z gigantycznej pomocy chińskich władz dla spółek produkujących samochody elektryczne. Z oficjalnych danych celnych wynika, że tylko w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy 2023 r. liczba egzemplarzy nowych pojazdów elektrycznych oraz samochodów hybrydowych, które trafiły na teren Unii Europejskiej z Chin (nie tylko BYD, lecz także innych chińskich marek), wzrosła aż o 112 proc. w porównaniu z tym samym okresem roku 2022 i aż o 361 proc. w porównaniu z rokiem 2021.

Komisja Europejska w 2023 r. wszczęła już nawet oficjalne postępowanie antysubsydyjne przeciwko chińskim producentom aut elektrycznych, podejrzewając, że to właśnie dzięki pomocy państwa producenci z Chin są w stanie oferować samochody o jedną piątą taniej niż zachodni konkurenci. Według szacunków unijnych urzędników chińskie władze wsparły producentów aut elektrycznych kwotą 57 mld dol., a dodatkowo przyznawały ulgi podatkowe dla posiadaczy pojazdów elektrycznych, które jeszcze mocniej stymulowały popyt na chińskie auta. Chińczycy kategorycznie odrzucają jednak zarzuty Brukseli i ostrzegają, że jeśli UE wprowadzi cła antysubsydyjne na chińskie pojazdy, to Chiny stosownie na to odpowiedzą (na czym ucierpieć mogą niemieccy czy francuscy producenci aut).

Zdaniem krytyków rząd w Pekinie od 2009 r. konsekwentnie wspiera produkcję samochodów elektrycznych – nie tylko z myślą o biznesowym sukcesie rodzimych firm, lecz także z nadzieją na dostęp do olbrzymiej ilości danych, które mogą zbierać e-auta. Informacja nadal jest zaś uznawana za najcenniejszy surowiec XXI w. Samochody elektryczne mogą potencjalne gromadzić wrażliwe dane dotyczące lokalizacji pojazdów, a także obraz z kamer czy informacje z radarów i czujników. Zbieranie danych dotyczących silnika, stanu akumulatorów, lokalizacji etc. może pomóc w usprawnieniu bezpieczeństwa na drogach. Czy może też zagrozić prywatności użytkowników? Coś może być na rzeczy. Nie bez powodu władze Chin już w 2021 r. zabroniły pracownikom rządu i wojskowym wjeżdżania samochodami Tesli na teren chińskich kompleksów wojskowych. Wrażliwe dane mogą jednak oczywiście zbierać nie tylko samochody z Chin, lecz także z innych krajów.

Chiński BYD nie przejmuje się więc oskarżeniami urzędników w Brukseli i coraz śmielej inwestuje na Starym Kontynencie. W połowie ubiegłego roku BYD wjechała do Polski, oferując przy współpracy z polskim dilerem samochody dostawcze i ciężarowe.

W grudniu spółka BYD – mająca już m.in. fabrykę autobusów w węgierskim mieście Komárom – zapowiedziała zaś, że w węgierskim mieście Szeged zbuduje gigantyczną fabrykę samochodów elektrycznych, w której zatrudnienie znaleźć mają tysiące pracowników. Jak ogłosił wówczas węgierski minister spraw zagranicznych i handlu Péter Szijjártó, ma to być „jedna z największych inwestycji w historii węgierskiej gospodarki".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Uroczo, prawda?

Wystarczy nie kraść!" – pamiętają państwo to hasło PiS z początku rządów? Hasło, które stało się kłamstwem założycielskim jednego z największych blefów politycznych w najnowszej historii Polski? Blefu politycznego, polegającego na wmówieniu znaczącej części Polaków, że naprawdę wystarczy, iż rządzący nie będą kraść, a „pieniądze dla wszystkich Polaków" „na wszystko", „i to zawsze", „się znajdą".

Wystarczy więc – bo taki przecież był zamysł twórców tego hasła – po wsze czasy głosować na PiS, bo politycy tej partii „nie kradną" i już Polakom nigdy nie zabraknie pieniędzy na ich socjalne zachcianki. Na „500+"/„800+", na 13. i 14. „emerytury", wyprawki szkolne „300+", itp., itd.

Oczywiście był to od początku jeden wielki blef, z czego zdawali sobie sprawę co najmniej niektórzy jego promotorzy, w tym premier Morawiecki, który w 2017 r. wygadał się na jednym ze spotkań z działaczami PiS, przyznając, że „»500+« jest na kredyt; zadłużyliśmy się o dodatkowe 20 mld zł".

No i z roku na rok – wciąż mamiąc wyborców, że „wystarczy nie kraść", „a na wszystko wystarczy" – rząd PiS zaciągał coraz więcej i więcej kredytów, zadłużając podatników coraz bardziej i bardziej, na całe kolejne dekady, bo przecież właśnie tyle potrwa spłacanie przez Polaków długów zaciągniętych w ich imieniu przez PiS. Innymi słowy: podczas ośmiu lat rządów PiS zaciągnął na swą rozdawniczą politykę tyle pieniędzy – ponad 900 mld zł – że podwoił zadłużenie Polski – z nieco ponad 900 mld zł do ponad 1,8 bln zł. Oto prawda o kłamstwie założycielskim blefu politycznego, którym było wielkie rozdawnictwo ostatnich ośmiu lat. I to jeszcze nie cała, bo znaczną jej część rząd PiS starał się – jak długo się dało, a co najmniej do dnia ostatnich wyborów do Sejmu – ukrywać przed wyborcami.

Otóż owo totalne rozdawnictwo PiS doprowadziło do tego, że już sam PiS musiał – i to właśnie ukrywał przed wyborcami – założyć w „Strategii zarządzania długiem na lata 2024–2027" albo coroczne wielkie obniżanie rozdętych przez siebie wydatków socjalnych, albo podnoszenie Polakom o takie same kwoty podatków – w 2025 r. aż o 40 mld zł, w 2026 r. – aż o 43 mld zł i w 2027 r. – aż o 45 mld zł. W przeciwnym razie dług przebiłby konstytucyjny limit zadłużenia w wysokości 60 proc. PKB. Uroczo, prawda?

Tym bardziej że rząd Tuska – na naszą zgubę – podąża tą samą drogą. A deficyt budżetowy na 2024 r., w porównaniu z i tak ogromnym, zaplanowanym jeszcze przez rząd Morawieckiego – powiększył się o niemal 20 mld zł, do ponad 5 proc. PKB – znacznie przebijając w ten sposób poziom 2 bln zł długu publicznego! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ministerka Dziemianowicz-Bąk

Kiedy otworzymy stronę Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, zobaczymy, że pani minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk występuje tam pod niekonstytucyjnym terminem „ministra". Niekonstytucyjnym i zresztą niepoprawnym językotwórczo. Gdyby bowiem już chcieć na siłę utworzyć feminatyw od słowa „minister", musiałby on brzmieć „ministerka", nie „ministra" (jak „kurier – kurierka", „traper – traperka", „fryzjer – fryzjerka"). Dlaczego w takim razie pani Dziemianowicz-Bąk i inne lewicowe panie polityk nie występują jako „ministerki" lub „wiceministerki"? Prawdopodobnie dlatego, że to słowo brzmi dla nich zbyt mało dostojnie.

Cyrk z feminatywami wywraca się o własne nogi

Lecz tuż obok pojawia się zdjęcie pani Aleksandry Gajewskiej, podpisanej jako „sekretarz stanu". Cóż za niekonsekwencja. Czemu „sekretarz", a nie „sekretarka" (forma poprawna językotwórczo) lub niepoprawna, ale odpowiednio nadęta „sekretara"? Czy może „sekretarzyni"? Albo „sekretera"? Cóż, lewicowa nowomowa najwyraźniej wpływa na mieliznę tam, gdzie zaczyna brzmieć idiotycznie nawet dla jej zwolenników.

Byłem ciekaw, czy skoro pani minister przedstawia się jako „ministra", to tak samo każe się nazywać swoim podwładnym. I czy za nieużywanie tego potworka językowego grożą im jakieś sankcje. Napisałem więc do ministerstwa. Odpowiedziano mi: „Stosowanie przez urzędników resortu w komunikacji pisemnej i ustnej formy żeńskiej słowa »minister« w odniesieniu do ministry Agnieszki Dziemianowicz-Bąk ma charakter uznaniowy i nie jest określone jakimikolwiek wiążącymi decyzjami i poleceniami". Chciałem też wiedzieć, jaki tytuł widnieje na urzędowej pieczęci pani minister. Odpowiedź brzmiała: „Minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk".

Cyrk z feminatywami, który ma oczywiście swoje głębsze znaczenie – kłaniają się Gramsci i rewolucja robiona poprzez język – wywraca się o własne nogi. O przepisy, o konstytucję, o reguły języka polskiego. Jest jak każdy idiotyzm narzucany ludziom odgórnie. Ćwiczyliśmy to przez 45 powojennych lat – jak widać, wciąż za mało. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

Wyspa miliarderów

Indian Creek w Miami to miejsce, gdzie zamieszkują najbogatsi na świecie

FOT. ADOBE STOCK

Joanna Bojańczyk

Sztuczny raj w Stanach Zjednoczonych to miejsce, w którym można zadawać sobie pytanie: Po co są pieniądze. No właśnie po to!

Wyspa Indian Creek jest częścią Miami, administracyjnie należy do stanu Floryda. To skrawek ziemi o powierzchni zaledwie 1,2 km kw. i kształcie przypominającym kromkę chleba. Od zachodu Zatoka Biskajska, od północy, wschodu i południa plaże Miami. Jeszcze 30 lat temu była to osada domów letniskowych w skromnej cenie miliona dolarów. Pod koniec lat 90. domki zaczęły ustępować miejsca wielkim rezydencjom. Dziś średnia cena domu na tej subtropikalnej enklawie zbliża się do 50 mln euro.

Dostępu do wyspy od wschodu broni osada Surfside pilnie strzeżonym mostem. Dostać się tam można tylko, jeśli jest się mieszkańcem wyspy lub jego autoryzowanym i zapowiedzianym gościem. Wjazdu strzegą policja, strażnicy oraz łodzie patrolujące obszar przybrzeżny przez całą dobę. Samochód jest w zasadzie niepotrzebny, bo na Indian Creek nie ma dróg, wyjąwszy jedną dość wąską, pierścieniem otaczającą brzegi wyspy i która kończy się ślepym zaułkiem. Służy ona właścicielom jako jedyny dojazd do znajdujących się tu rezydencji. Także dostawcom, żeby dostarczyć zakupy, jako że na wyspie nie ma żadnego sklepu, kawiarni ani restauracji. To nie przeszkodziło tej niewielkiej uliczce stać się jedną z najdroższych ulic na świecie, zważywszy na to, że średnia cena stojącego tu domu wynosiła w roku 2022 mln dol.

Nie ma też autostrady, banku, szkoły, kina ani innych budynków publicznych, ale gdyby maleńki sztuczny raj Indian Creek był państwem, należałby do grona 60 najbogatszych na świecie. W tym pięknym miejscu, na powierzchni zaledwie 1,2 km kw., skumulowały się nie tylko wszystkie uroki luksusowego kurortu, lecz także fortuny jego nielicznych mieszkańców. Bogaci czują się tu u siebie. Nie zagraża im hałas, nie przeszkadza towarzystwo. Wille ukryte są w tropikalnej zieleni, schowane za żywopłotami, wysokimi ogrodzeniami lub wręcz palisadami, niewidoczne z zewnątrz. Klimat cudowny, 30 stopni cały rok, szmaragdowe trawniki, tekowe

eprasa.pl e333bdb72c

tarasy, pole golfowe o powierzchni 121 ha z 18 dziurami. Wokół lazurowe morze i unoszący się nad tym wszystkim upajający zapach pieniędzy, jak napisałby Scott Fitzgerald.

BEZOS, BRADY, IGLESIAS

Krótka lista mieszkańców skupia wielocyfrowe fortuny międzynarodowego biznesu, rozrywki i sportu. W 35 domach mieszka 86 lokatorów. Na czele listy: Jeff Bezos. Pierwszy dom na Indian Creek szef Amazona kupił za 64 mln euro, potem skusił się na następny – za 74,5 mln. Razem dysponuje ponad 2,6 tys. mkw. „powierzchni mieszkalnej" i swoiście pojmowanej prywatności. Plus basen, rzecz tu najbardziej oczywista, tym bardziej że żadna z wypasionych rezydencji nie posiada bezpośredniego dojścia do plaży.

Magazyn poświęcony nieruchomościom „The Real Deal" nazwał styl urządzenia rezydencji pana Bezosa „europejskim glamourem" – to w Ameryce najwyższy komplement. Trzeba korzystać z życia – postanowił 59-letni twórca Amazona. I od kiedy wycofał się z biznesu, z bohatera nagłówków „New York Timesa" przeszedł do rubryk towarzysko plotkarskich gazety „New York Post". W dopasowanym smokingu pozuje na przyjęciach u boku aktualnej narzeczonej, pięknej prezenterki telewizyjnej pochodzenia meksykańskiego, Lauren Sanchez. Dla Bezosa Floryda jest powrotem do źródeł – tu spędził młodość. Teraz pracuje nad „glamouryzacją" wizerunku. Z niezwracającego na wygląd geeka w rozciągniętym T-shircie ma stać się eleganckim bywalcem i filantropem.

Dalej: Tom Brady. Były mistrz futbolu amerykańskiego nabył za 14 mln euro budynek w stylu à la rokoko, wyburzył go i na jego miejscu postawił rezydencję w stylu ekologicznym, czytaj: z panelami słonecznymi. Aktualnie piłkarz jest w stanie wolnym po tym, jak rozstał się z brazylijską modelką Gisele Bundchen.

Julio Iglesias był jedną z pierwszych gwiazd show-biznesu, które się tu osiedliły. Zbudował siedzibę w stylu hiszpańskiej hacjendy. Stanęła na jednej z pięciu działek, które piosenkarz kupił za 150 mln dol. w roku 2017. Posiadłość ma jeszcze spory potencjał, gdyż otaczają ją cztery niezabudowane działki. Piosenkarz mieszka tam z żoną i pięciorgiem dzieci, dając budujący przykład latynoskiej rodziny.

Zamiłowanie do modnego na Florydzie stylu hiszpańskiego podzielają Ivanka Trump, córka byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, i jej partner Jared Kushner. W 2021 r. młodzi państwo kupili 800-metrową willę, do tego ponad hektar gaju palmowego. Cena: 23 mln euro. Dwa lata remontowali zewnętrzną część domu, środek – sześć pokoi, osiem łazienek – nietknięty czeka na remont. Ale Kushnerowie nie spieszą się, na razie mają gdzie mieszkać.

REKINY FINANSJERY

Mieszkańcami Indian Creek są nie tylko bohaterowie frywolnych i dochodowych biznesów rozrywki. Są tu także poważne rekiny finansjery, baronowie przemysłu i usług. Carl Icahn, 87 lat, legenda Wall Street, władca funduszy spekulacyjnych, posiada Florida Mansion: siedem pokoi, 10 łazienek. Eddie Lampert, rekin finansowy (majątek 1,7 mld euro), Norman Braman, magnat branży samochodowej (3 mld euro). Bankier i biznesmen rynku nieruchomościowego Jaime Glinski w roku 2022 kupił willę od top modelki modelki Adriany Limy za 38 mln euro. Brazylijska Wenus zrobiła niezły interes, gdyż dom nabyła za 8 mln euro w roku 2009. Ale pan Glinski także nie rozpacza; ma duszę kolekcjonera, bardziej niż dusigrosza, na Indian Creek posiada aż pięć nieruchomości. Na tym się zawsze dobrze wychodzi. Anonimowy Rosjanin kupił tu w roku 2012 dom za 40 mln euro, co w owym czasie było rekordem cenowym na rynku Indian Creek.

64 mln euro

ZA TYLE JEFF BEZOS KUPIŁ SWÓJ PIERWSZY DOM NA INDIAN CREEK

Według Rocket Homes, jednej z niewielu agencji, które mają prawo dokonywać transakcji na Indian Creek, średnia cena transakcji na wyspie opiewała na 47 mln euro. Jeśli ktoś byłby zainteresowany, to nie powinien szukać informacji na oficjalnej stronie agencji. Tutejsze operacje kupna i sprzedaży dokonują się w atmosferze ścisłej prywatności. Wiadomości o tym, że coś jest na sprzedaż lub że ktoś chce kupić, podaje się metodą szeptaną. Na portalach luksusowych nieruchomości amerykańskich Indian Creek nie występuje; można jedynie znaleźć ogłoszenie, że jest tu do wynajęcia domek rybaka o powierzchni 400 mkw. Cena 110 tys. euro miesięcznie.

Lista baronów finansjery jest jeszcze długa: Charles Johnson, finansista; trener futbolu amerykańskiego Don Shula; Irvin Tauber, Alex Meruelo – gracze rynku nieruchomościowego; Eddie Lampert , biznesmen od funduszy hedgingowych... Dalsze przerzucanie się nazwiskami bogaczy i liczbami nie ma sensu – wiadomo, biedni i średni nie mają tu czego szukać. To naprawdę ekskluzywne miejsce. Z prostego powodu: ziemi na nim nie przybywa.

Czy to dzielnica, miasteczko, osada? Indian Creek mogło kiedyś skorzystać z prawa, które pozwalało osadzie liczącej więcej niż 25 mieszkańców otrzymać prawa miejskie. Prawo już nie istnieje, ale Indian Creek prawa zachował, choć 80 proc. jego powierzchni zajmuje Country Club, jeden z najbardziej eleganckich w całych Stanach Zjednoczonych. Liczy 300 członków, można zatem się domyślić, że część z nich mieszka poza wyspą. Jeszcze niedawno, bo w latach 90., klub nie przyjmował Afroamerykanów i Żydów, dziś przyznaje się do tego niechętnie lub po prostu to wypiera.

Po zakupy trzeba udać się na ląd stały, do Surfiside, a jako że wille nie mają dostępu do plaży, rekompensatą może być chociaż prywatna przystań jachtowa, tę mają prawie wszyscy posiadacze nieruchomości. Wody przybrzeżne patrolują strażnicy na motorówkach.

Jeszcze niedawno średni wiek mieszkańców Indian Creek wynosił od 75 do 80 lat. Ostatnio trochę się tu odmłodziło. Ale podobno życie towarzyskie we wspólnocie sąsiedzkiej nie jest bujne. Mieszkańcy, których konta równe są budżetom państewek afrykańskich, wolą siedzieć w domu, popijać piña coladę i napawać się luksusem, za który zapłacili miliony. Może siedząc w ogrodzie i oglądając zachód słońca, stawiają sobie filozoficzne pytanie: Po co właściwie są pieniądze?

Właśnie po to.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e333bdb72c

MERCEDES EQE 500 4MATIC

FOT. JAP

Skoro w tej dekadzie XXI w. w życiu pewne mają być tylko trzy rzeczy: śmierć, podatki i elektromobilność, to muszę przyznać, że twórcy EQE 500 dobrze poradzili sobie z zadaniem stworzenia elektrycznej wersji legendarnej pięćsetki. EQE 500 to całkowicie elektryczny luksusowy samochód z komfortowym wnętrzem, odważnie zarysowaną sylwetką oraz niezwykle dynamicznym napędem na wszystkie koła. Bez żadnej taryfy ulgowej przetestowaliśmy więc ten model w skrajnie trudnych dla „elektryków" warunkach: na siarczystym mrozie, gdy temperatura w nocy sięgała –19 st. C, a w dzień rosła do –12 st. C.

Zacznijmy jednak od plusów. Mierzący niemal pięć metrów (dokładnie 4946 mm) EQE 500 od zera do setki przyspiesza w zaledwie 4,7 s. Dwa silniki mają łączną moc 408 KM, maksymalny moment obrotowy wynosi 858 Nm (sic!), a prędkość maksymalna to aż 210 km/h. Nieźle. Dzięki sporej masie własnej (niemal 2,5 tony, z czego duża część to ukryta w podłodze bateria) auto trzyma się asfaltu niczym przyklejone. Niezwykłe wrażenie robią też doskonałe światła Digital Light, które fantastycznie oświetlają drogę podczas jazdy w trasie, dbając jednocześnie o to, aby nikogo przypadkiem nie oślepić. Krótki popis możliwości świateł po włączeniu samochodu przypomina zaś spektakl dla miłośników nowoczesnych technologii.

Kabina EQE 500 przypomina luksusowy statek kosmiczny. Wirtualne wskaźniki za kierownicą można dostosować do własnych potrzeb. Ogromny centralny ekran o świetnej rozdzielczości umieszczony jest pomiędzy panelem pokrytym małymi gwiazdkami, będącymi jednym z elementów nastrojowego systemu oświetlenia. Komfortowe fotele świetnie podtrzymują ciało na zakrętach, a panująca w kabinie cisza zachęca do relaksu. W przestronnej kabinie dużo miejsca jest też na tylnej kanapie.

Czas na wady. Według producenta średnie zużycie energii wynosi 17,1 kWh/100 km, a zasięg 612 km. I być może rzeczywiście tak jest, gdy temperatura na dworze jest dodatnia. Podczas trwającego tydzień testu termometr uparcie pokazywał jedynie minusowe wartości, więc zużycie energii wzrosło do ponad 30 kWh/100 km. W trybie komfortowym i z włączoną klimatyzacją utrzymującą w kabinie przyjemną temperaturę 19 st. C (przy minus kilkunastu stopniach na zewnątrz) EQE 500 było w stanie pokonać niecałe 300 km na jednym ładowaniu. Co prawda w trybie ECO zasięg był wyższy, a po wyłączeniu klimatyzacji rósł o kolejne kilkadziesiąt kilometrów, ale nie wydaje się pół miliona na auto po to, żeby jeździć po autostradzie 100 km/h z gąbką do przedniej szyby. Na szczęście przy korzystaniu z szybkiej ładowarki czas ładowania od 10 do 70 proc. wynosi ok. 30 minut.

Po stronie minusów wpisać trzeba także pojemność bagażnika, która wynosi tylko 430 l. Mało jak na tak duży samochód. Rozczarował też nieco system rozpoznawania znaków z ograniczeniami prędkości, który zbyt często wyświetlał błędne informacje (być może z powodu mrozu). Świetne wrażenie robi z kolei nawigacja pokazująca na ekranie obraz z kamery ze strzałkami, gdzie dokładnie należy skręcić, a także funkcja ułatwiająca ruszanie spod świateł.

EQE 500 4Matic kosztuje co najmniej 364 tys. zł. Cena wersji testowej wynosiła ponad 500 tys. zł. ©℗

MOTOROLA RAZR 40 ULTRA

Znakomite wzornictwo, świetne ekrany, bardzo dobra jakość wykonania – to największe zalety składanego flagowca Motoroli, który kilka miesięcy po premierze można już kupić za niecałe 5 tys. zł.

Po rozłożeniu uwagę przyciąga ekran pOLED o wielkości 6,9 cala i rozdzielczości 2640 x 1080 (FHD+) pikseli z rewelacyjną częstotliwością odświeżania (165 Hz) oraz maksymalną jasnością wynoszącą 1400 nitów. Obraz jest ostry, kolory są odpowiednio nasycone i naturalnie odwzorowane. Samo zgięcie ekranu jest ledwo widoczne i absolutnie nie przeszkadza w codziennym użytkowaniu.

Złożony Razr 40 Ultra z jednej strony ma drugi ekran, tym razem jest to pokryty szkłem Gorilla Glass Victus wyświetlacz pOLED o wielkości 3,6 cala i rozdzielczości 1066 x 1056 pikseli, a z drugiej plecki pokryte sztuczną skórą. Złośliwi powiedzą, że w różowej wersji (poprawnie kolor ten nazywa się Viva Magenta i został przygotowany we współpracy ze słynnym Pantone) przypomina nieco puderniczkę, ale trzeba przyznać, że to nowocześnie zaprojektowany, elegancki smartfon.

Przy okazji jest też zaskakująco funkcjonalny. Zewnętrzny ekran pozwala szybko załatwić zdecydowaną większość spraw bez konieczności rozkładania smartfona. Czytnik linii papilarnych działa bez zastrzeżeń. Dźwięk wydobywający się z głośniczków jest zaś wystarczająco przyzwoity do oglądania filmów i seriali.

Wady? Niestety, nawet flagowce Motoroli nie zasługują wciąż na opinię „smartfona do zdjęć". Za pomocą głównego aparatu Razr 40 Ultra w dobrych warunkach oświetleniowych można zrobić niezłe fotografie, ale gdy światło jest gorsze, zdjęcia wychodzą co najwyżej poprawnie. Pod maską flagowego składaka Motoroli działa procesor Snapdragon 8+ Gen 1, który współpracuje z 8 GB pamięci RAM. Na dane producent przewidział 256 GB pamięci. Niby nie jest to zła specyfikacja – aplikacje chodzą płynnie i nic się nie przycina – ale z pewnością nie jest to model dla miłośników mobilnych gier. Drugi minus: bateria o pojemności 3800 mAh ładowana jest w tradycyjny sposób z mocą zaledwie 30 W (wiele średniaków obecnie ładuje się już dużo, dużo szybciej) albo bezprzewodowo z mocą zaledwie 5 W (co wygląda, jakby producent jawnie drwił z potencjalnych klientów). Zamiast perfumowanego pudełka wolałbym więc lepszą technologię bezprzewodowego ładowania.

Nawet biorąc pod uwagę powyższe wady, Razr 40 Ultra jest jednym z najlepszych składaków dostępnych obecnie na rynku. Cena: 4988 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl e333bdb72c

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Sławne czarne rady kozackie

JACEK KOMUDA

Dzięki Henrykowi Sienkiewiczowi wiemy dobrze, czym była kozacka czarna rada: zgromadzeniem wszystkich zaporożców, nie tylko koła starszyzny, lecz także pospolitej czerni, które wspólnie decydowały o wyborze dowódców i zawierały traktaty polityczne. Niżowcy wybierali w ten sposób hetmanów, pułkowników i władze wojskowe, obalali zaś tych, którzy okazywali się nieudolni lub utracili poparcie mas. Takie zgromadzenia wielokrotnie okazywały się zabójcze dla niepopularnych wodzów. Rozwścieczona czerń potrafiła ich zamordować albo wypędzić. Zdarzało się też, że radę zwoływano bez wiedzy starszyzny właśnie po to, aby obalić władzę znienawidzonych pułkowników, a powierzyć ją nowym, obiecującym łatwe zwycięstwa i łupy.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Z historii Ukrainy zachowały się źródła o przynajmniej kilkunastu czarnych radach zwoływanych w różnych miasteczkach i miastach. Jedną z pierwszych, która odbyła się zapewne przed 19 kwietnia 1648 r. na Siczy, była ta, która wyniosła do władzy zbiegłego z ukrainnej włości Bohdana Chmielnickiego. Sicz zwała się wówczas Mikityńską i znajdowała się na Dnieprowym Niżu w okolicach dzisiejszego Nikopola. Na uwagę zasługuje to, że chociaż wszyscy kronikarze i tradycja kozacka przechowali wieść, że Chmielnicki został wówczas obwołany hetmanem, to on sam w oficjalnych relacjach dyplomatycznych z Rzecząpospolitą tytułował się zaledwie „starszym Wojska Zaporoskiego".

Kolejna znana czarna rada okazała się o wiele groźniejsza dla Korony i Litwy. W nocy z 3 na 4 maja pod Kamiennym Zatonem nad Dnieprem, na Zaporożu, wysłannicy Chmielnickiego pobuntowali wojsko kozaków rejestrowych wysłanych na czółnach, wodą, dla rozprawienia się z powstańcami. Kozacy rejestrowi wystąpili przeciwko starszyźnie wiernej Rzeczypospolitej, pozbawili ją władzy, a potem 5 maja skazali na śmierć pułkowników. Zamordowani zostali: Iliasz Karaimowicz, Hajduszeńka, Kalenenka, Oleśko, Roman Peszta oraz najwierniejszy z wiernych, uwieczniony przez Sienkiewicza: Iwan Barabasz.

Od czarnej rady w Germanówce na południe od Kijowa zaczął się z kolei upadek kozackiego państwa, okres zwany przez historyków „ruiną". 11 września 1659 r. starły się tutaj dwa stronnictwa zaporoskie – formujące dwa osobne tabory. Iwana Wyhowskiego, opowiadające się za współpracą z Rzecząpospolitą. I Iwana Sirki oraz Jurija Chmielnickiego, syna nieżyjącego od dwóch lat hetmana. Rada skończyła się krwawym konfliktem, w którym zginęli kozaccy oficerowie – Prokop Wereszczaka i Stefan Sulima. Wyhowskiego zdjęto z urzędu, wkrótce musiał uciekać z Ukrainy, która stała się terenem zaciekłych walk polsko-moskiewskich, gdzie Rzeczpospolitą wspierali Tatarzy, a kozacy opowiedzieli się po stronie cara. Później doszło do podziału Kozaczyzny na dwie części – Prawobrzeże związane z Rzecząpospolitą i Lewobrzeże – z Moskwą. Wojny spustoszyły naddnieprzańską Ukrainę do szczętu, sama Germanówka stała się ich ofiarą. W 1686 r. inwentarz okolicy opisuje, że było to kompletnie opustoszałe miasteczko otoczone równie pustymi osadami – słobodami.

Po Wyhowskim hetmanem całej Kozaczyzny został Jurij Chmielnicki, który 17 października 1659 r., na drugiej, perejasławskiej radzie, poddał się tak jak jego ojciec carowi Aleksemu Michajłowiczowi, ale na znacznie gorszych warunkach. Rok później podpisał kolejną ugodę z Rzecząpospolitą – pod Cudnowem – przechodząc znowu na stronę króla Jana Kazimierza. To zapoczątkowało wspomniany podział Ukrainy, bo w tym samym Perejasławiu wybrano wówczas na pułkownika i hetmana nakaźnego Jakima Somkę, zwolennika współpracy z Moskwą. W 1662 r., na czarnej radzie w Kozielcu, podniesiono go do godności hetmana, ale car nie zatwierdził woli kozaków, popierał bowiem własnego, bardziej uległego kandydata – Iwana Brzuchowieckiego. Dlatego na następnej czarnej radzie – tym razem zwołanej do Niżyna pod Czernihowem – doszło do starcia wspomnianych kandydatów. Somka został obalony przez konkurenta, a Brzuchowiecki wyniesiony do godności hetmana lewobrzeżnej Ukrainy. Somka i Wasyl Zołotarenko zostali wówczas schwytani i wydani nowemu wodzowi, który nakazał ich zamordować. Jeszcze wcześniej, bo w styczniu 1663 r., odbyła się czarna rada w Czehryniu, mieście, w którym dawniej mieściły się stolica kozackiego państwa i kwatera Bohdana Chmielnickiego. Kozacy z prawego brzegu Dniepru wybrali tutaj na hetmana Prawobrzeża Pawła Teterę, a dotychczasowy – Jurij Chmielnicki – zrezygnował i wyjechał z Ukrainy, zamierzając wstąpić do klasztoru. Nie doprowadziło to jednak do spokoju wśród wyniszczonej walkami, podzielonej na pół Kozaczyzny. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Złoty pierścień

Dzień Bajgla jak co roku obchodzimy 15 stycznia. Złoty pierścień wypiekany z mąki pszennej wywodzi się z tradycji żydowskiej, w której każda mama po urodzeniu dziecka otrzymywała bajgla posypanego sezamem, czarnuszką, kminkiem lub pieprzem na znak nowego życia i z życzeniami szczęścia dla dziecka. Nazwa wcale nie pochodzi jednak z tradycji żydowskiej, a od niemieckiego słowa „bougel", co oznacza bransoletkę. Inne źródła donoszą, że bajgle pojawiły się w Polsce jako podziękowanie dla króla Jana III Sobieskiego za odsiecz pod Wiedniem.

Swoją wyjątkowość bajgiel zawdzięcza sposobowi wyrabiania – ma dość krótki czas wyrastania ciasta, przed wypiekiem wkłada się uformowane bajgle na chwilę do gorącej wody (stąd polska nazwa obwarzanek – od warzenia, czyli gotowania), po czym wkłada się je do nagrzanego piekarnika. Bajgle są też w wersji słodkiej z dodatkiem rodzynek albo cynamonu.

Nadwiślańską wersją bajgla są bułeczki drożdżowe. Doskonałe robiła dla nas podczas ferii zimowych spędzanych we wsi Strojców nasza babcia Małgosia. Zajadałyśmy się nimi, dokładając do nich biały ser i powidła śliwkowe z nieodzownym wiejskim masłem.

Światową popularność bajgle zyskały w Ameryce, szczególnie w Nowym Jorku na Manhattanie, są również popularne w Montrealu w Kanadzie. Najpopularniejsze są bajgle z serkiem i wędzonym łososiem, sałatą i sosem majonezowym albo bajgle z jajkiem w różnych wersjach.

Jest w bajglu coś magnetycznego – mając do wyboru kanapkę lub bajgla, zawsze wybieramy okrągły złoty pierścień. Zawsze też, kiedy odwiedzamy Kraków, obowiązkowo zaglądamy do kościoła Mariackiego, a potem na Rynku kupujemy krakowskie bajgle.

Bajgle

• 500 g mąki pszennej • 14 g drożdży suchych • 300 ml wody ciepłej • 1 łyżka cukru lub łyżka miodu • 1 łyżka miodu do roztworu wody • 1 łyżka oleju rzepakowego • 2 łyżeczki soli • 1 jajko do posmarowania bajgli przed pieczeniem

Wszystkie suche składniki przełożyć do miski, dodać wodę z cukrem albo miodem, zagniatać ciasto, dokładnie wyrabiając przez ok. 5 min, odstawić. Czynność powtórzyć. Następnie odstawić ciasto do wyrośnięcia na niecałą godzinę, a potem przykryć szczelnie i odstawić do lodówki na całą noc. Następnego dnia wyjąć na podsypaną mąką stolnicę, pokroić na osiem kawałków i uformować kulki, a w środku zrobić dziurkę. Odstawić do wyrośnięcia na godzinę. Zagotować wodę z dodatkiem 1 łyżeczki sody, soli i miodu. Wkładać po dwa bajgle do wrzątku i gotować po minucie z każdej strony. Wyjąć, odstawić, aby odpoczęły. Piekarnik rozgrzać do min. 200 st. C, bajgle posmarować rozkłóconym jajkiem i piec przez ok. 20 min. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Graty na śmietnik

W świetnej książce „Futerał" o polskich mieszkaniach po roku 1945 r. Agata Szydłowska opowiada o modzie na antyki i starocie, która zapanowała w Polsce w latach 70. Na sobotnich targach ze starymi meblami i masą różnych potrzebnych i niepotrzebnych drobiazgów spotykali się wszyscy, którym nie udało się w tzw. uspołecznionych sklepach kupić stołu /kanapy/fotela. Także ci, którzy szukali czegoś innego niż paskudne zazwyczaj meble z Emilii. Bardziej zaawansowani polowali na dzieła sztuki i trofea kolekcjonerskie.

Te czasy dawno minęły. Kto by dzisiaj chciał się meblować starymi gratami? Dzisiaj trzeba mieć design. Dla normalsów jest sofa z IKEA, dla zamożnych włoska kanapa za 30 tys. Antyki? Gdzie tam! Duże, ciężkie, ponure, nie wiadomo, czy się zmieszczą i czy nie przyniosą do domu korników albo innej zarazy. Co prawda, w nowoczesnym wnętrzu kornik zdechłby z głodu, bo jednak sklejka to nie dąb, nawet robak poczuje różnicę. Zresztą zgodnie z obowiązującymi trendami mieszkanie ma być mobilne, dynamiczne i zmieniać się co sezon, jak każe rynek. Na Boże Narodzenie czerwono i złoto. Na lato może coś słonecznego albo morskiego? W każdym razie meble po prababci do tej koncepcji w ogóle nie pasują, więc należy pozbyć się ich raz a dobrze. Najlepiej od razu do kontenera.

„Przedmioty mają dziś w rodzinach żywot krótki i nie są już traktowane jako nośniki pamięci, a nawet »energii« osoby, do której należały. Kultura nietrwałości, doraźności i wymiany jest największym wrogiem pamięci, a szybka amnezja obejmuje nie tylko sprzęty, lecz także zmarłych domowników, którzy coraz rzadziej stają się przodkami (tj. punktem odniesienia, wobec którego zajmuje się określone, świadome stanowisko, oparte zwykle na woli podjęcia i kontynuacji). Dom nie obrasta i nie nasyca się przedmiotami i historią (nie jest »pojemnikiem« na historię rodzinną); nie jest domem »ciężkim«, lecz raczej wygodnym i praktycznym »szałasem«" – pisze Justyna Melonowska w książce „Pisma Jakubowe. Religia i walka".

To widać, gdy się przegląda pisma wnętrzarskie. Prawie nie ma tam wnętrz, które nosiłyby w sobie jakiś zapis historii czy rodziny. Książki, drobiazgi, jakiś mebel, coś ludzkiego, zniszczonego nawet. Czyżby designerka zabroniła pokazywać, bo idzie do gazety? Generalnie wszystko jest tam nowe, jakby wczoraj kupione. W kącie monstera oczywiście, obecnie obowiązująca roślina wnętrzarska. To nie domy, to showroomy – skądinąd przymus edytorski, bo na zdjęciach wnętrz są produkty reklamodawców: lampa, stół, tapeta…

I tak się to kręci. Wyrzuć stare, kup nowe. Kapitalizm to kocha. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Prawicowa międzynarodówka

Właściwie to nie wiadomo, dlaczego jak się mówi międzynarodówka, to się od razu myśli o tworze lewicowym. Ciekawe, czy prawica miała kiedyś swoje międzynarodówki? A przydałoby się. Dzisiaj.

Kiedy w Polsce trwa walka o miano pierwszych więźniów politycznych III RP, to u naszych sąsiadów mamy zawał w postaci strajku generalnego. Wszystko stoi, do protestujących rolników przyłączają się inne branże, które paraliżują kraj, głównie w sferze transportowej. Ale dołączają się też rolnicy z innych krajów, z Holandii, Francji czy… Polski. Jakoś cicho u nas o tym z powyższych powodów, ale ciekaw jestem, jakie jest w tej sprawie stanowisko polskiego rządu, obsadzonego przecież w resorcie rolnictwa chłopami z dziada pradziada. Czy solidaryzują się oni z solidaryzującymi się polskimi ratajami?

A sprawa jest poważna. Ja od dawna wróżę, że te wszystkie końce Unii Europejskiej, ostateczne kryzysy nie spełnią się poprzez podskakiwanie któregoś z krajów członkowskich, ale poprzez bunt w łonie unijnym, którym jest Berlin. A niemieccy rolnicy wcale nie mają wyłącznie rewindykacyjnych postulatów – te można by było łatwo spławić dopłatami do paliw, ale lista spraw się rozszerza, aż do kwestionowania polityki imigracyjnej, środowisk LGBT czy szaleństwa ekologicznego. Stąd – jak widać – międzynarodowa kompatybilność protestujących.

Jest inaczej niż za COVID, kiedy każdy kraj u siebie podostrzał sankcje w innej kolejności i wymiarze. Wtedy też były protesty, tyle że w każdym kraju z osobna. Gdyby w owym czasie wszyscy wyszli naraz na ulice w całej Europie, nie dałoby się tego zagłuszyć, a tak się wtedy nie stało i każdy kraj został spacyfikowany osobno. Dziś moment jest ten sam dla wszystkich, postulaty także. Brakuje tylko koordynacji międzynarodowej skali protestu. Systemowe i cenzuralne wyizolowanie niemieckiego buntu może wygasić te trendy, które jeśliby się utrzymały do wyborów do europarlamentu, to mogłyby przenicować scenę polityczną. Postulować więc należałoby powołanie takiej międzynarodówki protestu antyunijnego, ruchu do zdyskontowania w przyszłych wyborach do Brukseli w o wiele większej skali niż wyizolowane i lokalne ruchy dążące do zasadniczej reformy Unii.

Ale my dziś walczymy o pozory wolnego słowa, dualizm medialny, podstawiony chytrze przez polityków jako erzac pluralizmu. I nowych bohaterów – ofiary dualizmu prawnego w Polsce. Sprawy ważne, ale jednostkowo nie zasadnicze. Jeśli niemiecki protest padnie, to już raczej znikąd nadziei. Plemiona będą walczyć na coraz bardziej spalonej ziemi. Tylko o jaką schedę? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Suplement do biogramu

Na stronie internetowej archidiecezji krakowskiej, wraz z informacją o pogrzebie ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, ukazała się jego biografia. W tekście informującym o dwudniowych uroczystościach, które zaplanowano na 17 i 18 stycznia w kościele parafialnym w Radwanowicach, przywołano wiele szczegółów z życia kapłana. Wymieniono np. parafie, w których ks. Tadeusz odbywał praktyki jako diakon, dowiadujemy się, jak nazywała się jego ciocia, znalazły się oczywiście informacje o działalności w podziemnych strukturach „S". Czytamy też o posłudze duszpasterskiej w środowisku Ormian, o zaangażowaniu w walkę o upamiętnienie ofiar ludobójstwa Polaków na Kresach. Sporo jest o Fundacji Brata Alberta.

Niestety, zabrakło jednej ważnej informacji. Autor biogramu zupełnie zignorował książkę ks. Tadeusza „Księża wobec bezpieki". A przecież nie jest to jedna z wielu książek księdza. To ważna praca, w której ks. Tadeusz opisał złożony problem inwigilacji Kościoła krakowskiego przez tajne służby aparatu represji PRL. Wiem, jak bardzo ta publikacja zmieniła jego życie. Odkrycie ponurych sekretów życia niektórych duchownych, często kolegów z seminarium, nastąpiło niejako przez przypadek. Namówiony na uroczystościach 25-lecia NSZZ „Solidarność" przez kolegę z „S", by sprawdził swoje akta w IPN, po otwarciu materiałów archiwalnych był w szoku. Zobaczył z jednej strony agenturalne uwikłania duchownych, rozmiar ich słabości i upadku, a także przykłady odwagi, niekiedy heroizmu. Postanowił sprawę zbadać dokładnie. A skoro, prowadząc badania z zacięciem i sumiennością godną naukowca, poświęcił tej misji dwa lata, uznał, że konieczna jest poważna publikacja.

Nie chodziło tylko o historyczną prawdę o brutalności aparatu SB i ciemnych stronach biografii księży. Chodziło o przecięcie uwikłania ważnych kapłanów, oczyszczenie struktur archidiecezji z ludzi, którzy będąc na wysokich stanowiskach, mieli wpływ na losy diecezji i mogli szkodzić. Nie trzeba przypominać, że SB, wykorzystując ludzkie słabości – skłonność do alkoholu, niemoralne prowadzenie się, homoseksualizm, nadużycia finansowe – szantażem pozyskiwała tajnych współpracowników. Ale był jeszcze plan duchowy. Chodziło o skłonienie upadłych księży do nawrócenia i przemiany życia. Następne kilkanaście lat życia ks. Tadeusza to nieustanna walka o prawdę – podejmowanie kolejnych prób, by skłonić struktury kościelne do oczyszczenia. Pominięcie na stronie archidiecezji tego fragmentu życiorysu odważnego kapłana jest najlepszym przykładem, jak niewiele z tej misji udało się zrealizować. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

A BMI się rozsiadł

Spróbuję państwu coś wytłumaczyć, przy czym pewne jest, że państwo nie zrozumieją, ale to nic nie szkodzi, bo nikt nie rozumie, a ja to już najmniej. Stop. Izba Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego przez rządzących i autorytety prawnicze będące na podorędziu rządzących nie jest uznawana za sąd, gdyż żyjemy w Krainie Nieuznawania. Stop. Natomiast, ponieważ to ta izba stwierdza, czy wybory parlamentarne z października były ważne czy nie, wtedy rządzący uznali jednak, że to jest sąd jak najbardziej, i przedstawiciel prokuratora generalnego, czyli Adama Bodnara, czyli ministra sprawiedliwości, stawił się karnie przed Izbą i był bardzo grzeczny, i merytoryczny, i w ogóle nie zgłaszał jakichś zastrzeżeń, że sędziowie są neo czy nieneo. Stop. Oczywiście spytają mnie państwo: „Jak to możliwe?". Stop. Odpowiedź jest prosta: to niemożliwe, tak po prostu jest.

Posiadacz imponującego Body Mass Index adwokat Adam Zemła nie został jednak wpisany do KRS jako przewodniczący Rady Nadzorczej TVP. Stop. Sprawa robi się wesolutka, gdyż nasz śmiałek szturmował gabinet prezesa TVP, którym wówczas był zagubiony w czasie i przestrzeni filozof. Stop. Śmiałek wykrzykiwał, że jest ci on szefem Rady Nadzorczej, a jakże. Stop. Filozof szczuplutki wymiękł i oddał gabinet (zawsze powtarzałem, że prezesem nie można być poniżej 100 kg), i giga BMI się rozsiadał. Stop. Problematyczność tkwi w tym, że sąd uznał, iż cały ten Zemła (od stóp przez brzuch do głowy) nie jest szefem Rady Nadzorczej TVP, odmawiając mu wpisu do KRS. Stop. I? I to znaczy, że szturm jego chyba był całkowicie bezprawny i decyzje podejmowane przez trzy tygodnie, zanim doszło do wszczęcia procesu likwidacji, były całkowicie bezprawne, a np. wtedy wyłączano sygnał stacji TVP Info i nie pozwolono pracować dziennikarzom, powodując nieoszacowane jeszcze straty. Stop. Czy Zemła będzie musiał sprzedać duży garnitur, żeby je pokryć? Ustalamy. Stop.

Pamiętają państwo, jak Hołownia w randze marszałka zdecydował o usunięciu barierek sprzed Sejmu, które odgradzały społeczeństwo, a wręcz naród od władzy? Stop. Jednak w związku z protestami 11 stycznia społeczeństwa, wręcz narodu, barierki wróciły. Stop. Mamy rotacyjnego marszałka i rotacyjne barierki...

„Gazeta Wyborcza" przeprosiła prof. Wojciecha Roszkowskiego za zarzucenie mu umieszczenia „kłamliwych i absurdalnych treści o dzieciach z in vitro" w jego podręczniku „HiT". Stop. Po artykułach na ten temat widocznie ktoś z „GW" przeczytał jednak podręcznik i wtedy niespodziewanie się okazało, że sformowania „in vitro" w ogóle w nim nie ma. Stop. Sprytny ten Roszkowski. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Kolonializm w wersji queer

Ciekawego odkrycia dokonał ostatnio portal internetowy BBC. W dalekiej Kenii brytyjscy dziennikarze znaleźli funkcjonujący w tajemnicy Kościół, o którego spotkaniach dowiedzieć się można tylko dzięki pogłoskom powtarzanym z ust do ust. Jego wierni wciąż pamiętają o grożącym im niebezpieczeństwie, a wywiadów udzielają pod pseudonimami, starannie ukrywając swoją tożsamość. Tym większy podziw należy się śmiałkom z BBC, którzy nie tylko dowiedzieli się o istnieniu bardzo nielicznego zgromadzenia, lecz także porozmawiali z jego twórcami. Kościół istnieje już od 10 lat, w trakcie których zmieniał swoją siedzibę dziewięciokrotnie. Jego kapłanami i wyznawcami są bowiem tylko kenijscy „chrześcijanie LGBT".

Jedną z założycielek Kościoła jest niebinarna lesbijka Paulina, używająca „oni" i „ich" („they and them") jako zaimków osobowych. Jak wspomina, początkowo była to grupa świadczących sobie emocjonalne wsparcie przyjaciół. „Kiedy jesteś usunięty z przestrzeni kościelnej, czujesz potrzebę dowiedzenia się, czy poza tobą ekskomunikowany został jeszcze ktoś inny" – zapewnia Paulina. Ona sama nie była wprawdzie przez nikogo ekskomunikowana, ale nie czuła się akceptowana przez kenijskie „Kościoły głównego nurtu". „Chcieliśmy spotkać innych queerowych chrześcijan, którzy afirmują samych siebie".

Z czasem dorobili się własnego wyznania wiary. „Wszyscy kochaliśmy stare apostolskie wyznanie wiary" – twierdzi założycielka Kościoła, „ale były rzeczy, których w nim brakowało". „Kobiety nie były odpowiednio dowartościowane, podobnie jak dzieci queer. Musieliśmy wstawić do credo samych siebie. Bóg jest dla nas tak samo ojcem, jak matką. Docenia każdego".

Nowe wyznanie wiary zaczyna się więc słowami: „Wierzymy w jednego Boga, naszego stwórcę, który uczynił nas swoimi ukochanymi dziećmi queer".

Autorzy obszernego artykułu BBC, zatytułowanego „Kenya's discreet church set up to welcome LGBT worshippers", wręcz rozpływają się w zachwytach nad opisywanymi przez siebie praktykami, na każdym kroku piętnując „otwarcie homofobiczne społeczeństwo kenijskie". W kąt poszły głoszone kiedyś przez elity Zachodu antykolonialne postawy szacunku dla lokalnych przekonań i kultur. Przedstawieni jako nadzieja „ciemnej Afryki" apostołowie LGBT otwarcie deklarują chęć wykorzenienia „miejscowych wierzeń i tradycji", ciesząc się pełnym poparciem oświeconych dziennikarzy znad Tamizy. Jeśli nie jest to kolonializm kulturowy, to co nim jest? ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Mecenat malkontenctwa

Stwierdzenie, że katolicka popkultura cierpi na dojmujący, wielopoziomowy deficyt, to truizm. Nikt w Kościele (nie tylko hierarchicznym, lecz także w całej wspólnocie katolickiej) w sposób instytucjonalny na poważnie nie zajmuje się bowiem tym niezwykle ważnym aspektem życia społeczeństw. Wszak czasy, w których poszczególni biskupi albo katoliccy władcy zajmowali się mecenatem sztuki, dawno minęły.

Ten bezbrzeżny deficyt trwa w kategorii finansowej, strukturalnej oraz personalnej i nie obejmuje tylko jednego aspektu – inspiracji. Tych bowiem dwa tysiące lat chrześcijaństwa dostarczają potencjalnym twórcom aż nadto. Niestety, w czasach nagłego rozwoju technologii, kiedy popkultura konsekwentnie i z godnym podziwu rozmachem wykorzystywana jest przez antychrześcijańskich rewolucjonistów do przeorania całych narodów, dobre chęci garstki katolików nie wystarczą. Potrzebne są bowiem ogromne pieniądze.

Inaczej nawet nisza, którą stanowi katolicka popkultura, skazana będzie na ten sam los, który spotyka film „Wandea. Zwycięstwo albo śmierć" pokazywany dziś w Polsce w kinach dających się zliczyć na palcach jednej ręki. To francuska produkcja mająca ambicję opowiadania o powstańczym zrywie katolików odrzucających barbarzyńską antyfrancuską rewoltę, dla zmylenia przeciwnika nazywaną rewolucją francuską.

Film ów został wykpiony przez francuskich publicystów głównego nurtu jako „wbijanie do głów reakcyjnej i manichejskiej wizji zdarzeń". Ach, jakbym chciał, żeby prawdziwa była opinia z „Liberation", wedle której to „przykład toczącej się ofensywy konserwatywnej, która używa soft power do rozpowszechniania dusznych idei"! Jak bardzo chciałbym, żeby rzeczywiście trwała konserwatywna ofensywa używająca soft power! Niestety – po obejrzeniu filmu stwierdzam, że bliżej prawdy jest inny recenzent, piszący, iż film „nie troszczy się już nawet o zapewnienie sobie atrakcyjnej oprawy, aby zamaskować swój trujący zapach".

Wdzięczny jestem zarówno twórcom filmu, jak i polskiemu jego dystrybutorowi za wkład w próbę przypomnienia światu o co, z kim i dlaczego walczono w Wandei

Wracam do wspomnianego w pierwszych słowach deficytu. W obrazie autorstwa Vincenta Motteza i Paula Mignota widać go bowiem w sposób wręcz jaskrawy – tak na poziomie scenariusza, na poziomie scen batalistycznych, jak w, hm, umiarkowanym rozmachu dzieła. A przecież historia wandejskich powstańców oraz mszczących się na nich i ich rodzinach w dzikiej brutalności żołnierzy „oświeconej republiki" oferuje wręcz ogrom materiału na kasowy, widowiskowy, spektakularny wręcz film.

Widzę to oczyma wyobraźni – widzę głównego bohatera narysowanego językiem filmowym w taki sposób, jak narysowano postać Maximusa w „Gladiatorze". Widzę sceny wzajemnego motywowania się katolickich chłopów i lokalnych dziedziców napisane tak, jak sceny nawoływania do walki Szkotów przez Williama Wallace'a w „Braveheart". Widzę oczyma duszy batalistyczne sceny nagrane jak te w najnowszym „Napoleonie" oraz sceny rewolucyjnej rzezi na bezbronnych, wiernych katolickiemu królowi starcach, kobietach i dzieciach niczym te z „Wołynia".

Ale taki film nie powstanie – i możemy zżymać się na to, że temat Wandei jest zamilczany i zakłamywany od ponad 200 lat. Możemy narzekać, że Hollywood z pogardą odrzuca wszelkie pomysły ukazujące w dobrym świetle katolików, a w złym świetle twórców „nowego, wspaniałego świata". Możemy znaleźć doprawdy tysiące powodów do marudzenia na innych. Ale od tego grymaszenia nic się nie zmieni – nikt za nas, katolickich malkontentów, takich kasowych filmów dzięki marudzeniu nie zrobi. Mógłbym zaapelować teraz do Watykanu albo biskupów najbogatszych diecezji, ale przecież otrzymałbym odpowiedź zmuszającą mnie tylko do kolejnych narzekań.

Dlatego wdzięczny jestem zarówno twórcom filmu, jak i polskiemu jego dystrybutorowi za wkład w próbę przypomnienia światu o co, z kim i dlaczego walczono w Wandei. Gorąco przy tym zachęcam wszystkich, by pokazali ten film dzieciom i znajomym – a katechetów zachęcam, by wyszli z nastoletnimi uczniami na ten film do kina. To może pomóc uświadomić im, że katolicyzm to wierność, odwaga i męstwo. A wiara w Chrystusa nigdy nie będzie cieszyła się szacunkiem wielkich postchrześcijańskiego świata.

Ze szkodą dla tego świata. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

RYMPAŁ

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Prawo nie działa wstecz? Bzdury. Ono działa we wszystkie strony. Jest jak plastelina. Można je złamać, można dowolnie wyginać, naginać i lepić, można też zupełnie rozpuścić. Prawo to tylko narzędzie do realizacji pewnych celów i działa tak jak każde inne narzędzie. Młotek – może służyć do wbijania gwoździ lub do wybijania zębów. To nie zależy od młotka, lecz od osoby, która go trzyma w garści.

Tydzień temu mówiłem w radiu, że w polityce nie liczą się ani konstytucja, ani kodeks karny, ani Sąd Najwyższy – w polityce liczy się tylko to, ile masz dywizji, które słuchają twoich rozkazów. Dywizji niekoniecznie wojskowych. Mamy konflikt Tusk – Duda. Spierają się o ułaskawienie. W tym sporze liczy się tylko to, ile dywizji ma za sobą Tusk, a ile ich ma Duda. To z grubsza powiedziałem w poniedziałek, a we wtorek dywizje Tuska weszły do pałacu Dudy i wtedy okazało się, że Duda nie ma własnych dywizji do obrony swojej wykładni prawa.

Tusk ma dywizje w sądach, w prokuraturze i – jak się okazało – także w policji i służbie więziennej; moim zdaniem także w wojsku i… ogólnie wszędzie, bo nigdzie nie zrobiono dekomunizacji, nigdzie po roku 1989 nie zrobiono WSZYSTKICH WON.

Jedną z dywizji Tuska dowodzi Hołownia, grzecznie wykonujący rozkazy. Inną z dywizji Tuska dowodzi Sikorski i ten jest graczem samodzielnym, czyli teoretycznie mógłby się zbuntować. Podobnie Czarzasty. Hołownia nie jest graczem samodzielnym i ten się zbuntować nie może, a gdyby próbował, Tusk wymieni go na kogoś innego, bo dywizja, którą dowodzi Hołownia, należy do Tuska. Bunt Sikorskiego oznaczałby utratę dywizji. Bunt Hołowni oznaczałby wymianę dowódcy tej konkretnej dywizji.

Tusk wyciąga jakiś paragraf, wydaje rozkaz, czy ten paragraf stosować i jak stosować lub ignorować, lub złamać, a dywizje te rozkazy wykonują. Prawo działa lub nie działa, tak jak Tusk kazał.

Duda nie ma dywizji ani w policji, ani w prokuraturze, ani w sądach, więc może sobie wyciągać dowolne paragrafy i nimi wymachiwać, może nawet mieć RACJĘ i prawo po swojej stronie, ale bez dywizji jest to tylko zapis na kawałku papieru, a nie siła realna. Paragraf nie ma żadnej mocy sprawczej sam z siebie, jeśli za tym paragrafem nie stoi siła zdolna ten paragraf wprowadzić w czyn. Tak jak młotek nie stanowi żadnej siły sam z siebie.

***

Po stronie PiS wielki szok, wrzask i zaskoczenie, że ludzie PO rzucili się przejmować instytucje. A do tego gonią ludzi Kaczyńskiego i wykonują na nich wyroki na podobnej zasadzie, jak to robił Stalin z ekipą Trockiego. A co PiS uważał? Że ludzie Tuska będą grzecznie czekać, aż ludziom z PiS powygasają kadencje i kontrakty? Bolszewicy z PO musieliby czekać grzecznie tylko wtedy, gdyby mienszewicy z PiS mieli po swojej stronie jakieś dywizje, ale widać w praktyce, że nie mają.

PiS nie zbudował własnych dywizji, bo Ziobro krępował się zastosować zasadę WSZYSTKICH WON w prokuraturze, w sądach, w służbie więziennej. Duda krępował się zastosować tę zasadę w wojsku i dyplomacji. Kaczyński nie dokonał dekomunizacji nigdzie. No a teraz zasadę WSZYSTKICH WON wciela w życie Tusk.

Ludzie PiS wpatrzeni w wielkiego sojusznika, którym są podobno Stany Zjednoczone, a nie zauważyli jak się tam przejmuje władzę? Przecież ludzie Bidena w jeden dzień zrobili rozpierduchę, wydali dekrety odwracające politykę Trumpa i zaczęli wsadzać do więzienia jego zwolenników. Skoro tak się robi w największej demokracji świata, to tym bardziej w kraju Tuska i Kaczyńskiego.

Gdyby osiem lat temu natychmiast po zaprzysiężeniu swojej większości w Sejmie ludzie Kaczyńskiego siedli do głosowania i głosowali jedną za drugą kolejne ustawy, wówczas opozycja i wrogie media nie miałyby dość czasu antenowego na krytykę wszystkiego. Dokładnie to dzieje się teraz – Tusk wali jak z karabinu serią działań ekstremalnych, a PiS nie ma czasu się ogarnąć i kontrować. W dodatku Tusk eskaluje i skoro TV Republika zużyła zaraz na początku wszystkie epitety w rodzaju „dyktatura", „władza autorytarna", „zupełnie jak Putin i Łukaszenka", to teraz już brak im kolejnych mocniejszych słów, by krytykować kolejne coraz mocniejsze działania Tuska.

Wszystko należało robić bez ciągłego pytania Brukseli o zgodę i bez oglądania się na opozycję. W tym samym dniu, gdy ruszyły maszyny na Mierzei Wiślanej, inne maszyny powinny robić wycinkę kornika w Białowieży i tego samego dnia należało odpalić reformę sądowniczą na zasadzie lokautu – WSZYSCY WON, każdy sędzia, który pracował za PRL, wylatuje w ramach zwolnień grupowych. I jeszcze w tym samym dniu ustawa antyaborcyjna i likwidacja emerytur dla ubeków – pracowali dla Moskwy, niech ona im płaci.

Na antenach TVN nie byłoby dość czasu i miejsca przy stołach dla stada ekspertów, w „Wyborczej" zabrakłoby stron. Przeciwnik by nie nadążał. Pewnych reform nie dałoby się potem cofnąć, nawet gdyby tak jak dziś przeciwnik odzyskał władzę. Ale do takich rzeczy trzeba być przygotowanym – mieć ustawy napisane, zanim się wygra wybory. Trzeba też mieć odwagę lub być bezczelnym jak Tusk.

***

Tuskowi pomaga wadliwa konstytucja. Zapisano w niej permanentny konflikt i bałagan. Armia ma dwóch zwierzchników o niejasnych zakresach kompetencji: mamy ministra obrony i mamy prezydenta jako zwierzchnika sił zbrojnych. Których rozkazów ma słuchać armia? Co w sytuacji, gdy prezydent jest z PiS, a minister z PO? Kogoś trzeba wybrać, bo nie da się dwóm panom służyć.

W dyplomacji podobnie: mamy ministra spraw zagranicznych oraz prezydenta, który mianuje i odwołuje ambasadorów. Kogo mam słuchać, skoro nominację wręcza mi prezydent, ale o mojej pensji i zakresie obowiązków decyduje minister? Którą politykę międzynarodową mam realizować – politykę Radka Sikorskiego czy całkiem odmienną politykę Dudy?

Dwuwładza zapisana w konstytucji rodzi chaos, stały konflikt i państwo bałaganu. Aby rządzić, ktoś musi wejść na rympał i przejąć dywizje. PiS się cackał z przeciwnikiem. Tusk nie. ©℗

eprasa.pl e333bdb72c

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY": „PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ" + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

249,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 462 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e333bdb72c

WIND
YACHT
RESORT

Kup apartament z prywatnym miejscem do cumowania jachtu i zarabiaj!

NOWA INWESTYCJA

15 minut od centrum Gdańska

- Apartamenty z widokiem na wodę
- Pełnomorska marina
- 70% Przychodu z wynajmu dla właściciela apartamentu

www.wind-resort.pl | **+48 222 645 276** | **Zapytaj bezpośrednio**

eprasa.pl e333bdb72c